



ANNE STUART



Zimny jak lód

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Genevieve Spenser poprawiła okulary przeciwsłoneczne warte czterysta pięćdziesiąt dolarów, wygładziła spódnicę kostiumu i zeszła z promu. Był początek kwietnia, po długiej mroźnej zimie w Nowym Jorku słońce Karaibów mogło stanowić miłą odmianę, ale Gene nie zachwycało ani błękitne niebo, ani szmaragdowe wody. Nie planowała tu przyjeżdżać. Wreszcie doczekała się urlopu i mogła wyrwać się na sześć tygodni z kancelarii prawniczej, w której była młodszą współpracowniczką, żeby spędzić wakacje w tropikalnych lasach deszczowych Kostaryki - właśnie tam zmierzała. Sześć tygodni pełnej swobody, bez makijażu, bez szkieł kontaktowych, bez zobowiązań. Tak czekała na moment, kiedy będzie mogła wreszcie zrzucić wielkomiejską skórę, że proste zadanie, które miała wykonać po drodze, wydawało się potwornym ciężarem.

Kajmаны były po drodze do Ameryki Środkowej. No, prawie po drodze. Jeden dzień możesz poświęcić, stwierdził Walter Fredericks, jeden ze starszych wspólników w jej firmie. Poza tym jaka kobieta odmówiłaby sobie szansy poznania Najbardziej Seksownego Mężczyzny Roku w rankingu magazynu „People”, w dodatku miliardera? Harry Van Dorn był zabójczo przystojny, świeżo rozwiedziony i tak się złożyło, że powinien podpisać kilka dokumentów prawnych dotyczących Fundacji Van Dorna. Po prostu cudowny zbieg okoliczności.

Gene była innego zdania, ale nie dzieliła się z nikim swoją opinią. Przez ostatnie lata, od kiedy trafiła do kancelarii Fredericksa, nauczyła się taktu i dyplomacji.

Poprawiła raz jeszcze spódnicę kostiumu od Armaniego i spojrzała na stopy obute w pantofle od Manolo Blahnika, które kupiła, nie mrugnawszy okiem. Były niewygodne, czyniły ją wyższą od większości facetów, pasowały do Armaniego - i to wszystko. Kiedy przyniosła je do domu, kiedy się ocknęła z

szaleństwa zakupów, kiedy spojrzała na metkę z ceną i zrozumiała, co zrobiła w porywie głupoty, załapała się łzami. Co stało się z młodą idealistką, która zamierzała poświęcić życie służeniu innym? Chciała wspomagać potrzebujących, a skończyła, kupując pantofle Blahnika i kostiumy Armaniego.

Znała, niestety, odpowiedź i wołała się nad nią nie zastanawiać. Nauczyła się patrzeć do przodu, nie oglądać wstecz. Pantofle były śliczne i powiedziała sobie, że na nie zasłużyła. Zabrała je ze sobą na spotkanie z Harrym Van Dornem, bo były częścią jej zbroi, swoistej ochrony przed zewnętrznym światem. Nie stąpało się w nich łatwo, ale starała się iść z gracją. Nienawidziła wszelkich jednostek pływających. Rzadko męczyła ją choroba morska, ale wchodząc na statek, czuła się jak w potrzasku. W oddali widziała sylwetkę jachtu Van Dorna. Bardziej przypominał potężną rezydencję niż jacht. Mogłaby z powodzeniem wmówić sobie, że spotkanie odbędzie się na lądzie. Potrafiła doskonale ignorować niemiłe fakty. Człowiek musi się tego nauczyć, jeśli chce przeżyć.

Poprosi Van Dorna o podpisanie dokumentów, pozwoli poczęstować się obiadem, odeśle papiery pocztą kurierską do Nowego Jorku i za dwie, trzy godziny powinna być wolna. To tylko kilka godzin, niepotrzebnie się denerwuje. Dzień był zbyt piękny, żeby dopuszczać do siebie złe przeczucia. Co złego może się przydarzyć pod lazurowym karaibskim niebem?

W torebce miała środki uspokajające. Ktoś z załogi przywitał ją przy trapie, wskazał fotel na pokładzie, poprosił, by usiadła. W chwilę później steward przyniósł mrożoną herbatę. Wystarczyło wyjąć małą żółtą pigułkę i połknąć. Chciała zostawić prochy w Nowym Jorku - po co jej środki uspokajające w lasach deszczowych? Na szczęście w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Musiało minąć kilka minut, zanim pigułka zadziałała, ale postanowiła przetrzymać ten czas siłą woli.

Bywała już wcześniej na jachtach. Jej kancelaria specjalizowała się w obsłudze dziesiątków rozmaitych fundacji dobroczynnych, bardzo bogatych,

dysponujących olbrzymimi środkami. Gene zaraz po studiach pracowała jako adwokat, broniła z urzędu tych, których nie stać było na opłacenie pełnomocnika. Po jakimś czasie przeszła do kancelarii Roper, Hyde i Fredericks, tłumacząc sobie, że obsługa fundacji charytatywnych to też szlachetna misja. Szybko się rozczarowała. Fundacje zakładane przez ludzi bogatych okazywały się doskonałym sposobem na omijanie podatków, dodawanie sobie splendoru i zapewnianie ciepłych posadek przyjaciółom. Kiedy zorientowała się, w co weszła, było już za późno.

Pływający pałac Van Dorna, „Siedem Grzechów”, był wspanialszy niż jachty, na których dotąd bywała. Należał do Van Dorn Trust Fundation, nie był prywatną własnością Harry'ego. Cóż, jeszcze jeden kruczek umożliwiający odpis od podatków. Podniosła się z fotela i z obojętną miną omiotła spojrzeniem pokład. Jeśli będzie miała szczęście, Van Dorn poświęci jej kilka minut, podpisze dokumenty i odprawi. Dla niego była w końcu tylko posłańcem z nowojorskiej kancelarii, nikim więcej. Cholera, nie miała dzisiaj nastroju na załatwianie jakichkolwiek spraw, nawet z przystojnym miliarderem.

Z uśmiechem na twarzy weszła do przestronnego, klimatyzowanego salonu utrzymanego w bielach i czerniach. Lustra na ścianach powiększały jeszcze przestrzeń. Gene zobaczyła w kilku odbiciach równocześnie młodą kobietę po trzydziestce, z długimi jasnymi włosami, w doskonale skrojonym szarym kostiumie sprytnie maskującym kilka kilogramów nadwagi. Niestety, diety i ćwiczenia niewiele pomagały, bo efekt był mizerny.

- Pani Spenser? - Wchodząc z zalanego słońcem pokładu do wnętrza, w pierwszej chwili mogła dojrzeć tylko sylwetkę mężczyzny w głębi salonu. Mówił z lekkim brytyjskim akcentem znamionującym kogoś z klasy wyższej, może absolwenta Oksfordu. Nie mógł być to Harry, bo Harry pochodził z Teksasu, pewnie zatem mówił z charakterystycznym zaśpiewem, no i raczej nie modulował głosu jak ten tutaj. Mężczyzna zbliżył się.

- Jestem Peter Jensen, osobisty asystent pana Van Dorna. Pan Van Dorn za chwilę przyjdzie. Czym mogę pani służyć? Podać coś do picia? Może chce pani przejrzeć gazetę?

Usłużny.... Od czasów kiedy czytała Dickensa, to słowo nie pojawiała się w jej głowie, ale doskonale pasowało do Petera Jensena. Gładki, uprzejmy, nadskakujący. Nawet ten jego piękny brytyjski akcent pasował do wizerunku doskonałego w każdym calu asystenta. Pozbawiona wyrazu twarz, ciemne włosy gładko zaczesane do tyłu, okulary w drucianej oprawie. Na ulicy przeszłaby obok niego obojętnie.

- Jeśli ma pan „New York Timesa”, to poproszę - powiedziała, siadając na skórzanej kanapie. Położyła obok teczkę z dokumentami, założyła nogę na nogę, spojrzała na swoje pantofle. Były warte pieniędzy, które za nie zapłaciła. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Peter Jensen przygląda się jej nogom, chociaż podejrzewała, że raczej pantoflom. Nie wyglądał na takiego, który interesuje się kobiecymi nogami, choćby były najzgrabniejsze. Szybko zmieniła pozycję.

- Proszę chwilę zaczekać, pani Spenser. Zaraz wracam - powiedział i zniknął bezszelestnie, niczym duch. Gene wzdrygnęła się. Czowała, że nie przypadła do gustu osobistemu asystentowi Harry'ego Van Dorna. Jedno spojrzenie na pantofle od Blahnika pozwoliło mu ocenić zasobność jej portfela. Ludziom jego pokroju takie oznaki zamożności zwykle imponowały. Kiedy wchodziła w tych butach do drogich butików na Park Avenue, obsługa gięła się w ukłonach, wiedząc, że kobieta, którą stać na pantofle od Blahnika, z pewnością i u nich nie będzie oszczędzała na zakupach.

I mieli rację.

Czekała w napięciu na powrót Jensena, ale zamiast niego pojawił się steward z kolejną szklanką mrożonej herbaty i egzemplarzem „New York Timesa”. Na tacy leżało także złote pióro wieczne. Wzięła je do ręki.

- A to po co? - zapytała. Czyżby przypuszczali, że nie ma przy sobie własnego pióra?

- Pan Jensen pomyślał, że może zechce pani rozwiązać krzyżówkę. Pan Van Dorn bierze właśnie prysznic, to chwilę potrwa.

Skąd ten człowiek wiedział, że ona lubi rozwiązywać krzyżówki, i to piórem? A najbardziej - sobotnie wydanie, z najtrudniejszą krzyżówką tygodnia. Zaczęła czytać hasła. Może to nieracjonalne, ale czuła się tak, jakby Jensen rzucił jej wyzwanie. Podoła czy nie podoła? Była zmęczona, zirytowana, wiele by dała, żeby znaleźć się gdziekolwiek, tylko nie na pretensjonalnym w swoim luksusie jachcie Van Dorna. Zajmie się krzyżówką i chociaż na chwilę zapomni, że znajduje się na wodzie.

Właśnie kończyła, a krzyżówka była wyjątkowo trudna, gdy w drzwiach pojawiła się wysoka, szczupła postać. Gene odłożyła gazetę i wstała z kanapy, szykując się na powitanie gospodarza, by w sekundę później przekonać się, że to Peter Jensen. Spojrzał na gazetę i dostrzegł oczywiście puste kratki. No tak, nie odgadła jednego hasła.

- Pan Van Dorn może już panią przyjąć, pani Spenser.

Najwyższa pora, pomyślała zgryźliwie. Jensen odsunął się, robiąc jej przejście. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wysoki. Górował nad nią niemal o głowę, mimo że dzięki absurdalnie wysokim szpilkom miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Enigma - mruknął, gdy przechodziła obok niego.

- Słucham?

- Słowo, którego pani nie odgadła. To enigma.

Oczywiście, enigma. Powściągnęła irytację. Ten człowiek z jakichś bliżej nieokreślonych powodów działał jej na nerwy. To nic. Jakoś wytrzyma. Uzyska podpisy Van Dorna na dokumentach, poplirtuje z nim chwilę, jeśli będzie trzeba, i pojedzie na lotnisko. Może uda się jej złapać jakiś wcześniejszy lot do Kostaryki.

Zmrużyła oczy, wychodząc na zalany słońcem pokład ogromnego jachtu, ruszyła za Jensenem i po chwili stała przed najseksowniejszym miliarderem roku, zapominając całkiem o jego nieciekawym osobistym asystencie.

- Witam, pani Spenser. - Van Dorn podniósł się z kanapy. - Bardzo przepraszam, że musiała pani czekać. Przyleciała tu pani specjalnie dla mnie, a ja zamiast przyjąć panią od razu, walczyłem z papierkową robotą - usprawiedliwił się. - Peter, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej o przybyciu pani Spenser?

- Proszę wybaczyć, sir. Moja wina. - Głos Jensena pozbawiony był wyrazu, mimo to Gene spojrzała na niego z zainteresowaniem. Dlaczego, u Boga, nie zawiadomił Van Dorna, że ona czeka? Złośliwość? Mało prawdopodobne. Raczej Van Dorn zrzuca teraz beztrąsko winę na bezbronego asystenta.

- Trudno, stało się - stwierdził Van Dorn i ujął z uśmiechem dłoń Gene, pociągając ją w głąb kabiny. Było w tym geście coś ujmującego, jakaś miła naturalność.

Pech chciał, że Gene nie znosiła, gdy ktoś jej dotykał.

Klient to klient. Odwzajemniła zatem uśmiech i pozwoliła posadzić się na obitej białą skórą kanapie. Nie zastanawiała się już, kto zawinił, że tak długo czekała, Van Dorn czy nieważny asystent. Co za różnica?

- Proszę wybaczyć Peterowi - powiedział Harry, siadając trochę zbyt blisko Gene. - Stara się mnie chronić. Jest niezmiennie przekonany, że każda kobieta, która pojawia się na horyzoncie, chce wyciągnąć ode mnie pieniądze.

- Ja chcę tylko pańskich podpisów na kilku dokumentach, panie Van Dorn. Nie będę zajmować panu czasu...

- Gdybym nie miał czasu dla pięknej kobiety, bardzo źle by to o mnie świadczyło - powiedział Harry. - Każe mi ciągle pracować, odmawia wszelkich przyjemności. Obawiam się, że nie docenia kobiet. A pani jest taka śliczna. Proszę powiedzieć, spod jakiego jest pani znaku?

Udało mu się zbić ją kompletnie z pantałyku.

- Znak?

- Tak. Interesuję się trochę astrologią. Mam swoje małe dziwactwa.

Dlatego nazwałem ten jacht „Siedem Grzechów”. Siódemka to moja szczęśliwa liczba. Wiem, że ruch New Age to kupa bzdur, ale bawi mnie to. Proszę się na mnie nie gniewać. Wygląda mi pani na Wagę. Wagi są świetnymi prawnikami. Spokojne, zrównoważone, potrafią sprawiedliwie osądzać.

Naprawdę była Bykiem w ascendencie ze Skorpionem. Na osiemnaste urodziny dostała od swojej przyjaciółki Sally bardzo precyzyjny horoskop, który zachowała do tej pory, ale nie chciała sprawiać zawodu bogatemu klientowi.

- Jak pan zgadł? - zapytała ze stosownym podziwem.

Harry zaśmiał się i Gene zaczęła rozumieć, dlaczego ludzie uważają go za czarującego.

Pismo „People” miało rację, był zabójczo przystojny. Opalona skóra, jasnobłękitne oczy otoczone drobnymi zmarszczkami, zapewne od śmiechu, gęsta jasna czupryna, wszystko to sprawiało, że przypominał Brada Pitta w jego najlepszych latach. Emanował ciepłem, urokiem osobistym i seksem. Miał rozbijający, chłopięcy uśmiech, świetną sylwetkę, wesołe oczy. Był przystojny, miły i żadna kobieta nie mogłaby chyba przejść obok niego obojętnie. Cóż, na Gene nie robił żadnego wrażenia.

Musiała jednak załatwić polecenie służbowe. I musiała być miła dla Van Dorna. Nikt w kancelarii nie powiedział jej tego co prawda wprost, ale rzecz rozumiała się sama przez się. Zdarzało się już wcześniej, że rozważała możliwość pójścia z klientem do łóżka, gdyby interesy firmy tego wymagały. Była pragmatyczna, tak to określała. Dotąd co prawda nie przespała się z nikim w ramach obowiązków służbowych, ale wiedziała, że prędzej czy później stanie wobec takiej konieczności.

Jeśli będzie musiała przespać się z Van Dornem, żeby zdobyć jego podpisy, prześpi się, trudno. Zdarzały się bardziej uciążliwe obowiązki.

Nawet jeżeli Van Dorn podpisze dokumenty, nie oczekując żadnych świadczeń z jej strony, najpierw spełni wszystkie rytuały towarzyskie. W wypadku Teksańczyka mogło to potrwać dobrych kilka godzin.

- Proszę nie gniewać się na Petera - powtórzył. - On jest spod znaku Barana i ma doskonały horoskop, świetny układ planet w chwili urodzenia. Inaczej bym go nie zatrudnił. Dwudziesty kwietnia. Jest ponurakiem z natury, ale świetnym asystentem.

- Długo u pana pracuje? - zapytała, zastanawiając się, kiedy Harry raczy zdjąć rękę z jej kolana.

Ciekawe dłonie, silne, opalone, zadbane. Mogły dotykać jej znacznie gorsze, na przykład dłonie Petera Jensena.

- Och, mam wrażenie, że od zawsze, chociaż tak naprawdę zaledwie od kilku miesięcy. Nie wiem, jak sobie radziłem bez niego. Wie o mnie i moim życiu więcej niż ja sam. I rządzi mną. Ale nie chcę marnować czasu na rozmowy o Peterze, są znacznie ciekawsze tematy. Porozmawiajmy raczej o pani, śliczna damo, i o tym, jak pani tu trafiła.

Gene chciała sięgnąć po teczkę, ale Van Dorn przytrzymał jej rękę i powiedział ze śmiechem:

- Do diabła z interesami, zdążymy je załatwić. Dokładnie mówiąc, chciałem zapytać, jak to się stało, że pracuje pani dla tego starego pryka Ropera i jego wspólników? Proszę opowiedzieć mi o sobie. Co pani lubi, jakie ma pragnienia. Przede wszystkim jednak proszę powiedzieć, co szef kuchni ma przygotować na kolację.

- Nie mogę zostać na kolacji. Jeszcze dzisiaj lecę do Kostaryki.

- Ależ musi pani zostać. Nudzę się tutaj strasznie, a wspólnicy na pewno chcieliby, żeby dotrzymała mi pani towarzystwa. Będę niepokieszony, jeśli nie uda mi się Poflirtować z panią przy kolacji. Złóża naftowe nie wyschną przez jedną noc. Nic się nie stanie, jeśli podpiszę te dokumenty dotyczące przeniesienia prawa własności nieco później. Przyrzekam, że podpiszę, proszę

się nie denerwować. Zadbam, żeby dotarła pani do Kostaryki, chociaż nie mogę zrozumieć, co panią tam ciągnie. Na razie zapomnijmy o interesach, terminach i podpisach. Proszę opowiedzieć mi o sobie.

Gene nie próbowała już sięgać po teczkę i Van Dorn po chwili uwolnił jej dłoń. Powinna czuć się nieswojo, ale Van Dorn był taki śmieszny, zupełnie jak szczeniak, który domaga się uwagi i pieszczot... Nie potrafiła gniewać się na niego. Sprawiał wrażenie zupełnie niegroźnego. Ostatecznie mogła poświęcić mu trochę czasu, byle tylko nie kładł jej dłoni na kolanie.

- Cokolwiek kucharz przygotuje - odpowiedziała, kapitulując.

- A co będzie pani piła? Martini, prawda? - zgadywał.

Na sam dźwięk słowa robiło się jej niedobrze, ale, owszem, piła Martini podczas rozmaitych koktajli urządzanych w firmie, bo tego wymagał obyczaj. Najbardziej nie znosiła cosmopolitana, tymczasem nie wiedzieć czemu wszyscy uważali, że go uwielbia. Widać dość skutecznie wystylizowała się na osobę podobną do bohaterki „Seksu w wielkim mieście” i teraz musiała ponosić konsekwencje przekonującej autokreacji.

Van Dorn należał do pierwszej dziesiątki najbogatszych ludzi Zachodu i mógł mieć wszystko, czego zapragnął.

- Tab - odpowiedziała.

- Co to jest tab?

- Trudna do zdobycia woda mineralna. Żaden napój energetyzujący, broń Boże. Nieważne. Żartuję. Będę piła to, co pan.

- Bzdura. Peter! - Harry nie musiał nawet podnosić głosu. Asystent pojawił się bezzwłocznie. Wszedł tak cicho, że Gene zrobiło się trochę nieswojo. - Postaraj się o wodę mineralną tab. Właśnie się dowiedziałem, że pani Spenser nie pija innej.

Jensen spojrzał na nią tym swoim pozbawionym wyrazu wzrokiem.

- Tak jest, sir. To może trochę potrwać, ale na pewno zdobędę tab dla pani Spenser.

- Świetnie. Postaraj się. I pamiętaj, to musi być oryginalny tab. Powiedz szefowi, że będę miał gościa na kolacji. Niech i on się postara i przygotuje coś specjalnego.

- Obawiam się, że nie mamy już szefa kuchni, sir. Czarujący uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy Van Dorna.

- Nie wygłupiaj się. Ten człowiek pracuje u mnie od lat. Nie odszedłby ot tak, bez słowa.

- Przykro mi. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego odszedł, czy z powodów prywatnych czy zawodowych, ale tak to wygląda.

Harry pokręcił głową.

- Nie do wiary. To już piąty pracownik, który odchodzi bez wypowiedzenia.

- Szósty, sir, jeśli liczyć mojego poprzednika - sprostował Jensen.

- Spróbuj się dowiedzieć, o co chodziło, Peter - powiedział Harry ponurym tonem, po czym uśmiech wrócił na jego twarz. - I znajdź kogoś, kto przygotuje wspaniałą kolację dla mnie i mojego gościa.

- Oczywiście.

- Zważywszy na okoliczności, nie chcę sprawiać panu kłopotu - odezwała się Gene. - Proszę podpisać papiery i już mnie nie ma...

- Nie ma mowy - oznajmił Harry uroczyście. - Przebyła pani taki szmat drogi specjalnie dla mnie. Proszę przynajmniej zostać na kolacji i pozwolić się nakarmić. Nie wypuszczę pani bez kolacji. Zajmij się wszystkim, Peter.

Jensen zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Gene była bardzo ciekawa, czy w ciągu kilku godzin uda mu się znaleźć trudno dostępną wodę mineralną tab oraz dobrego kucharza. Sprawiał wrażenie robota zdolnego wykonać każde zadanie. Van Dorn tymczasem gotów był dalej roztaczać swój teksański urok. Jeszcze chwila, a zacznie bez wątpienia opowiadać z czułością o „swoim drogim staruszk". Pozostawało tylko usiąść wygodnie i słuchać.

Kostaryka musi poczekać, pomyślała Gene, tłumiąc westchnienie. Zanudzi się na śmierć, ale знаła gorsze sposoby spędzania wieczoru.

Peter Jensen działał przerażająco skutecznie, nawet w charakterze asystenta osobistego. Pozbycie się Olafa zajęło mu więcej czasu niż odprawienie pozostałych. Zaczął się nawet obawiać, że tym razem będzie musiał użyć siły. W końcu jednak udało się i kucharz zszedł z jachtu przepełniony jakże słusznym oburzeniem.

Gdyby zaszła taka konieczność, Peter użyłby oczywiście siły. Był dobrze przygotowany do wykonania powierzonego zadania, wolał jednak subtelniejsze metody. Stosowanie przemocy pozostawiało zbyt wiele śladów, rodziło zbyt wiele pytań. Pozbył się w końcu Olafa, a Hans już czekał, gotów go zastąpić.

Dziewczyna stanowiła pewien problem. Powinien był przewidzieć, że nowojorska firma przyśle młodą, ładną prawniczkę, by sprawić przyjemność Harry'emu. Nie znali wyrafinowanych upodobań Van Dorna i nie mogli wiedzieć, że nie tak łatwo go zadowolić.

Kolejny problem stanowiły dokumenty, które przywiozła. Czy rzeczywiście były ważne, czy stanowiły tylko pretekst? Harry nie okazał nimi zainteresowania, ale Harry na ogół tak właśnie się zachowywał.

Musi usunąć dziewczynę z pokładu, i to jak najszybciej, zanim przejdą do realizacji starannie obmyślnego planu. A powinni przejść już teraz, dzisiaj, najpóźniej jutro. Nie chciał, żeby ktokolwiek płatał mu się pod nogami. Zadanie było stosunkowo proste, wykonywał już wcześniej podobne, był dobry w swojej robocie, ale, jak zawsze w takich wypadkach, o sukcesie decydował precyzyjny wybór czasu uderzenia.

Panna Spenser weszła mu w paradę, im szybciej się jej pozbędzie, tym lepiej. Zawsze starał się unikać w swojej pracy tak zwanych szkód ubocznych, nie zamierzał w tym wypadku zmieniać metod działania, chociaż misja, którą mu powierzono, była bardzo ważna. Wprawdzie nie wiedział wszystkiego o paranoicznej Zasadzie Siódemki Van Dorna, miał jednak wystarczająco duże

rozeznanie, by zdawać sobie sprawę, że tego człowieka należy za wszelką cenę powstrzymać.

Wiedział, jak go nazywają za jego plecami: Lodowaty. Zapracował na tę ksywkę dzięki nieludzkiemu opanowaniu i profesjonalizmowi. Mogli go nazywać, jak chcieli, ważne, żeby robota była wykonana.

Panna Spenser musi zejść z pokładu, zanim będzie za późno. Zanim będzie zmuszony ją zlikwidować.

Przypomnił sobie jej ciemne oczy, przenikliwe spojrzenie... Nie powinien był wspominać o krzyżówce. Dziewczyna może zapamiętać ten drobny szczegół, opowiedzieć o nim, kiedy będzie już po wszystkim. Chociaż nie. Grał swoją rolę dobrze. Patrzyła na niego, ale właściwie go nie widziała. Był tak banalny, niczym się nie wyróżniał. To też należało do jego fachu - niczym się nie wyróżniać.

Spenser nie może zagrozić ich misji. Była bystra, ładna, o niczym nie miała pojęcia. Wróci do swojego małego, bezpiecznego świata, zanim przystąpią do działania.

I nigdy się nie dowie, że o włos otarła się o śmierć.

Madame Lambert wyjrzała przez okno swojego londyńskiego biura ulokowanego w pobliżu Kensington Garden. Była szczupła, elegancka. Gładka, nieskazitelna skóra nie zdradzała wieku, podobnie jak chłodne, jasne oczy. Patrzyła na nagie gałęzie drzew, szukając oznak życia. W końcu zaczynał się kwiecień, natura powinna budzić się już po długiej zimie.

W mieście wiosna zawsze przychodzi nieco później, a tutaj, w okolicy biura pod szyldem Spence-Pierce Consulting LTD rośliny zdawały się umierać w skażonym londyńskim powietrzu. Gdyby madame Lambert była osobą skłoną wierzyć w gusła, pomyślałaby, że to reakcja na atmosferę promieniującą z firmy.

Szyld Spence-Pierce stanowił jedną z licznych przykrywek, pod jakimi działał Komitet - tajna organizacja tak głęboko zakonspirowana, że nawet ona,

choć stała na czele Komitetu od ponad roku, nie poznała jeszcze wszystkich sekretów.

Był kwiecień, czas uciekał. Wdrożona i finansowana przez Harry'ego Van Dorna Zasada Siódemki rozwijała się w najlepsze, a oni nadal nie wiedzieli dokładnie, na czym polegała. Siedem katastrof, które miały pogrążyć świat w chaosie, przynosząc niezliczone korzyści samemu Van Dornowi, tyle było wiadomo, nic więcej. Co, gdzie, kiedy - do tego Komitet nie był w stanie dojść mimo usilnych starań. Tak jak nie odkrył, kto będzie realizował plan Van Dorna, który przecież nie mógł działać w pojedynkę.

Cokolwiek zamierzał w swoim chorym, acz błyskotliwym umyśle, stanowił ogromne zagrożenie.

A Komitet walczył z zagrożeniami, na tym polegała jego rola.

Walka wymagała ofiar i było to coś, z czym madame Lambert dotąd nie mogła się pogodzić. Peter był najlepszym agentem, jakiego mieli. Jeszcze nigdy nie zawiódł, zawsze udawało mu się wypełnić powierzona misję, a jednak madame Lambert miała złe przeczucia.

Otrząsnęła się z zamyślenia i wróciła do biurka, na którym panował idealny porządek. Na blacie nie leżało nic poza niewielkim notesem i piórem wiecznym.

Madame Lambert wszystkie ważne informacje przechowywała w głowie, tak było bezpieczniej, czasami jednak musiała coś zanotować.

Tak jak teraz.

Spojrzała na skreślone pospiesznie słowa:

„Zasada Siódemki”...

Co, u diabła, zamierzał Harry Van Dorn? Jakie nieszczęścia planował zgotować światu?

Czy wystarczy go zabić, żeby powstrzymać katastrofę?

ROZDZIAŁ DRUGI

Jacht był tak ogromny, że Gene mogła właściwie zapomnieć o otaczającym ją bezmiarze wód. Czowała zapach oceanu, ale ten akurat lubiła... o ile znajdowała się na brzegu. Teraz też wmawiała sobie usilnie, że znajduje się gdzieś na skalach, a nie na pokładzie „Siedmiu Grzechów”.

Harry Van Dorn był naprawdę uroczym kompanem, nie można zaprzeczyć. Uśmiechał się promiennie, patrzył na nią ciepło, chłonał każde jej słowo. Powinna być zachwycona. Każda kobieta byłaby zachwycona, ale Gene nie popadła w zachwyt, chociaż Van Dorn naprawdę się starał.

Tab pojawił się oczywiście na stole. Powinna w zasadzie poprosić o Pellegrino albo coś równie wytwornego. Jej szefowie byliby mocno zniesmaczeni, gdyby usłyszeli, że pije Tab, zwykłą wodę mineralną. Co tam, w końcu jest na wakacjach i nie musi przestrzegać sztywnej etykiety. Może nawet zrzucić pantofle i wyciągnąć się na obitej białą skórą kanapie.

Wiedziała, jak sprowokować nawet najbardziej nieśmiałego mężczyznę, a Harry z pewnością nie należał do nieśmiałych. Nigdy nie zajmowała się Fundacją Van Dorna, dotąd obsługiwała mniejsze, skromniejsze, ale poglądy Harry'ego ją fascynowały. Nic dziwnego, że zbierał tyle nagród za działalność humanitarną. Ostatnio został nawet nominowany do pokojowej Nagrody Nobla, chociaż nie miał najmniejszych szans na jej otrzymanie.

Dochody z jego zagranicznych fabryk spadły o połowę, kiedy zabronił zatrudniać w nich dzieci i ustawił zarobki na poziomie zapewniającym robotnikom godziwe życie. Pomimo to nadal miał zyski, pomyślała Gene cynicznie, a to co płacił Chińczykom czy Tajom, stanowiło i tak żałosny ułamek pensji wypłacanych jeszcze niedawno w amerykańskich zakładach, które od kilku lat masowo zamykano, pozostawiając robotników na pastwę losu i przenosząc produkcję do taniej Azji. Na zmianach gospodarczych ostatniej

dekady ucierpiał szczególnie Środkowy Zachód. Tam wszystkie przemysłowe miasta powoli umierały. Organizacje humanitarne nie dostrzegały jednak tego aspektu albo też nie chciały dostrzegać, licząc na hojność sponsorów, zamiast zająć się opracowaniem długofalowych programów naprawczych.

Pieniądze na konta Van Dorna płynęły dosłownie zewsząd: z pól naftowych Bliskiego Wschodu, z kopalń diamentów w Afryce, z przedsięwzięć tak skomplikowanych, że wątpiła, by zdołała kiedykolwiek zrozumieć ich zasady. Tak czy inaczej zarabiał więcej, niż mógł wydać, a wydawać potrafił i lubił.

Kilka lat pracy w kancelarii Ropera i Fredericksa sprawiło, że oswoiła się ze światem milionerów. Wszyscy byli do siebie podobni, nawet Van Dorn ze swoimi małymi dziwactwami nie wyróżniał się specjalnie w tym towarzystwie. Słuchała jego snutych miękkim głosem opowieści i pocieszała się, że już jutro, pozbywszy się swojego wielkemiejskiego uniformu, będzie przedzierała się przez kostarykańską dżunglę, klnąc moskity i pęcherze na piętach. Ta wizja pozwalała jej przetrwać jakoś wieczór z Harrym.

Ocknęła się nagle. Harry ciągle gadał, najwyraźniej nie zauważył, że zdrzemnęła się na moment. Na szczęście nie zdjęła okularów przeciwsłonecznych. Gdyby Walt Fredericks dowiedział się, że przysnęła w obecności klienta, wyrzuciłby ją z pracy. Hm, może wcale by tego nie żałowała.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co ją obudziło. Nie snuty spokojnie monolog Harry'ego, tylko lekkie kołysanie jachtu i odgłos pracującej maszyny, która powinna przecież pozostawać bezczynna.

- Czy my płyniemy? - przerwała gwałtownie Harry'emu wywód na temat tarota.

- Płyniemy? - zdziwił się. - Nie sędzę. Być może pierwszy mechanik sprawdza coś w maszynowni. Czasami to robi, chociaż nie powinien. Zmusza kapitana, żeby wyjść na kwadrans na redę, po czym dobijamy znowu do kei. Nie

tylko ja mam, jak widać, swoje dziwactwa. Ja w każdym razie nie zamierzam wypływać z portu.

Gene wyprostowała się, usiadła na kanapie, wzięła zabójcze szpilki od Blahnika.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno - bąknęła, zerkając na zegarek. - Pan tak ciekawie opowiadał - łągała jak z nut. - Bardzo proszę, niech pan podpisze te dokumenty... Muszę zdążyć na samolot do Kostaryki.

Powinnam być na miejscu dzisiaj wieczorem.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć. Zjemy spokojnie kolację, przenocuje pani na jachcie, a jutro poleci moim samolotem, dokąd zechce.

- Nie mogę...

- Proszę tylko nie myśleć, że mam wobec pani jakieś niecne zamiary - oznajmił, puszczając oczko. - Oczywiście, miałbym, ale mama nauczyła mnie galanterii wobec dam. Na jachcie jest mnóstwo kabin dla ewentualnych gości. Fale oceanu wspaniale kołyszą do snu. Wszystkie troski od razu znikają.

- W tej chwili nie trapią mnie żadne troski - powiedziała, kłamiąc mu w żywe oczy. - Poza tym nie chciałabym sprawiać panu kłopotu.

- Nie sprawia pani najmniejszego kłopotu - zaręczył. - Samolot czeka. Pilot nie ma nic do roboty... Ucieszy się, kiedy wyślę go do Kostaryki. Może nawet zaczekać, aż załatwi pani tam swoje sprawy, potem zabierze panią z powrotem do Nowego Jorku.

- Mam zamiar spędzić w Kostaryce sześć tygodni, panie Van Dorn.

- Nikt nie mówi do mnie panie Van Dorn, tak zwracano się do mojego papy. I dlaczego, na litość boską, zamierza pani spędzić aż sześć tygodni w Kostaryce?

- Biorę udział w wyprawie do lasów deszczowych - oznajmiła Gene, ciekawa reakcji.

Jak bardzo Van Dorn jest zaangażowany w problemy humanitarne?

- Nasza fundacja finansuje wiele akcji wspierających ochronę środowiska. W końcu mamy tylko jedną Ziemię i musimy o nią dbać.

Nie zamierzała go informować, że zdecydowała się na wyprawę do lasów deszczowych, by uciec od wszelkich obowiązków, a nie po to, by brać udział w akcjach wspierających ochronę środowiska.

- Rozumiem - mruknęła. - Naprawdę powinnam się już pożegnać...

- Peter! - Jensen pojawił się niemal natychmiast, bezszelestnie jak zawsze. Musiał czekać za drzwiami na wezwanie. - Zawiadam mojego pilota, żeby przygotował samolot na jutro rano. Poleci z panią Spenser do Kostaryki.

Gene otworzyła usta, chciała oponować, ale zobaczyła coś dziwnego w oczach asystenta, coś, czego nie potrafiła odczytać. Enigma, pomyślała, przypominając sobie krzyżówkę.

- Skoro jest pan pewien, że nie będzie to kłopot - powiedziała, starając się nadać głosowi uprzejme brzmienie. Zanosilo się na to, że spędzi jednak noc na jachcie. Na wodzie. Niech to diabli.

- Tak jest, sir - odparł Jensen bezbarwnym tonem.

- I każ przygotować kabinę dla pani Spenser. Przenocuje na jachcie. - Tu zwrócił się z uśmiechem do Genevieve: - Widzi pani? Wszystko załatwione. Jestem dżentelmenem w każdym calu.

Gene miała wrażenie, że widzi w oczach asystenta coś na kształt pogardy. Musiała się pomylić. Dobry sługa nie zdradza nigdy emocji, a Jensen wydawał się bardzo dobrym sługą, działał efektywnie, jak robot. Harry'ego stać było na najlepszych.

- Tak jest, sir.

- Niech ktoś przywiezie bagaże pani Spenser z lotniska.

- Obawiam się, że to niemożliwe, sir. Sprawdziłem już, co z bagażami, tak na wszelki wypadek. Lecą, niestety, do Kostaryki, lotem, którym miała lecieć pani Spenser.

Gene rozbawiła pretensjonalna staroświeckość Jensena. Ten człowiek byłby świetnym materiałem na dziewiętnastowiecznego lokaja. Co tam, przynajmniej dostarczył jej dobrego pretekstu do opuszczenia jachtu.

- Bardzo dziękuję, panie Jensen. Wszystko wskazuje na to, że powinnam jednak się pożegnać. Zdażę jeszcze na samolot do San Jose.

- Wypełniam tylko swoje obowiązki, proszę pani - mruknął asystent idealny. - Motorówka, która zawiezie panią na lotnisko, czeka od kilku godzin.

- Powiedz, niech nie czeka - zadysponował Harry wyniośle. - Pani Spenser przenocuje na jachcie. I nie mów mi, że nie mamy na jachcie damskich fatalaszków, które pasowałyby na naszą śliczną damę, bo wiem, że mamy. Poza wszystkim dzisiaj jest siódmy kwietnia, a siódemka to moja szczęśliwa liczba. Idę o zakład, że urodziła się pani siódmego października. Mam rację?

W pierwszej chwili zdziwiła się, skąd Van Dornowi przyszedł do głowy taki absurdalny pomysł, ale zaraz przypomniała sobie, że uznał ją za zodiakalną Wagę. Ciekawe, co by powiedział, słysząc, że naprawdę urodziła się piętnastego maja?

- Jest pan niesamowity, panie Van Dorn - powiedziała z dobrze udawanym podziwem.

- Obawiam się, że mamy tylko rozmiar trzydzieści sześć i trzydzieści osiem, sir. Takie kazał pan zamówić - odezwał się Jensen i Gene nie wiedziała, kto jest gorszy: Van Dorn ze swoim przekonaniem, że ona dostosuje się do jego kaprysów, czy Jensen sugerujący, że jest gruba i nie zmieści się w trzydzieści osiem.

- Noszę rozmiar czterdziesty - powiedziała słodkim głosem. Czasami musiała kupować nawet czterdziesty drugi, ale nie zamierzała informować o tym żadnego z panów. Miała nadzieję, że Jensen nie znajdzie odpowiednich strojów.

Jensen nawet nie mrugnął okiem, doskonale wiedział, o co toczy się gra.

- My tutaj nie przywiązujemy wagi do etykiety - oznajmił Harry. - Na pewno znajdziesz coś dla pani, Jensen. Proszę pamiętać, że to Baran - zwrócił

się ponownie do Gene. - Kawał skurczybyka. Przepraszam za wyrażenie. Ja jestem Wodnikiem, człowiekiem idei. Wodnik zazwyczaj nie dogaduje się z Wagą, ale pani jest zupełnie wyjątkowa. To kwestia ascendentu.

Gene była wściekła, ale nie mogła nic zrobić. Van Dorn nie zamierzał wypuścić jej wcześniej niż następnego dnia. Musiała się podporządkować jego kaprysom. Zacisnęła zęby i uśmiechnęła się, robiąc dobrą minę do złej gry.

- Na pewno nie będę narzekać.

Peter Jensen skinął lekko głową, z tym swoim nieprzeniknionym jak zawsze, pozornie obojętnym wyrazem twarzy. Była niemal pewna, że wycofa się tyłem, w ukłonach, ale odwrócił się i wyszedł. Patrzyła za nim zafascynowana: wysoki, szczupły... niezawodny. I z jakiegoś powodu nagle mniej banalny. Może okulary i gładko przyczesane włosy czyniły go kimś pozornie pozbawionym wyrazu? A może po prostu jest przemęczona i przychodzą jej do głowy dziwne myśli na temat osobistego asystenta Van Dorna?

W sumie nie miało to żadnego znaczenia. Była uziemiona przez uroczego Teksańczyka. Trudno. Zje z nim kolację, napije się wina i jutro rano poleci do Kostaryki, zostawiając za sobą wszystkie problemy i troski. Nie prześpi się z nim, to już postanowiła, chociaż nie potrafiła powiedzieć, w którym momencie podjęła decyzję. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej wydostać się z jachtu.

Będzie musiała przenocować tutaj, otoczona wodą. Weźmie dwie tabletki uspokajające i jakoś to zniesie. Jutro o tej porze wizyta na jachcie będzie odległym wspomnieniem.

Jensen nie był zadowolony. Sytuacja się komplikowała, żadna nowość, często tak bywało. Harry zachwyił się Genevieve Spenser jak dzieciak, który zobaczył nową zabawkę. Można było oczywiście wykorzystać fakt, że Van Dorn chwilowo ma głowę zaprzątniętą gościem, ale takie rozwiązanie Peterowi

nie odpowiadało. Nie lubił komplikacji i zawsze starał się ich unikać. Powinien był zrobić wszystko, by Genevieve Spenser w ogóle nie pojawiła się na wyspie.

Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Trudno, stało się. Spodziewał się zobaczyć głupią i ładną panienkę, której pozbędzie się bez najmniejszych kłopotów. Spenser z pewnością nie należała do gatunku głupich pań. Była rzeczywiście ładna. Bardzo ładna, musiał przyznać, chociaż zwykle nie pozwalał sobie na tego rodzaju uwagi, nawet w myślach. Nie tylko ładna, ale i bystra, aczkolwiek starannie to ukrywała, a w dodatku... wściekła jak diabli.

Fascynowała go ta wściekłość. Kobiety, które znał, zwykle znajdowały ujście dla swojej złości. Każdy pretekst był dobry, żeby się wyładować. Spenser kontrolowała gniew, ale widział go w jej brązowych oczach. Jasne włosy i brązowe oczy, interesujące połączenie. Zapewne farba, a włosy w rzeczywistości mają mysi kolor.

Za dużo o niej myśli, ma przecież zadanie do wykonania. Hans zainstalował się już w kuchni, Renaud w maszynowni. Obaj czekali, gotowi na dany znak przejść do działania. Pozostałych pięciu Isobel Lambert wybrała sama i byli to naprawdę świetnie wyszkoleni fachowcy. Nowa załoga jachtu. Harry Van Dorn nie miał pojęcia, że otaczają go agenci Komitetu.

Być może w ogóle nie wiedział o istnieniu Komitetu. Mało kto wiedział, ale Harry był przebiegły. Przy swoich pieniądzach i ogromnej władzy mógł zdobyć niemal każdą informację.

Peter zaczynał się niecierpliwić.

Harry Van Dorn nie powinien stanowić problemu. To megaloman ze skłonnościami do okultyzmu, człowiek o chorym umyśle, który snuł skomplikowane plany zniszczenia gospodarki światowej, owładnięty żądzą zysku.

Problem polegał na tym, że Harry rozbił swój plan zdeorganizowania światowej gospodarki na wiele niepowiązanych ze sobą elementów, co

poważnie utrudniało rozwikłanie zagadki. Ludzie pracujący dla niego nie wiedzieli o sobie wzajemnie, nie mieli pojęcia, że obok nich są inni, którzy realizują inny fragment planu.

Peter pracował dla Harry'ego zaledwie od czterech miesięcy. Krótco w porównaniu z ostatnią misją, kiedy to odgrywał rolę sekretarza niejakiego Marcella Ricettiego, sycylijskiego handlarza bronią i sadysty lubiącego młodych chłopców. Spędził z nim rok i przez ten czas robił wszystko, żeby Ricetti nie tykał dzieci. Drogo zapłacił za to zadanie, bo właśnie wtedy zostawiła go żona, ale był gotów zapłacić nawet taką cenę.

Praca dla Van Dorna nie dotyczyła, na szczęście, aż tak intymnych spraw. Harry wymagał od asystenta jedynie tego, by ten dbał o jego wygodę. O swoje potrzeby seksualne dbał sam, nie potrzebował żadnych pośredników.

Tu Peter znowu wrócił w myślach do Genevieve Spenser. Byłoby lepiej, gdyby poszła do łóżka z Harrym. Jeśli będzie spała sama, w jednej z kabin dla gości, Renaud gotów poderżnąć jej gardło.

Tak się stanie, jeśli nie będą mieli wyboru. Nie mogą pozwolić, żeby dziewczyna wróciła do Nowego Jorku i zaczęła opowiadać o zniknięciu Harry'ego Van Dorna i jego luksusowego jachtu. Cóż, na wojnie tak bywa, giną też niewinni cywile, powiedziałaby Thomason. Ale Thomason odszedł, zastąpiła go madame Lambert i Peter miał nadzieję, że w Komitecie zapanują trochę inne porządki, mniej okrutne.

A jednak ludzie, którzy wiedzieli zbyt dużo, zawsze stanowili problem. Narkotyki okazywały się zwodnicze, nigdy nie było wiadomo, w jaki sposób zadziałają na pamięć. Kiedy gra toczy się o wysoką stawkę, nie wolno ryzykować.

Może nie będą musieli uciekać się do ostateczności. Może jednak uda mu się pozbyć dziewczyny z jachtu. Widać, że sama chce się wydostać stąd jak najszybciej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, polecą o świcie do Kostaryki, jak zaplanowała. Co prawda widziała go, ale nie będzie potrafiła podać żadnych

cech charakterystycznych. To był jeden z talentów Petera. Potrafił niemal wtopić się w tło, wyglądać niepozornie i banalnie.

Niepotrzebnie przejmując się dziewczyną. Niech sobie Spenser zostanie na jachcie. Zajmie się nią we właściwym czasie. Postara się, by przeżyła. Jeśli trzeba będzie ją zlikwidować, zadba, żeby nie cierpiała. W końcu w niczym nie zawiniła, poza tym, że była bogata, co zapewne zepsuło jej charakter.

Kabina, którą Gene dostała, bardziej przypominała apartament w pięciogwiazdkowym hotelu niż pomieszczenie na statku. Ogromne łóżko zajmujące jedną czwartą wnętrza, panoramiczne okno z widokiem na ocean... Gene szybko zaciągnęła zasłony.

Wzięła prysznic, dla samej przyjemności skorzystania z luksusowej łazienki. Wychowana w bardzo skromnych warunkach, w domu, w którym robiono wszystko, by zachować pozory dostatku, dość szybko przywykła do komfortu. Czasami ją to bawiło. Kto by pomyślał, że mała Gene Spenser, dziewczyna z tak zwanej dobrej rodziny, będzie kiedyś naprawdę zamożna?

Pieniądze zgromadzone przez jej przodków rozplynęły się, zanim przyszła na świat. Zostały tylko pretensje do pozycji w świecie nie poparte groszem, ale Spenserowie ciągle udawali lepszych. Nie hańbili się pracą. Dom podupadał, dach przeciekał, ogród zarastał chwastami, jadło się tani makaron z serem przygotowywany przez matkę, ale zachowywano pozory majątności.

Dobrze chociaż, że mieli dach nad głową, chociaż niestety dziurawy. Do czasu. Po śmierci ojca okazało się, że sprzedał dom władzom stanowym Rhode Island. Sprzedał wszystko: dom, ziemię, nawet meble. Kolekcja sztuki została przejeżdżona znacznie wcześniej. Już babka Gene wyprzedala prawie całą biżuterię, toteż jej potomkom zostało niewiele cennych rzeczy.

Nikt ich nie odwiedzał, bo wtedy sekret by się wydał. Rodzice wymawiali się ustawicznymi remontami i renowacjami. Ze znajomymi spotykali się w klubach i restauracjach, a potem Gene i jej siostra przez wiele tygodni jadły

chleb z margaryną; trzeba było przecież jakoś pokryć koszt rachunku za ostatnią kolację w drogim lokalu.

Dzisiaj mogła jeść, co zapragnęła, kupować, co tylko chciała. Nic dziwnego, że miała lekką nadwagę. Zbyt wiele było pokus, którym nie potrafiła się oprzeć. Gdyby jej zawsze szczuplutka matka żyła, byłaby zapewne przerażona.

Rodzice dawno odeszli, dom przepadł, a Genevieve Spenser dzięki pracy w kancelarii Ropera i Fredericksa zdołała zgromadzić prawdziwą fortunę. Matka powiedziałaby, że Gene należy do świata Harry'ego Van Dorna, chociaż pewnie kręciłaby nosem na jego poprawne politycznie fabryki. Matka uznawała tylko jedną formę bogacenia się: przez dziedziczenie. Wszelkie inne pieniądze znamionowały nuworyszy, a ci, jak wiadomo, zaliczają się do prostaków. A ojciec... ojciec wychyliłby kolejną szklaneczkę szkockiej.

Gene wyszła odświeżona spod prysznic, zażyła kolejną tabletkę i zamierzała dołączyć do Harry'ego. Przypomniała sobie w duchu, że musi uważać z winem. Prześpi się w ogromnym łóżu, w drogiej atlasowej pościeli, a już jutro będzie nocowała w śpiworze, pod gołym niebem i zapewne... o niebo szczęśliwsza.

Kiedy wyszła z łazienki, zapadał zmierzch. Przez lekko prześwitujące zasłony widać było światła na brzegu. Nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, że widzi ląd, czy raczej niepokoić, że sama jest na wodzie. Na wszelki wypadek nie odsłoniła okna. Przebrała się, odrywając metki z ubrań dostarczonych przez Jensena. Czterdziestka. Asystent idealny pamiętał o wszystkim.

Sięgnęła po buteleczkę z tabletkami i połknęła od razu dwie. Nie mogła pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku. Popadała w paranoję. Może to ocean tak na nią wpływa? Tabletki za chwilę powinny zacząć działać. Pojutrze je wyrzuci. Albo zapakuje głęboko do plecaka i wyjmie dopiero po powrocie do Nowego Jorku i do życia, które wybrała.

Usiadła w fotelu i znieruchomiła jak podczas medytacji, czekając, aż tabletki zaczną działać. Wszystko będzie dobrze. Nie ma się czym denerwować. Jutro stąd wyjedzie i zapomni o Van Dornie i o jego jachcie.

Jest śliczna, myślał Van Dorn, przyglądając się jej na monitorze telewizji przemysłowej. Ubranie było na nią trochę za ciasne, ale bez ubrania prezentowała się całkiem dobrze. Miał już serdecznie dość anorektycznych modelek.

Kierował się w życiu impulsami, rzadko skupiał na czymś uwagę przez dłuższy czas. Potrafił zaangażować się na moment, ale niemal obsesyjnie, potem natychmiast tracił zainteresowanie obiektem. Miał dziewice, starsze panie, brzydkie kobiety i przystojnych chłopców. Chętnie zabawiłby się z dziećmi, gdyby nie ich nieprzyjemna skłonność do płaczu. Nawet jeśli znalazł już jakieś, które nie było beksą, zbyt szybko dorastało, a on nie lubił takich, które przekroczyły jedenasty rok życia.

Całkiem inaczej rzecz miała się z modelkami. Człowiek mógł się nimi interesować, było to powszechnie akceptowane, a i dziewczyny chętnie się z nim umawiały. Dla obu stron takie spotkania były korzystne.

Kłopot polegał na tym, że nie mógł żadnej z nich zrobić krzywdy. Ciało było ich majątkiem, z tego żyły. Siniak, złamana kość, zadrapanie, to wszystko natychmiast obniżało albo przekreślało na pewien czas wartość rynkową dziewczyny. Raz zdarzyło się, że przesadził. Chciał okupić winę pieniędzmi, ale dziewczyna odmówiła. Popęłniła bardzo poważny błąd. Później nikt się nie zdziwił, gdy znaleziono ją, zagłodzoną na śmierć anorektyczkę, w jakimś francuskim *chateau*.

To wszystko przeszłość.

Patrzył na Genevieve Spenser, pewien, że będzie ją miał. Śliczna Genevieve o delikatnej skórze... Jego prawnicy wiedzieli, jak go chronić, kiedy posuwał się trochę za daleko. Genevieve Spenser była prawdziwym darem z nieba. I ona, i dokumenty, które przywiozła.

Zrzekał się w nich najbardziej lukratywnych pól naftowych. Które za kilka tygodni miały eksplodować.

Zasada Siódemki. Siedem. Jego szczęśliwa liczba. Siedem katastrof, które zburzą ład gospodarczy. Będzie wiedział, jak wykorzystać ten chaos. Jest wystarczająco przenikliwy. Nic go nie powstrzyma.

Zdobędzie wszystko, czego pragnie.

A pragnień miał wiele.

ROZDZIAŁ TRZECI

Oczywiście to musi stać się dzisiaj wieczorem. Peter ze złością zamknął komunikator tak zaawansowany, że nie miał nawet nazwy. Madame Lambert przesłała wiadomość. Nie mogą dłużej czekać, akcję należy rozpocząć dzisiejszej nocy. O północy wypłyną w morze. Znikną i nikt ich nie odnajdzie, nawet przy zastosowaniu najlepszych systemów namierzających. Wszystko było od dawna przygotowane, ludzie Petera, najlepsi, jakimi dysponował Komitet, czekali tylko na znak.

Nikt ich nie odnajdzie, ale też nikt nie będzie ich szukał. Harry Van Dorn znany był z tego, że znikał, kiedy miał ochotę. Zaszywał się gdzieś, a świat myślał, że spędza czas na jachcie albo na swojej wyspie z kolejną długonogą modelką. Peter Jensen wiedział doskonale, jak uczynić te domysły wiarygodnymi. Harry rzeczywiście miał spotkanie na wyspie Little Fox, tyle że nie z modelką, lecz ze śmiercią. Długo odwlekane spotkanie. Im dłużej

Peter pracował dla Van Dorna, tym bardziej był tego pewien.

Dlaczego jednak madame Lambert wybrała właśnie dzisiejszą noc? Akurat wtedy, kiedy na pokładzie pojawiła się Bogu ducha winna dziewczyna? Peter był co prawda przygotowany na nieprzewidziane komplikacje, ale nie

chciał podejmować radykalnych decyzji. Musi ją usunąć z jachtu. Jeśli tego nie zrobi, Genevieve Spenser zginie.

Zostało mu zaledwie kilka godzin na odstawienie jej na ląd.

Nikt nie śmiał kwestionować rozkazów Komitetu, Peter nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Kiedy przychodziło polecenie, wykonywał swoje zadanie, nie oglądając się na konsekwencje. Nie chciał podejmować sam decyzji, nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, zresztą nie na tym polegała jego rola.

Komitet ratował świat przed szaleńcami. Jeśli trzeba było kogoś zlikwidować, organizacja wydawała wyrok śmierci. Peter wsunął na nos okulary w drucianych oprawkach. Śmieszna rzecz, ale tak naprawdę nie chciał zabijać Harry'ego Van Dorna. Bał się, że sprawi mu to satysfakcję, że zasmakuje w zabijaniu, a wtedy koniec z nim.

To powinna być czysta, estetyczna śmierć, zadana z oddali. Renard się tym zajmie, bo on nie miał żadnych wątpliwości, nie przeżywał rozterek. Może nawet trochę za bardzo lubił swoją robotę. Na tym polegała jego słabość. Zaletą Petera było jego lodowate opanowanie. Działał pewnie, z absolutną skutecznością. Nigdy jeszcze nie zawiódł.

Teraz też nie może zawieść. Musi tylko pozbyć się Genevieve Spenser. Natychmiast.

Przeliczyła się. Siedziała w wytwornej mesie na jachcie Van Dorna, jadła wymyślne dania, zbyt dobre, by mogły być dziełem znalezionego naprędce kucharza, i piła zbyt dużo wina. Powinna uważać, ale wino okazało się doskonałe, chociaż miała w tym względzie bardzo duże wymagania. Zbrodnią byłoby odmawiać. Znała siebie i wiedziała, kiedy powinna przystopować, ale tym razem za późno się zorientowała, że przesadziła. Pozostawało jej tylko oddalić się z godnością.

Wieczór był całkiem udany. Harry, czarujący jak zawsze, pełen uwagi, szarmancki, zabawiał ją anegdotami, w których kpił z siebie i swojego świata.

W innych okolicznościach być może uległaby czarowi zabójczo przystojnego miliardera. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni zainteresowała się jakimś mężczyzną. Szefowie na pewno byliby zadowoleni, a ona zażyłaby trochę przyjemności przed wyprawą do lasów deszczowych.

Miała jednak wątpliwości, czy rzeczywiście byłaby to przyjemność. Kiedy pierwszy raz poszła do łóżka z facetem, wcale nie było to przyjemne doświadczenie, wręcz przeciwnie, dość denerwujące i niesympatyczne. Po zażyciu tabletek uspokajających i wypiciu dużej ilości wina mogłaby pójść z Van Dornem do łóżka, ale mocno wątpiła, czy zaznałaby rozkoszy.

Harry flirtował z nią, to prawda, ale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto chciałby posunąć się dalej. Ona też zachowywała dystans.

- Jutro czeka mnie ciężki dzień - powiedziała, wstając od stołu. - Wieczór był bardzo miły, ale powinnam się już położyć.

Harry podniósł się z uśmiechem.

- Na pewno nie ma pani ochoty na ostatniego drinka przed snem? Pokazałbym pani moją kolekcję grafiki...

Zaśmiała się na tę propozycję.

- Odlóżmy oglądanie grafik na inną okazję. Jestem tak zmęczona, że oczy same mi się zamykają. Usnę na stojąco.

- Nie możemy do tego dopuścić. Zaraz zawołam Jensena.

Asystent pojawił się niczym duch. Jakby wyrósł spod ziemi. Jego obecność sprawiła, że Gene momentalnie wytrzeźwiała.

- Mam odprowadzić panią Spenser do kabiny, sir? Harry był wyraźnie niezadowolony.

- Sama znajdę drogę - powiedziała Gene.

- „Siedem Grzechów” to ogromny jacht. Nie chcę, żeby pani błędziła. Jensen się panią zaopiekuje. Po to tu jest. Prawda, Peter?

- Tak jest, sir - odparł tym swoim bezbarwnym głosem.

Omali nie zmieniała w ostatniej chwili zdania. Głupie, ale z prostoliniowym, uwodzicielskim Van Dornem czuła się bezpieczniej niż z przypominającym ducha asystentem o pustych oczach.

Nie wypła jednak aż tak dużo, by odważyć się na szaleństwo.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Jeśli to dla pana nie będzie kłopot, panie Jensen...

- To jego praca, Genevieve - powiedział Harry z teksańskim zaśpiewem.

Spojrzała na pozbawioną wyrazu twarz Jensena. Naprawdę potrzebowała urlopu. Dlaczego tak się denerwuje w jego obecności? Może tabletki, które zażyła, zamiast zadziałać uspokajająco, wprowadziły ją w stan bliski paranoi?

Nieważne. Jutro już będzie w lasach deszczowych Kostaryki, przestanie grać, udawać i będzie mogła wreszcie być sobą.

- Tędy proszę, panno Spenser. - Jensen otworzył drzwi i uklonił się.

- Jeszcze raz dziękuję za miły wieczór - zwróciła się do Harry'ego. Nie kłamała, wieczór był rzeczywiście udany. Tyle tylko że dałaby wszystko, by znaleźć się teraz gdzie indziej.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jensen odprowadzi panią do kabiny, a rano spotkamy się na śniadaniu.

Powinna uprzejmie odpowiedzieć, ale była tak zmęczona, że nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Przez cały wieczór uśmiechała się, zanosila śmiechem, reagowała odpowiednio niczym tresowana małpka i dotąd nie zdobyła podpisów Van Dorna na dokumentach. Dokumentach, o których przywiezienie sam prosił. Jutro rano, obiecywała sobie, nieco zamroczone. Jeśli jutro nie będzie chciał jej wypuścić, wyskoczy za burtę.

Ruszyła za Jensenem przez pokład, skąd widziała światła wyspy, tak, zdawałoby się, bliskie, a jednocześnie tak odległe. Wiatr rozwiewał jej włosy. Po chwili znaleźli się w wąskim, słabo oświetlonym korytarzu. Zdjęta nagłym atakiem klaustrofobii zapytała niepewnie:

- Czy aby na pewno tędy szliśmy wcześniej?

- To krótsza droga. Wygląda pani na osobę, która powinna się szybko położyć. Chyba że...

Zatrzymał się. Wpadła na niego z rozpędu, spieszyła się. Jensen okazał się człowiekiem z krwi i kości. Żaden duch.

- Chyba że co?

- Mogę tak wszystko zaaranżować, żeby jeszcze dzisiaj wróciła pani na wyspę, przenocowała w hotelu i odleciała jutro do Kostaryki pierwszym liniowym lotem, nie korzystając z propozycji Van Dorna.

Zbyt długo nie zdejmowała szkieł kontaktowych, obraz się rozmywał, niezbyt wyraźnie widziała Jensena, ale jego propozycja wydała się kusząca. Suchy ląd, żadnych jachtów, żadnych Van Dornów i żadnych dokumentów do podpisania. Nie mogła obrazić bogatego klienta, znikając bez wyjaśnienia, rezygnując z jego prywatnego odrzutowca i nie uzyskując cholernych podpisów. Gdyby tak postąpiła, mogłaby pożegnać się z pracą u Ropera i Fredericksa.

- Zostanę - oświadczyła. - Poza wszystkim kto przy zdrowych zmysłach zamieniłby lot prywatnym odrzutowcem na rejsowy samolot? - zagadnęła wesoło. Ja bym zamieniła, dodała w duchu.

Jensen w pierwszej chwili kiwnął tylko głową, a potem powiedział tym swoim obojętnym, pozbawionym wyrazu głosem:

- Jak sobie pani życzy, panno Spenser.

Próbował. Mógł zadziałać bardziej radykalnie, ogłuszyć ją i kazać wynieść któremuś ze swoich ludzi na ląd, ale takie rozwiązanie zrodziłoby zbyt wiele pytań, a on nie chciał ryzykować. Na wojnie, jak na wojnie, pomyślał sentencjonalnie. Zawsze starał się unikać w swojej pracy niepotrzebnych ofiar. Jeśli dziewczyna zginie, będzie to wyłącznie jej wina. Pozostawało mu pogodzić się z niemiłą perspektywą i odprowadzić upartą Genevieve Spenser do kabiny.

Ciekawe, ile tabletek zażyła. Przeszukał wcześniej jej torebkę, raczej z nawyku, bo nie kierowały nim jakieś szczególne podejrzenia, i odkrył środki uspokajające. Mógł próbować oszołomić ją i zostawić w takim stanie na

Kajmanach, ale wówczas zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego Harry zniknął tak nagle, pozbywając się jej z jachtu. Była bystra i z pewnością zaczęłyby coś podejrzewać, a misja Petera wymagała dyskrecji.

Zajrzał też do teczki z dokumentami, sfotografował je i przesłał kopie do Londynu. Jeszcze jeden element układanki tworzącej Zasadę Siódemki. Pytanie tylko, co wspólnego mają pola naftowe na Bliskim Wschodzie z zaporą wodną w Indiach? Jak to wszystko powiązać? A może nie ma tu żadnych powiązań?

Madame Lambert uznała najwyraźniej, że nie warto szukać odpowiedzi, bo na obecnym etapie jest to działanie pozbawione szans powodzenia. Bardzo dobrze. Dla Petera rzecz nie miała większego znaczenia. Gdyby tylko ta przekłeta dziewczyna nie weszła mu w paradę...

Specjalnie wybrał dłuższą drogę. Genevieve Spenser była na lekkim rauszu, ale dobrze się maskowała. W każdym razie nie będzie w stanie odnaleźć drogi powrotnej do apartamentów Van Dorna, gdyby taki pomysł przyszedł jej do głowy.

Peter nie rozumiał, dlaczego nie zdecydowała się spędzić nocy z Harrym. Ludzie nie zwykli mu odmawiać, a ona najwidoczniej odmówiła. Może była lesbijką, chociaż intuicja mówiła mu, że raczej nie. Bardziej prawdopodobne, że należała do kobiet oziębłych. Może też lubiła panować nad sytuacją, a z Harrym nie mogło się to udać.

Peter prosił centralę w Londynie, by przesłali mu wszelkie dostępne informacje na temat Spenser, ale koledzy się nie spieszyli i nadal nic nie wiedział o dziewczynie. Musiał działać po omacku, co nie ułatwiało sytuacji.

W każdym razie preferencje seksualne Genevieve Spenser niewiele go obchodziły. Znacznie ważniejsze było to, jak się dyskretnie, bez hałasu pozbyć niepożądanego gościa. Straty uboczne, tak się to nazywa. Chciał ich uniknąć, jeśli to możliwe.

- Może zdejmie pani buty - zaproponował obojętnym głosem, widząc, że Genevieve stąpa z niejakim trudem na wysokich obcasach.

Gene spojrzała na niego z niechęcią, ale zatrzymała się, oparła o ścianę i zzuła pantofle. Była wysoka, ale bez butów zdawała się bezbronna. Peter nie lubił bezbronnych kobiet.

- Mam wrażenie, że nie czuje się pani zbyt pewnie na wodzie - ciągnął bezlitośnie. - Dopóki stoimy przy nabrzeżu, nie ma się czego obawiać. Choroba morska pani nie grozi.

- Nie wiem, co to choroba morska - parsknęła wyniośle i Peter przeklął się w duchu, że wspomniał o takiej możliwości. Nie powinien był w ogóle się odzywać. - Po prostu nie lubię zamkniętych przestrzeni. Na statku zawsze czuję się jak w pułapce - dodała już innym tonem, jakby się zwierzała.

- Tym gorzej dla pani - mruknął i znowu pożałował tego, co powiedział. Korytarz, którym ją prowadził, był wąski, słabo oświetlony. Jeśli dziewczyna cierpi na klaustrofobię, za chwilę gotowa wpaść w histerię.

- Być może. Co wcale nie oznacza, że zaraz wpadnę w histerię - powiedziała, jakby czytała w jego myślach.

Peter powściągnął uśmiech. Dziewczyna była zadziorna, nie przypominała korporacyjnej lalki, choć w pierwszej chwili można było ją za taką uznać.

- Podtrzymuję propozycję. Mogę jeszcze wyprawić panią na ląd.

- Chce się pan mnie pozbyć?

Ostra, pomimo zażytych tabletek uspokajających i wypitego wina. Miała delikatne usta, bardzo ciemne oczy i Peter przez krótki moment zapragnął być kimś innym, niż był w istocie. Zaraz popełni poważny błąd i będzie musiał za to zapłacić.

Nie, nie powie, że chce uratować jej życie.

Ujął jej twarz w dłonie. Drgnęła odruchowo, ale nie cofnęła się.

- Taki romantyczny kaprys - powiedział z uśmiechem i pocałował ją.

Miała wspaniałe usta. Zaskoczona, lekko zamroczone alkoholem nie protestowała, co Peter, oczywiście, w pełni wykorzystał. Kiedy dotknął wargami jej ucha, straciła przytomność w jego ramionach.

Była piąta rano czasu londyńskiego, a madame Lambert nadal nie spała. Generalnie sypiała niewiele. Cecha genetyczna oraz kwestia treningu. Akcja na Karaibach już się zaczęła i Isobel czuwała, chociaż nie miała żadnego wpływu na rozwój wypadków.

Nigdy nie poprosiła nikogo, by zrobił coś, czego sama nie byłaby w stanie dokonać. Peter Jensen był najlepszym agentem, jakiego miał Komitet. Nie musiała długo się zastanawiać przed podjęciem decyzji. Intuicja podpowiadała jej, że należy rozprawić się z Harrym Van Dornem już teraz, zanim zdąży wyrządzić nieodwracalne szkody.

Pojawiła się jednak dziewczyna i Jensen, zwykle zimny jak lód, raptem zaczął mieć skrupuły. Mogła, oczywiście, porozumieć się bezpośrednio z Renaudem, polecić mu zlikwidowanie dziewczyny, ale zwlekała. Renaud był bezwzględny, mógł pracować wyłącznie pod nadzorem kogoś zrównoważonego, takiego jak Jensen. Jeśli istniał jakiś sposób oszczędzenia dziewczyny, bez uszczerbku dla powodzenia misji, Peter z pewnością ją oszczędzi.

Tymczasem zdobyli kolejne informacje na temat Van Dorna. Pola naftowe w Arabii Saudyjskiej i zapora wodna w Indiach. Co ten człowiek zamierza? O co mu chodzi?

Peter Jensen spojrzał na nieprzytomną Genevieve. Często używał tego triku, szczególnie gdy chciał uratować komuś życie. Jeśli dziewczyna była na tyle nierozsądna, że nie chciała posłuchać jego rady i zejść z jachtu po dobroci, on się tym zajmie, a potem pomyśli o konsekwencjach. Madame Lambert z pewnością nie będzie zadowolona, ale ufała mu i powinna zrozumieć, że skoro odstąpił od pierwotnego planu, to znaczy, że miał po temu powody. Dostanie mu się za to, o ile jednak rzecz się nie wyda i Komitet nie zostanie zdekspirowany, wszystko skończy się dobrze.

Genevieve Spenser była cięższa, niż sądził, ale miał dość siły, by zarzucić ją sobie na plecy. Nie troszcząc się o jej pantofle, ruszył w stronę trapu.

- Co tam masz, Pete? Prezent dla mnie? - Renaud, z papierosem w zębach i nożem w dłoni, nachylał się nad jakimiś skrzynkami stojącymi na pokładzie.

- Niezupełnie. Chcę usunąć ją z jachtu, zanim zrobimy porządek z Van Dornem. Zabierz ją i zostaw gdzieś na wyspie.

Renaud odłożył nóż i wyprostował się.

- Nie żyje czy ja mam ją wykończyć?

- Żyje i nie będziesz jej wykańczał. Zapomnij o tym. Po prostu zostaw ją w jakimś ustronnym miejscu. Niech upłynie trochę czasu, zanim ktoś ją znajdzie. I pospiesz się, bo już jesteśmy spóźnieni.

- A będziemy jeszcze bardziej, jeśli mam ją wywieźć. Jak jej nie chcesz, to ja się nią zajmę. Ładna z niej sztuka.

- Przeszkadza nam. Nie gadaj głupstw, tylko usuń ją stąd.

- Ile to roboty? - mruknął Renaud. - Wyrzucę ją za burtę i będzie spokój.

Peter nie miał ochoty sprzeczać się dłużej z nastawionym dość jednokierunkowo Renaudem.

- W takim razie sam ją wywiozę.

- Hansowi to się nie spodoba.

- A co Hans ma do powiedzenia? Pamiętaj, że to ja kieruję akcją.

- Owszem, ale polecenie centrali było wyraźne: mamy się nawzajem pilnować. Komitet już nie ufa nam tak jak kiedyś.

Peter ledwie powstrzymał się od śmiechu. Komitet i zaufanie? Cóż za oryginalne zestawienie. Nie zaśmiał się jednak, bo Renaud działał mu na nerwy, a nieprzytomna dziewczyna ciążyła coraz bardziej.

- Wywieź ją stąd do diabła, a ja zajmę się Hansem - warknął.

- Kiepski pomysł, Pete. - Jensen nie znosił, kiedy zwracano się do niego Pete i Renaud dobrze o tym wiedział. - Powinniśmy przystąpić do działania. Nie mamy czasu na heroiczne gesty.

Renaud wcale nie przesadzał. Początek akcji został wyznaczony na dwunastą w nocy. Północ była coraz bliżej, nie mogli ryzykować powodzenia misji dla jakiejś przypadkowej prawniczki z Nowego Jorku.

Peter skapitulował.

- Masz rację, Renaud. Chciałem zachować się jak dżentelmen. Nie wyszło. Mówi się trudno. Zaniosę ją do kabiny. Może uda się nam pozbyć Harry'ego, zanim panna się ocknie.

- Wierz w to, jeśli tak ci wygodniej. - Renaud rzucił niedopałek papierosa na tekowy pokład i starannie przydeptał stopą. - Obaj wiemy, jaki będzie finał. Mów sobie swoje, ale koniec końców i tak trzeba będzie ją zabić.

Peter nie skomentował brutalnie rzeczowej uwagi Renauda. Genevieve Spenser znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i nie chciała zejść z jachtu, kiedy jeszcze mogła to zrobić.

Teraz przyjdzie jej za to zapłacić.

I umrzeć.

Miała przyjemny sen.

Matka kołysała ją w ramionach. Tyle tylko że matka nigdy jej nie kołysała. Nieważne, teraz Gene czuła się bezpieczna, spokojna, wolna.

Coś cicho wibrowało i to też było bardzo miłe. Nie chciała się budzić. Rozkoszowała się przyjemnymi doznaniem. Gdzieś w zakamarkach umysłu czaił się nieokreślony niepokój, ale wołała go ignorować i spać dalej.

Powinna była wiedzieć, że to przyjdzie. Zawsze przychodziło, kiedy najmniej się spodziewała. Nie potrafiła tego powstrzymać, zapanować nad tym. Po raz pierwszy zdarzyło się trzy lata temu. Pracowała wówczas w bezpłatnej pomocy prawnej w małym miasteczku Auburn, w stanie Nowy Jork. Siedziała w swoim nędznym boksie, przy biurku zawalonym aktami beznadziejnych spraw, zamknięta wśród pokrytych wilgocią ścian pomalowanych na nijaki kolor, z kubkiem wystygłej kawy pod ręką i telefonem, który najpierw nie przestawał dzwonić, a potem zamilkł na dobre, jak martwy.

Dlaczego pracowała do późna, sama w tym przygnębiającym budynku? Zbyt wielu bardzo złych ludzi znało adres, a ona zdążyła już przysporzyć sobie wrogów. Była Joanną D'Arc, bohaterką spieszącą na odsiecz gnębionym, starała się pomagać dręczonym, bitym przez mężów kobietom, których wsadzała do pudła, żeby ich żony mogły odzyskać szansę na godne życie. Była skuteczna, dlatego wkrótce zaczęły do niej trafiać wszystkie sprawy dotyczące przemocy w rodzinie, z całego hrabstwa Clinton w stanie Nowy Jork. Była ponad ludzkie siły obciążona pracą.

Chronicznie przemęczona, harowała za marne grosze i wierzyła naiwnie, że jest w stanie zmienić świat, poprawić czyjś los.

Nie usłyszała kroków w korytarzu, nie miała pojęcia o niczym aż do chwili, gdy mąż Marge Whitman stanął w drzwiach jej boksu.

Facet o paskudnej twarzy i równie paskudnym charakterze. Wyszedł właśnie z więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za pobicie żony. Złamał jej rękę oraz trzy żebra. Miał zakaz zbliżania się do Marge i nieszczęśliwie mu się to podobało.

Genevieve nacisnęła ukryty pod biurkiem przycisk, którym mogła wezwać pomoc i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Niedziałający jest mianowicie - oznajmił intruz i zrobił krok ku niej. Wielki, zwalisty, śmierzdzący potem i piwem oraz ziejący wściekłością. - Całkiem niepotrzebnieś się wtrącała między mnie i moją. Nie twoja sprawa była. Jasne? Ktoś powinien teraz nauczyć cię rozumu.

Typ miał rację. Telefon rzeczywiście był głuchy. Gene poczuła strach. Raz jeszcze nacisnęła kolanem przycisk ukryty pod blatem biurka.

- Jeśli ma pan jakieś pretensje, panie Whitman, proszę przyjść w godzinach urzędowania - oznajmiła zimnym głosem, nie zdradzającym najmniejszego śladu zdenerwowania. - A teraz proszę stąd wyjść.

Typ zaśmiał się, wiedział doskonale, że nikt nie pośpieszy na pomoc, nie zamknął nawet przeszklonych drzwi boksu.

- Porozmawiamy teraz, paniusiu - oznajmił wyzywająco, z pewnością siebie charakterystyczną dla brutalnych prostaków - ale nie myślę, żeby na rozmowie się skończyło.

Próbowała uciekać, ale walnął nią o ścianę boksu. Usłyszała trzask pękającej szyby. Czasami udawało się jej zapomnieć o tamtym incydencie, ale bywały chwile, gdy wracał nieoczekiwanie.

Whitman zdzielił ją pięścią w twarz, a kiedy upadła na podłogę, w potłuczone szkło, zaczął ją kopać. Czowała, jak odłamki szyby wbijają się w skórę. Trwało to całą wieczność, gdy już myślała, że skończył, przychodził kolejny kopniak wywołujący stłumiony jęk. Usta miała pełne krwi.

Nachylił się nad nią i szarpnął za ramię, zbliżając twarz do jej twarzy.

- Niech cię cholera - rzucił. - Takiego ścierwa nawet zabijać nie warto.

Musiała zemdleć. Kiedy się ocknęła, leżała w mrocznym biurze, w kałuży krwi.

Doczołgała się jakoś do schodów i tu straciła resztki sił. Nie mogła krzyczeć, wzywać pomocy, zresztą i tak nikt by nie usłyszał. Leżała tak, skrwa-wiona, skopana i płakała bezgłośnie.

Spędziła tydzień w szpitalu.

Kiedy wreszcie mogła mówić, Whitman zdążył zniknąć, razem z żoną i dwójką dzieci. Ludzie twierdzili, że Marge wyjechała z nim zupełnie dobrowolnie, a Gene im wierzyła. Otrzymała wszak bukiet kwiatów z dołączonym bilecikiem: „Tak mi przykro”. Bez podpisu, ale nie przysłał go z pewnością Whitman.

Policja niby zaczęła poszukiwania, ale bez wielkiego przekonania. W końcu nie zabił jej, nie spowodował nawet tak zwanych trwałych uszkodzeń ciała. Doszła jakoś do siebie z pomocą fizjo- i psychoterapeutów, po jakimś czasie przestała bać się mężczyzn, zaliczyła kursy samoobrony dla kobiet i wyjechała na bezpieczne pastwiska Nowego Jorku, gdzie zamierzała wieść o wiele spokojniejsze życie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Harry nie był w najlepszym nastroju. Już miał podjąć bardziej zdecydowane działania wobec Genevieve Spenser, kiedy Jensen nieproszony wetknął nos do kabiny i zabrał ją. Harry'ego tak to rozwścieczyło, że chętnie by się na kimś wyładował.

Najchętniej na samej Genevieve Spenser.

Nie byłyby to żaden problem. Pomieszczenia na jachcie były dźwiękoszczelne. Nawet gdyby dama narobiła hałasu, nikt by jej nie usłyszał. A gdyby, co wątpliwe, usłyszał, doszedłby do wniosku, że albo głośna z niej sztuka w łóżku, albo dzieje się coś, o czym lepiej nie wiedzieć.

Harry bardzo nie lubił, kiedy pozbawiono go z jakichś powodów jego drobnych przyjemności, a w swojej prywatnej kabinie posiadał różne ciekawe utensylia uprzyjemniające życie. Nie będzie z niczego rezygnował. A z Peterem Jensenem porozmawia sobie od serca.

Jensen dotąd, a pracował dla Harry'ego od czterech miesięcy, wykonywał swoje obowiązki bez zarzutu, ale też miał najlepsze referencje. Wcześniej zatrudniali go ludzie, którzy wymagali od podwładnych absolutnej dyskrecji i wykonywania poleceń bez zadawania zbędnych pytań.

Jensen okazał się sekretarzem doskonałym. To nie jego wina, że pewna młoda Tajka uciekła, zanim Harry z nią skończył. Zawinił człowiek, który jej nie dopilnował. Harry oczywiście stosownie go ukarał.

Cóż, teraz udzieli Jansenowi ostrej reprymendy i zabawi się ze słodką panną Spenser. Nie szkodzi, że jest trochę za tłusta. Tłuste damy też potrafią dostarczyć człowiekowi rozrywki, stanowią, od czasu do czasu, interesującą odmianę.

Podniósł głowę, słysząc, że maszyna znowu pracuje, i ogarnęły go niemiłe przeczucia. Horoskop na dzisiaj przepowiadał, niestety, poważne kłopoty, ale

czytając go rano, nie chciał myśleć o niemiłych rzeczach i przeszedł szybko do tego, co zapisane w ascendencie.

Podniósł się i podszedł do okna. Wychodzili z portu, światła wyspy oddalały się nieuchronnie. Działo się coś dziwnego. O tej porze, w nocy, pierwszy mechanik razem z kapitanem nie przeprowadzaliby swoich rutynowych prób, w czasie których wypływali na redę, by wrócić po półgodzinie.

Zaklął wściekły, wybiegł z kabiny i wpadł na pokładzie na Jensena.

- Do jasnej cholery... - zdążył jeszcze wrzasnąć, zanim obezwładniający ból przeszył mu czaszkę. Ogarnęły go ciemności.

Jacht płynął. Gene nie mogła się mylić, nic sobie nie uroiła w chorej wyobraźni, nie była to żadna pozostałość dręczącego snu. Cholerny jacht wypłynął z portu.

Podniosła się z koi. Ciągle miała na sobie jedwabną suknię, którą nosiła wieczorem. Trochę za dużo wypila, to prawda, poza tym w ciągu dnia wzięła aż trzy tabletki uspokajające, ale żeby do tego stopnia nie wiedzieć, co się z nią dzieje?

Usiadła na podłodze koło łóżka i ujęła głowę w dłonie. Nie pamiętała, jak dotarła do kabiny. Odprowadził ją chyba ten asystent poruszający się jak zjawa, ale tego mogła się tylko domyślać. Położył ją do łóżka, otulił kołderką i pocałował w czoło na dobranoc?

Cholera jasna. Głupie żarty się jej trzymają. Jednak zmuszona do wysiłku pamięć podpowiadała, że tak, istotnie, ten sukinsyn rzeczywiście ją pocałował.

Chyba tak. A może jej się to przyśniło, zanim pojawiły się koszmary, chociaż, prawdę mówiąc, wolała koszmary niż sny, w których całuje ją ktoś taki jak Peter Jensen. Z nocnymi koszmarami nauczyła się już żyć.

Wstała z podłogi. Przynajmniej nie padła na łóżko w pantoflach. Podeszła do bulaju i próbowała odciągnąć zasłonę, ale nie udało się jej, uniosła zatem ciężki materiał. Jej najgorsze obawy znalazły potwierdzenie. Luksusowy jacht

sunął spokojnie po nocnym morzu, prując fale. Maszyna pracowała. Gene opuściła zasłonę i zakłęła pod nosem. Jeśli to miał być jakiś dowcip ze strony Harry'ego Van Dorna, to doprawdy mało wybredny.

Może postanowił odstawić ją swoim jachtem do Kostaryki? Z Kajmanów to w końcu krótki rejs, a ona nie przyznała się, że nienawidzi otwartego morza. Powziąłby taką dziwną koncepcję flirtu? Przyzwyczajony, że kobiety padają mu do stóp, założył, że Gene będzie zachwycona jego staraniami?

Nie, zdecydowanie nie była zachwycona. Odnajdzie go i postawi ultimatum. Wprawdzie nie widziała na pokładzie lądowiska dla helikopterów, ale zakładała, że Van Dorn takowe posiada. Niech zatem wezwie samolot, który ją stąd zabierze, jeszcze teraz, w nocy. Najlepiej w ciągu najbliższej godziny.

Jeśli zleci to Jensenowi, asystentowi idealnemu, to maszyna przyleci tutaj nawet za pół godziny. Jensen chyba jej jednak nie pocałował. A jeśli tak? Facet wydawał się całkowicie aseksualny. Co też jej się roi w głowie? Najlepszy dowód, jak bardzo potrzebuje wakacji, skoro umysł aż tak bardzo ją zawodzi.

Wzięła prysznic i przebrała się w swoje rzeczy. Spała w soczewkach kontaktowych, czego nie powinna robić. W ogóle czuła się nieświeża i bezbronna, ale po kwadransie była już znów panią mecenas Genevieve Spenser, osobą rzeczową i chłodną. Wypracowała sobie dawno swój profesjonalny wizerunek i z łatwością go przywdziewała, była w tym ekspertem, nie potrzebowała do tego pełnego rynsztunku w postaci butów i makijażu. Odbicie w lustrze nie wyglądało co prawda zbyt zachęcająco, ale trudno. Wszelkie braki w wyglądzie nadrobi słusznym gniewem.

Niestety, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz od zewnątrz. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć. Szarpała klamkę, ale cholerne drzwi nie ustępowały.

I wtedy nerwy jej puściły, zaczęła walić pięściami w drzwi i krzyżeć ile sił w płucach:

- Otwórz, sukinsynu! Wypuść mnie stąd! To porwanie! Pozwę cię do sądu i nie będę się przejmować, że moja kancelaria reprezentuje twoją fundację. Odpowiesz mi za to, ty podstępny draniu.

Krzyczała, kopała, waliła, aż za drzwiami rozległo się czyjeś warknięcie:

- Zamknij się!

Głos, którego wcześniej z całą pewnością nie słyszała, z silnym akcentem, najprawdopodobniej francuskim.

- To otwórz te przekłete drzwi i wypuść mnie stąd! - krzyknęła.

- Masz do wyboru, paniusiu. Albo będziesz siedzieć cicho i czekać, aż zdecydujemy, co z tobą zrobić, albo swoimi wrzaskami zmusisz mnie, żebym poderżnął ci gardło i uciszył cię na dobre.

Gene zamarła. Sytuacja była tak melodramatyczna i absurdalna, że aż komiczna. Z drugiej strony Gene wcale nie było do śmiechu. Bezbarwny, anonimowy, wyprany z wszelkich emocji głos brzmiał naprawdę groźnie.

- Co się dzieje z tym jachtem? Dlaczego wypłynęliśmy z portu i dlaczego zostałam zamknięta w tej cholernej kabinie? - zapytała, tym razem bardzo spokojnie, niemal chłodno.

- Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie. Szef zdecyduje, kiedy cię poinformować. A tymczasem siedź cicho i postaraj się nie sprawiać mi kłopotów. O ile, oczywiście, chcesz wrócić do swojego luksusowego życia w Nowym Jorku.

Wiedziała, że nie powinna się odzywać, ale trudno jej było zachować milczenie.

- Co za szef?

- Nikt, z kim chciałabyś się pieprzyć, paniusiu.

- Harry?

Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko odgłos oddalających się kroków.

Kusiło ją, by jeszcze coś krzyknąć, ale rozum podpowiedział jej, że lepiej będzie się powstrzymać i zamknąć buzię na kłódkę. Spotkała w swojej krótkiej

karierze obrończyni uciśnionych wystarczającą liczbę socjopatów oraz zdeklarowanych kryminalistów, by ich bezbłędnie rozpoznać. Facet za drzwiami brzmiał niebezpiecznie. Gdyby uznał, że trzeba ją zlikwidować, zrobiłby to bez mrugnięcia okiem. A jego tajemniczy szef wydawał się jeszcze groźniejszy. Nie Harry. Harry był jowialnym Teksańczykiem, a w obecnej sytuacji zapewne też ofiarą porwania. Owym szefem musiał być ktoś inny.

Rzuciła zakiet na koję i zaczęła chodzić niespokojnie po kabinie. Wreszcie doszła do tego, jak odsłonić zasłony, otworzyła nawet bulaj. Trudno powiedzieć, żeby była to droga ucieczki, bo bulaj wychodził wprost na wodę, nie na pokład, więc nigdzie by w ten sposób nie przeszła.

Co się tutaj u diabła dzieje? Mężczyzna za drzwiami mówił, że dopiero muszą postanowić, co z nią zrobić. Łatwo przewidzieć, była przecież dla nich zawadą. Usuną ją, to jasne. Chodziło im o Harry'ego Van Dorna i jego miliardy. Czy był ich zakładnikiem? Jeśli tak, mogli użyć jej jako negocjatorski. Może dlatego szef zdecydował się zachować ją przy życiu? W każdym razie do czasu.

Co z Jensenem? Najpewniej zdążyli go już zlikwidować. Od początku musiał być przeznaczony do odstrzału. Chyba że sam brał udział w akcji. Co by oznaczało, że idealny sekretarz jest terrorystą. Nie bardzo mogła to sobie wyobrazić.

W kosmetyczce miała scyzoryk. Jej kostium nie posiadał kieszeni, ale mogła wetknąć scyzoryk do biustonosza, na wszelki wypadek. Przede wszystkim jednak musi zachować spokój. Tego nauczyła się w czasie wielomiesięcznej terapii po napadzie. Wyjęła swoje środki uspokajające i połknęła dwie tabletki. To powinno ją wyciszyć, nie oszalamiając. Bogu niech będą dzięki, że je zabrała w podróż.

Sięgnęła po teczkę, ale dokumenty, które przywiozła do podpisu, zniknęły, ktoś zdążył wyjąć je w nocy. To akurat było w tej chwili najmniejsze zmartwienie. Wyjęła notes i zaczęła sporządzać listę spraw do przemyślenia, bo to pomagało jej się uspokoić.

Niewykluczone, że Harry Van Dorn urządził jej jakiś kretyński dowcip. Nawet najgłupszy dowcip byłby szczęśliwą, ale mało prawdopodobną alternatywą. Znacznie bardziej prawdopodobne, że Harry sam padł ofiarą jakiejś bliżej nieokreślonej akcji. Porwanie? Był wart zawrotne pieniądze. Działanie polityczne jakiejś zdecydowanej na wszystko bojówki? Co chcieliby w ten sposób osiągnąć? Rozgłos w mediach? Pieniądze? A może zamierzali uśmiercić Harry'ego w odwecie za jego posunięcia w jakimś odległym kraju?

Miała nadzieję, że nie. Zdawał się zupełnie nieszkodliwym człowiekiem, pełnym równie nieszkodliwych dziwactw i przesądów. Musiał mieć całą gwardię ochroniarzy, był bogaty, chociaż nie widziała przy nim nikogo poza Peterem Jensenem, a ten byłby zupełnie bezużyteczny w sytuacji zagrożenia.

Nie należało wykluczać innych możliwości, ale na razie Gene mogła tylko spekulować, co właściwie się stało. I zakładać rzecz najbardziej oczywistą - że i ona, i Harry Van Dorn są zakładnikami.

Spojrzała przez okno. Była zawsze świetną pływaczką, potrafiła pływać nawet kilka godzin, kłopot w tym, że nie miała pojęcia, ani jak daleko są od brzegu, ani, co znacznie ważniejsze, w którym kierunku miałyby podążać.

Jeśli grozi jej śmierć, lepiej skoczyć do wody i na oślep próbować szczęścia, licząc na ratunek. Przede wszystkim musi jednak zachować spokój i rozważnie podejmować decyzje.

Ledwie to pomyślała, usłyszała jakieś odgłosy za drzwiami. Czując scyzoryk tkwiący bezpiecznie w staniku, była ubrana w swój kostium od Armaniego, czyli była w swojej służbowej zbroi najlepiej opłacanej korporacyjnej prawniczki, jednak na ponurym typie, który stanął w progu z automatem w dłoni, jej wygląd nie zrobił najmniejszego wrażenia.

- Szef chce cię widzieć - oznajmił.

Rozpoznała głos zza drzwi i złożyła w duchu cichą podziękę niebiosom, że miała dość rozumu, by usłuchać pogroźek i zamknąć się w odpowiednim momencie. Ten typ nie wyglądał na faceta, który rzuca słowa na wiatr.

- Gdzie jest pan Van Dorn? - zapytała zimnym głosem i sięgnęła po teczkę.

- Teczki nie musisz brać. Jeśli masz pytania o Harry'ego Van Dorna, wkrótce ktoś ci udzieli odpowiedzi. A teraz zamknij się i chodź ze mną. I nie rób żadnych głupstw. Nie cierpię zmywać krwi z pokładu.

- A po co mielibyście szorować pokład? - Kiedy się zdenerwowała, zawsze za dużo mówiła, a pigułki najwyraźniej nie zadziałały. - Jeśli to porwanie z wymuszeniem, to chyba wam wszystko jedno, w jakim stanie zostawicie jacht.

Typek zamrugnął gwałtownie, niczym grzechotnik szykujący się do ataku. Gene pomyślała, że należałoby się błyskawicznie ukryć, ale facet niespodziewanie się roześmiał.

- Ktoś zapłaci niezłe pieniądze za jacht - powiedział.

- Za ten przerośnięty pływający pałac? Ktokolwiek go kupi, nie popłynie nim daleko.

- Miło, że tak się pani troszczy, ale przeciwnie, może popłynąć bardzo daleko, gdzie nikt nie będzie zawracał sobie głowy miejscem pochodzenia tej jednostki. Można też zacumować sobie to cudeńko u brzegów prywatnej wyspy i napawać nim wzrok. Poza tym ktoś, kogo będzie stać na taki luksus, nie musi przejmować się prawem. A teraz zamknij się, idziemy.

Gene zamknęła się i ruszyła długim, wąskim korytarzem. Niemal spodziewała się zobaczyć ciała i krew, ale jacht wyglądał nieskazitelnie, dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Szła, oglądając się, czy typ postępuje za nią. Owszem, szedł z automatem wycelowanym w jej kręgosłup. Taka broń może uczynić człowiekowi poważne i raczej nieodwracalne szkody.

Wyszli na pokład i łagodny wiatr rozwiał jej włosy. Mogła je obciąć przed wyjazdem, w końcu uznała, że w Kostaryce będzie zaplatać je w warkocz. Niestety Kostaryka oddaliła się w bliżej nieokreśloną przyszłość.

- Ruszaj się. Tymi schodami w górę - warknął facet.

Nie miała pojęcia, gdzie zgubiła swoje luksusowe pantofle od Blahnika na niebotycznie wysokich obcasach. Szkoda. Przydałyby się, ale będzie musiała poradzić sobie bez nich. Kopnęła z całej siły, trafiając typa stopą w twarz. Klnąc, stoczył się po schodach. Nie oglądała się, by sprawdzić, czy facet odniósł jakieś poważne obrażenia, tylko ruszyła biegiem.

Górny pokład był pusty, zalany oślepiającym słońcem. Nie bardzo było się tu gdzie schować. Szarpnęła pierwsze drzwi. Pomieszczenie gospodarcze. Trudno. Ledwie wcisnęła się do ciasnej komórki, usłyszała ciężki tupot stóp na tekowym pokładzie.

W komórcie panowały egipskie ciemności, pachniało benzyną i środkami czystości. Gene oblał zimny pot, serce waliło jej jak oszalałe, ale poza tym była nadzwyczajnie spokojna i niezwykle z tego dumna. Po tamtym pobiciu w Auburn długo i intensywnie uczyła się, co robić, kiedy znowu ktoś ją zaatakuje. Co prawda obecne okoliczności były dość nietypowe, ale poradziła sobie. Facet z pewnością odniósł szkody na ciele, a ona uciekła. Ciekawe, jak jej odpłaci, kiedy ją znajdzie.

Jednego była pewna, tkwiąc bez ruchu w klaustrofobicznej ciasnocie komórki. Nie zamierzała umierać i nie zamierzała poddać się bez walki.

- Zgubiłeś coś, Renaud? - Głos rozległ się pod samymi drzwiami kryjówki i na jego brzmienie Gene poczuła, jak przenika ją lodowate zimno. Nie słyszała, żeby ktoś się zbliżał, a nasłuchiwała z całych sił. Nie rozpoznawała głosu. Był niski, chłodny, pozbawiony ekspresji.

- Tę sukę - doszła stłumiona odpowiedź Renauda.

- Uciekła ci, tak? Idź, ogarnij się, brudzisz pokład krwią.

- Najpierw porachuję się z tą małą jędzą... - warknął Renaud.

- Zdaje ci się. Nie masz z nią żadnych porachunków, masz tylko zadanie do wykonania. Znikaj, ja zajmę się panną Spenser.

- Zmienię ją w roślinę.

- Tylko dlatego, że udało się jej uciec? Bardzo wątpię. Nie doceniłeś jej. Madame Lambert przysłała właśnie bardzo obszerne informacje na jej temat. Dziewczyna jest świetnie opłacaną prawniczką, która przypadkiem wdepnęła w środek bardzo nieprzyjemnej dla niej sytuacji. Dla niej to rzeczywiście bardzo nieprzyjemne, ale dla nas niewielki problem. Mogliśmy i powinniśmy zakładać, że w chwili, gdy przyjdzie polecenie rozpoczęcia misji, Harry Van Dorn będzie miał kogoś na pokładzie.

- Trzeba z nią skończyć - warknął Renaud. - Im szybciej, tym lepiej.

- Będiesz robił wyłącznie to, co ci każę. Rozumiesz?

Głos brzmiał lodowatym chłodem i Gene poczuła gęsią skórę na ramionach. Nie miała najmniejszej ochoty poznawać jego właściciela. Wody Morza Arktycznego byłyby z całą pewnością cieplejsze niż ten głos, rozbrzmiewający tuż pod drzwiami jej kryjówki.

- Tak jest, co każesz, szefie - powtórzył Renaud, starając się powściągnąć wściekłość.

- Obmyj się, pooklejaj jakimiś plastrami i idź do jej kabiny. Musimy pozbyć się jej rzeczy. Nie zostawiamy żadnych śladów. Pamiętaj, to jedna z naszych żelaznych zasad.

- A co z nią?

- To jest jacht na środku oceanu, Renaud. Ogromny, ale i tak nie ma tu zbyt wielu miejsc, gdzie można się schować. Znajdziemy ją, a zajmę się nią osobiście we właściwym czasie.

Gene wstrzymała oddech, oczekując protestów, ale Renaud został całkowicie spacyfikowany.

- Obiecaj mi tylko, że będzie ją bolało - rzucił.

- Zrobię dokładnie tyle, ile trzeba dla powodzenia misji. Nie podejmę ani jednego działania mniej, ani jednego więcej.

Słyszała oddalające się kroki Renauda, słyszała, jak wchodził po schodach, po czym wszystko ucichło. Szef być może też odszedł, ale nie była

tego wcale pewna. Nie usłyszała przecież, jak się zbliżał. Nie mogła ryzykować. Policzy do pięciuset, a potem wyjdzie z kryjówki.

I co dalej?

Skok za burtę wydawał się jedyną drogą ucieczki. Pod warunkiem że uda się jej znaleźć kamizelkę ratunkową i flary. Jeszcze lepsza byłaby mała dingy, automatycznie wypełniająca się powietrzem łódź ratunkowa. Gene odczekałaby, aż jacht zniknie z pola widzenia, i dopiero wtedy nadmuchałaby łódkę. W najgorszym razie po prostu wyskoczy za burtę, bez żadnego wsparcia ratunkowego. Lepsze zimne wody oceanu niż przeraźliwie lodowaty głos niewidzialnego mężczyzny. Nie miała pojęcia, czy w tym rejonie są rekiny. Z całą pewnością znajdowały się na pokładzie jachtu.

Policzyła dwa razy do pięciuset, w swoim mocno zardzewiałym francuskim, co zajęło jej trochę czasu. Zastanawiała się przez moment, czy nie liczyć po łacinie, ale na studiach nigdy nie była dobra z łaciny, a poza tym minęło zbyt wiele czasu i niewiele pamiętała, chociaż właściwie jako prawniczka powinna.

Uznała, że w pobliżu pomieszczenia gospodarczego nie ma już nikogo. Niemożliwe, by szef stał tak długo. Gdyby wyczuł, że się tutaj ukryła, po prostu otworzyłby drzwi.

Zaczęła szukać po omacku klamki. W ciemnościach kompletnie nic nie widziała i jej dłoń cały czas natrafiła na gładką powierzchnię. Nie wytrzyma dłużej w maleńkim, dusznym, najwyraźniej pozbawionym wentylacji pomieszczeniu. W końcu się udało, palce dotknęły chłodnego metalu. Odetchnęła z ulgą, bo już zaczynała ogarniać ją panika.

Nacisnęła klamkę, pchnęła powoli drzwi i zmrużyła oczy, oślepiąca porażającymi refleksami słońca na wodzie, po czym otworzyła je szeroko. Napotkała wzrok mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziała.

W pierwszej chwili ogarnęło ją przerażenie, a zaraz potem nadzieja, kiedy zobaczyła, że mężczyzna opiera się spokojnie o reling i mierzy ją chłodnym

wzrokiem. Był wysoki, ubrany w luźną białą koszulę i luźne białe spodnie. Miał ciemne długie włosy i bardzo niebieskie oczy, a na jego twarzy malowało się coś na kształt umiarkowanie uprzejmego zainteresowania.

- Zastanawiałem się, jak długo będzie pani tam siedziała, panno Spenser - powiedział głosem, który brzmiał jak głos Petera Jensena i jak głos nieznanego spod drzwi kryjówki. - Jak mówiłem naszemu żądnemu krwi przyjacielowi, na tym jachcie nie ma zbyt wielu kryjówek. Szczególnie gdy człowiekowi brakuje czasu, by ich szukać, a tak właśnie było w pani przypadku.

Bez chwili zastanowienia runęła w stronę burty, ale chwycił ją bez najmniejszego wysiłku, nawet bez zbytniego pośpiechu, gdy była już do połowy przewieszona przez reling, i postawił z powrotem na pokładzie.

Czuła ciepło jego ciała i mgliście pomyślała, że coś się tu nie zgadza. Powinien być zimny jak blok lodu, a tymczasem...

- Przepraszam - tchnął jej w ucho miękkim, kojącym głosem. - Ale nie możemy pozwolić, żeby pokrzyżowała nam pani nasze starannie przygotowane plany.

Nic nie odpowiedziała, nie mogła dobyć głosu z gardła. Czuła silny ucisk na kark i mrowienie idące w dół kręgosłupa. Czy właśnie tak ma umrzeć? Nie, nie podda się bez walki.

Próbowała kopnąć kilka razy, ale poczuła tylko silne, sprężyste mięśnie i usłyszała śmiech.

- Krewka z pani dama. Proszę się odprężyć, a nie będzie bolało.

Spróbowała wymierzyć mu cios łokciem w żołądek, też bez większego efektu. Gene zdążyła jeszcze pomyśleć, że umiera, i osunęła się bez czucia na pokład.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I oto Genevieve nagle okazała się prawdziwym wrzodem na dupie, pomyślał Peter. Powinien dokończyć, co sama zaczęła, wyrzucić ją nieprzytomną za burzę, na pożarcie rekinom. W końcu nie miało to większego znaczenia. Kiedy policja znajdzie szczątki Harry'ego Van Dorna w gruzach rezydencji na jego prywatnej wyspie, nikt nie będzie wszczynał dochodzenia. Nikt nie będzie sprawdzał, czy i kiedy ostatnio widział się z piękną prawniczką z nowojorskiej kancelarii obsługującej jego fundację.

Chyba że policja nabierze podejrzeń. Ale w to Peter mocno wątpił. Był ekspertem w swojej robocie i rzadko popełniał błędy.

Harry Van Dorn zdołał przekonać świat, że jest przemiłym, przyzwoitym facetem, filantropem hojnie wspierającym inicjatywy humanitarne. Tylko bardzo nieliczni wiedzieli, kim jest naprawdę i jak fałszywy jest obraz, który prezentował opinii publicznej.

Śmierć Harry'ego miała wyglądać na nieszczęśliwy wypadek i jeśli Peter dobrze się wywiąże ze swojego zadania, nikt nie będzie podejrzewał ukarowanego zabójstwa.

Trzymał nieprzytomną Gene w ramionach. Tak, znacznie prościej byłoby ją po prostu wyrzucić za burzę, zamiast głowić się, co z nią zrobić. Sprawy zaszły za daleko i było oczywiste, że Genevieve Spenser musi umrzeć. Po co komplikować sprawy, odwlekając wyrok?

Oczywiście będzie zgrabniej, zręcznie, jeśli jej ciało zostanie znalezione na wyspie, a Peter był człowiekiem bardzo dokładnym i starannym, przynajmniej kiedy wykonywał kolejną misję. Jego matkę zdumiałoby takie stwierdzenie, bo zawsze miała go za bałaganiarza i niechlujka. I rzeczywiście przez całe lata chaos był jego żywiołem.

Ale praca dla Komitetu wymagała absolutnej precyzji, dbałości o każdy szczegół oraz chłodnego dystansu, którego nic nie mogło zmać. Zatem Genevieve Spenser będzie musiała zginąć. Nieodwołalnie. Ale jeszcze nie teraz.

Mógł zawołać Renauda i kazać mu zaciągnąć bezwładne ciało do kabiny, a potem jej pilnować. Owszem, ale nigdy nie cedował na innych pracy, którą mógł wykonać sam. Poza tym Renaud miał swoje słabości, lubił znęcać się nad kobietami. Co prawda Peter nie mógł odwrócić wyroku, który wisiał nad dziewczyną, ale mógł oszczędzić jej bólu. Nie było żadnego powodu, żeby cierpiała bez potrzeby. W końcu jestem cywilizowanym człowiekiem, pomyślał z pieką ironią.

Przerzucił sobie bezwładne ciało przez ramię. Nie była aż tak bardzo ciężka. Trupy, które zdarzało mu się targać w swoim trzydziestoosmioletnim życiu, bywały znacznie cięższe. Dziwne, ale człowiek nieprzytomny ważył po postu mniej niż trup.

A może to sumienie mu ciążyło, kiedy pozbywał się kolejnego ciała?

Bzdura, Peter nie miał sumienia, zostało chirurgicznie usunięte razem z duszą przed wielu laty.

Być może zachował jednak niewielki ślad sentymentalizmu. Gdyby było inaczej, nie zastanawiałby się w tej chwili nad losem Genevieve Spenser i nie czułby dla niej ani cienia współczucia. Nie wiedział przecież, co to takiego.

Rzucił ją na wielkie łóżko w kabinie właściciela, tuż obok nieprzytomnego Harry'ego Van Dorna. Miała ładne, długie nogi. Nie potrafił zapomnieć smaku jej ust. Ciągle nie potrafił zrozumieć, dlaczego właściwie ją pocałował. Jakaś aberracja, chwilowy kaprys... Z pewnością jedyny i ostatni.

Przyglądał się jej długo. Zdarzało mu się już zabić kobietę, w jego fachu takie sytuacje były nieuniknione. W rozgrywkach, w które ingerował Komitet, kobiety potrafią być znacznie bardziej niebezpieczne od mężczyzn, śmiertelnie niebezpieczne. Nigdy jeszcze nie musiał jednak zlikwidować nikogo, kto po

prostu znalazł się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. I nie chciał tego robić, chociaż zdawał sobie sprawę, że madame Lambert tego zażąda.

Oczywiście można zawsze powiedzieć, że żyjemy w świecie dalekim od ideału. Albo że świat z jakichś powodów będzie lepszy bez tej jednej prawniczki. Kiedy tak jednak przyglądał się pięknemu ciału Genevieve Spenser, jakoś trudno mu było przyjmować te zdroworozsądkowe argumenty.

Genevieve budziła się powoli, miotana dziwnymi emocjami. Najpierw pojawiło się poczucie ulgi, które szybko zastąpiła absolutna pewność zniewolenia, pochwylenia w pułapkę.

Leżała na łóżku obok kogoś, słyszała jego równy oddech, czuła ciężar i ciepło jego ciała tuż obok i narastała w niej panika. We wnętrzu panował mrok, tylko w głębi paliło się jakieś słabe światło. Usiłowała coś dojrzeć, skupić się, zmusić mózg do pracy.

Leżała obok Harry'ego Van Dorna! Kiedy to stwierdziła, ogarnęła ją furia, która opadła, bo oto Gene dokonała kolejnego odkrycia. Van Dorn nie spał normalnie, był najwyraźniej pod działaniem jakichś silnych środków usypiających. A ona miała nadgarstki i kostki skrępowane taśmą klejącą. Z tej samej taśmy sprokurowano knebel na usta.

Usiłowała usiąść, wydając przy tym jakieś nieartykułowane pomruki zza knebla. Ktoś był w pokoju, w jego drugim końcu, czytał przy niewielkiej lampce, ale nie mogła dojrzeć, kto to taki, a mężczyzna nie podniósł głowy, kiedy usiadła, i nie zwracał uwagi na wydawane przez nią jęki.

Uniosła skrępowane dłonie, chciała uwolnić się od knebla, ale nie była w stanie tego dokonać, bo śliska taśma okalała dokładnie całą głowę, a jej zakończenie musiało znajdować się gdzieś na karku.

Mruknęła głośno, rozeźlona, i mężczyzna siedzący w cieniu podniósł głowę, odnotował, że się obudziła, po czym wrócił do czytania.

Miała za sobą wyjątkowo ciężkie godziny, ujmując to najłagodniej, i nie zamierzała teraz leżeć spokojnie i pozwalać się ignorować. Próbowwała opuścić

nogi, ale łóżko okazało się wyższe, niż sądziła, i jej wysiłki skończyły się tym, że wylądowała jak długa na podłodze.

Podniosły ją silne ręce. Zanim go zobaczyła, wiedziała, kto jest w kabinie. Posłała Jensenowi wściekłe spojrzenie i warknęła niewyraźnie, wkładając w ten dźwięk tyle złości, na ile pozwalała zaklejająca usta taśma.

Jensen uśmiechnął się tylko pod nosem, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

- To musi być straszne. Prawniczka, która nie może nic powiedzieć - stwierdził spokojnie. Mocno skrupowane kostki nie pozwalały jej stać. Gdyby Jensen nie podtrzymał Gene, wylądowałyby znowu na podłodze. I wylądowała. Szarpnęła się, Jensen ją puścił i już leżała u jego stóp. Gdyby nie knebel, ugryzłaby go chyba w kostkę. Zdjęta furią próbowała podnieść się o własnych siłach.

Pomógł jej jeszcze raz.

- Doprawdy, stwierdzam z przykrością, że zaczyna pani być męcząca - powiedział z lekkim wyrzutem w głosie. - Proszę się uspokoić, tak będzie dla pani lepiej.

Tyle było przekąsu w jego słowach, że mu, oczywiście, nie uwierzyła.

Przez chwilę myślała, że zamierza ją położyć z powrotem na łóżku, ale on przeciągnął ją przez cały pokój i położył na niewielkiej kanapie koło fotela, w którym sam siedział przed chwilą.

Gene podniosła skrupowane dłonie i usiłowała zerwać taśmę, ale Jensen pokręcił tylko głową.

- Nie radzę. To będzie strasznie bolało.

Gene nie rezygnowała z wysiłków, więc Jensen odsunął jej dłonie i sam szarpnął taśmę.

Była pewna, że jej przeraźliwy krzyk obudzi uspiętego Van Dorna, ale wydała tylko zdławiony jęk i taśma zeszła, razem z kilkoma kosmykami przylepionych do niej włosów.

Rzucił jej knebel na kolana.

- Przepraszam - powiedział, siadając w swoim fotelu i wracając do książki.

- Przepraszam? - zawrzała. - Za co? Za porwanie? Za pozbawienie mnie przytomności? Za zakneblowanie i skrupowanie taśmą klejącą? Za co przepraszasz, cholerny sukinsynu?

- Mam jeszcze zapas taśmy i użyję jej, jeśli będę musiał - oznajmił towarzyskim tonem. - Proszę zachowywać się przyzwoicie.

- Jeśli wydaje się panu, że to śmieszne, to ma pan chore poczucie humoru - mówiła teraz mocniejszym, pewniejszym głosem.

Jensen uśmiechnął się ponownie, ale nie był to uśmiech dodający otuchy.

- Tak jak powiedziałem, jeśli pani się nie uspokoi, będę musiał panią ponownie zakneblować. Proszę się zamknąć i nie przeszkadzać.

- Jest pan kompletnym idiotą.

Uniósł głowę, ale chyba nie przejął się specjalnie opinią Genevieve. W przytłumionym świetle jego oczy zdawały się bardzo ciemne, niemal puste. Zaintrygowany, ale nie obrażony i nie rozeźlony, odłożył książkę.

- Tak?

Mózg Gene pracował teraz bardzo szybko.

- Wiem, że nie spodziewał się pan mojej wizyty na jachcie, kiedy przygotowywał pan swój pokrętny plan. Nie udało się panu wyekspediować mnie z jachtu. Skoro zatem już tu jestem, mógłby pan ruszyć głową, jak się mną posłużyć.

Peter odchylił się w fotelu i przyjrzał Gene bardzo uważnie.

- A to niby w jaki sposób? Chce pani przystąpić do naszej wesołej paczki?

- Proszę się nie ośmieszać. Każdy głupi by się domyślił, co planujecie.

- Niech mnie pani oświeci.

- Porwaliście przecież jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Z całą pewnością zrobiliście to dla pieniędzy. Nie wiem, jak reszta, ale pan raczej nie

wygląda mi na paranoicznego, chorego z nienawiści do świata terrorystę. Będziecie musieli negocjować warunki okupu. I tu pojawia się ja.

- Czyżby? - mruknął. - Dlaczego doszła pani do wniosku, że nie jestem chorym z nienawiści do świata, fanatycznym terrorystą, który ruszył właśnie na krwawą rozprawę z całym złem naszego globu? - zainteresował się Peter grzecznie.

- Bo jest pan zbyt dobrze ubrany.

Wybuchnął śmiechem, co chyba zaskoczyło go równie mocno jak ją. Jensen bowiem brzmiał tak, jakby od bardzo dawna się nie śmiał. I nic dziwnego. Nie spodziewała się szczególnie wesołego usposobienia po specjaliście od wymuszeń.

- Kogo chciałaby pani reprezentować? Mnie czy Harry'ego?

- Pan chce pieniędzy, ja chcę, żeby Harry wyszedł z tego cało. Jestem przekonana, że znajdę rozwiązanie, które zadowoli obydwie strony. Proszę mnie zatem uwolnić i możemy zacząć negocjować. Nie stanowią dla was żadnego zagrożenia.

- Tego bym nie powiedział - stwierdził, przeciągając słowa, ale podniósł się, wyjął z kieszeni scyzoryk, nachylił się, żeby rozciąć taśmę krępującą kostki. W tym momencie Gene podniosła wysoko złączone dłonie i z całych sił zdzieliła go w czubek czaszki.

W każdym razie próbowała.

Jensen błyskawicznie chwycił ją za nadgarstki i spokojnie dokończył przecinać taśmę na kostkach. Nie podniósł nawet głowy. Skończył, co robił, zdjął taśmę i dopiero wtedy podniósł na Genevieve te swoje zimne, niebieskie oczy.

- Traci pani tylko czas. W końcu się zdenerwuję. Jesteśmy na jachcie, nie ma pani dokąd uciec. Pozostaje tylko skok za burzę, ale słyszałem, że są tu rekiny.

- Które mogą stanowić znacznie sympatyczniejsze towarzystwo niż pan - wycodziła.

Rozciął taśmę krępującą jej nadgarstki i teraz zauważyła, że używa scyzoryka, który tak sprytnie wetknęła do stanika. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak ją przeszukiwał. Jeśli były tu rekiny, to z pewnością Jensen był najgorszym przedstawicielem tego gatunku.

- Naprawdę nazywa się pan Jensen? - zapytała, kiedy na powrót usiadł w fotelu, zamykając scyzoryk i chowając go do kieszeni.

- Czy to ważne? Używam bardzo wielu nazwisk. Jensen, Davidson, Wilson, Madsen.

- Inaczej mówiąc, pańska matka nie potrafiła się zdecydować, z kim pana spłodziła.

Ledwie wypowiedziała te słowa, pożałowała ich. Powinna zakleić sobie na powrót usta kneblem, który ciągle leżał na jej kolanach. Facet siedzący naprzeciwko niej był prawdopodobnie socjopatą. Powiedzieć komuś takiemu, że jego mamusia źle się prowadziła, było szaleństwem.

Twarz Jensena nic nie zdradzała.

- Nie jest pani zbyt dobrą prawniczką - stwierdził tylko. - Dobry prawnik wie, kiedy trzymać buzię na kłódkę.

Nic nie odpowiedziała i po chwili napięcie w kabinie trochę opadło.

- Prawdę mówiąc, doskonale wiem, kim był mój ojciec. Niestety. Nie spodobałby się pani. Bardzo nerwowy był z niego człowiek. Ma pani ochotę na herbatę?

Zdumiona szeroko otworzyła oczy.

- Słucham?

- Pytam, czy napije się pani herbaty. Środek, który pani zaaplikowałem, sprawia, że potem czuje się suchość w ustach. Skoro mamy przystąpić do negocjacji, powinna pani sprawnie posługiwać się organem mowy. - Poczuli

jego wzrok na wargach i zwilżyła je nerwowo. Pocałował ją przecież, czyż nie tak? A teraz było w jego spojrzeniu coś obnażającego.

- Wolałabym drinka.

- To niedobry pomysł. Po środkach, które pani dałem, i pani żółtych tabletkach, lepiej nie pić alkoholu. Tych swoich pigułek też chyba pani nie powinna zażywać.

Nie zdziwiła się, że wie o jej tabletkach uspokajających. Jeszcze jedno pogwałcenie sfery prywatnej, intymnej.

- No cóż, życie jest bardzo stresujące - stwierdziła sentencjonalnie. - Było, nawet zanim zostałam porwana i napastowana.

- Proszę pozbyć się złudnych nadziei. Nikt pani nie napastował.

- To nie jest wcale śmieszne. Zostałam uśpiona, skrepowana. To taka sama forma przemocy jak napastowanie seksualne.

- A ja myślałem, że pani mówiła właśnie o seksie - zakpił głupawo i w Gene natychmiast odezwała się prawniczka.

- Ujęłabym to jeszcze inaczej. Napastowanie seksualne nie ma nic wspólnego z seksem, a wiele z przemocą.

Z emocji aż się zaczerwieniła.

Dziwne. Nie czerwieniła się nigdy, a ta krótka wymiana zdań wywołała rumieniec na jej policzkach. Miała jasną karnację. Może Jensen nic nie zauważył.

- Pani się czerwieni?

- Prawniczki się nie czerwienią, panie Jensen - odparła surowo. - A teraz może mi pan powie, o co wam chodzi, i spróbujemy dojść do porozumienia.

Nic nie odpowiedział. Podszedł do niewielkiej, zgrabnej komódki, która okazała się kryć lodówkę, i po sekundzie powrócił, wręczając Gene dobrze zmrożoną puszkę taba. Omal nie ucałowała oszronionej blaszanej ścianki w kolorze fuksji. Jensen zdążył już pociągnąć za kapsel. Całe szczęście, bo dłonie lekko jej drżały, kiedy podnosiła puszkę do wysuszonych ust.

- Nie boi się pani, że znowu mogę panią nafaszerować jakimiś środkami oszałamiającymi? - Usiadł w swoim fotelu.

- Wszystko mi jedno - powiedziała, po czym jednym haustem wypła połowę zawartości puszkę, rozkoszując się ulubioną wodą. Przymknęła oczy i westchnęła z satysfakcją. Wypłaby cokolwiek zimnego i mokrego, ale tab sprawił, że już nie myślała o zabijaniu Jensena. W każdym razie nie w najbliższym czasie. Chwilowe odroczenie.

- Zatem o co wam chodzi? - wróciła do pytania.

Jensen zawahał się, chociaż z całą pewnością nie należał do ludzi, którym zdarzało się to zbyt często.

- Obawiam się, że nie ma nam pani nic do zaoferowania - powiedział w końcu. - Muszę wykonać zadanie.

- Jakie zadanie?

- Muszę zabić Harry'ego Van Dorna. I każdego, kto wejdzie mi w drogę. Jest twarda, musiał jej to przyznać. Jedno nieznaczne drgnięcie powiek, to była cała reakcja na jego brutalne oświadczenie. Żadnych okrzyków zgrozy. Zdumienia. Uwierzyła mu od razu. Była zbyt przenikliwa, by negować usłyszane słowa.

- Dlaczego?

- Nie znam szczegółów i wolę ich nie znać. Jestem dobry w swoim fachu, między innymi dlatego właśnie, że nie zadaję żadnych pytań. Zakładam, że skoro dostaję polecenie usunięcia kogoś, to znaczy, że ten ktoś na to zasłużył.

- Od kogo dostaje pan zlecenia? Dla kogo pracuje? - chciała wiedzieć.

- Jeśli pani powiem, nic to pani nie da. Ale może pani wierzyć, jesteśmy po dobrej stronie.

- Po dobrej stronie! - zaczęła się. - Jesteście po dobrej stronie i zamierzacie zamordować z zimną krwią niewinnego, zupełnie nieszkodliwego człowieka jak Harry Van Dorn?

- Zapewniam panią, że nie jest ani taki niewinny, ani nieszkodliwy, jak mogłoby się wydawać - wyjaśnił Peter.

- A co ze mną?

- Co z panią?

- Powiedział pan, że zamierza zabić Harry'ego Van Dorna i każdego, kto wejdzie wam w drogę. Czy miał pan na myśli mnie?

Powinien skłamać. Lepiej, by ludzie nie wiedzieli, że został na nich wydany wyrok. Wpadają w panikę, zachowują się nieprzewidywalnie i w ogóle sprawiają kłopoty.

- Uwierzy pani, jeśli zaprzeczę?

- Nie. Ale proszę się nie łudzić, nie jest pan po dobrej stronie. Nigdy, nigdy nie uczyniłam nic, czym mogłabym zasłużyć na wyrok śmierci. I nie mam szczególnej ochoty umierać.

- Niewielu ludzi ma.

- Co mogę zrobić, żeby zmienił pan zdanie?

Ba. Oto pytanie. Sam się nad nim zastanawiał od kilkunastu godzin.

- Nic. Jeśli to jakaś pociecha, przyrzekam, że nie będzie bolało. Nie zorientuje się pani nawet, że umiera.

- Nie sądzę. - Odstawiła pustą puszkę i spojrzała mu spokojnie prosto w oczy. - Jeśli będzie pan chciał mnie zabić, nie poddam się bez walki. Będę kopać, drapać, bić i krzyczeć ile sił w płucach.

- Przegrana walka. - Był zdumiony, jak spokojnie brzmiał jego głos. Jakby likwidowanie przypadkowych świadków stanowiło część wykonywanych zleceń. Ot, rutynowe obowiązki najlepszego agenta Komitetu. Był nieomylnym snajperem, mistrzowsko posługiwał się nożem, był też nie do pokonania w walce wręcz. Nigdy nie okazywał emocji, bo też ich nie odczuwał. Lodowaty, jak zawsze. Lodowaty z temperamentu i zimny jak lód dla wrogów.

Tyle że Genevieve Spenser nie była wrogiem. Po raz pierwszy dopuścił, by w zastawioną przez niego sieć wpadł ktoś niewinny. I teraz będzie musiał ponieść konsekwencje własnego błędu.

Przeprowadzali właśnie jedną z najtrudniejszych operacji, jakie pamiętał. Harry Van Dorn coś zamierzał. Użyli wszystkich źródeł informacji, zaprzęgli do pracy wszystkich ludzi Komitetu i nadal niewiele wiedzieli. Odkryli zaledwie kilka śladów, zdobyli parę mglistych wskazówek. W każdym razie Harry stał na czele jakiegoś ogromnego przedsięwzięcia, pociągał za wszystkie sznurki, bez niego cała rzecz się rozpadnie. Do tego doszli. Nic więcej nie mieli, ale i tak były powody do niepokoju.

Należało usunąć Harry'ego. Zlikwidować go. Dowiedzieć się w końcu, na czym polega Zasada Siódemki. Przeciwdziałać katastrofie.

Nie mógł puścić Genevieve Spenser wolno. Zbyt wiele już wiedziała, zbyt wiele wiedziała. Była mądrą, przenikliwą kobietą. Wystarczy jej trochę czasu, by odkryć istnienie Komitetu. Będzie zagrożeniem dla tych, którzy od lat z poświęceniem, ryzykując wszystko, pracowali dla dobrej sprawy.

- Przegrane walki to moja specjalność - powiedziała. - Nie zamierzam umierać. Harry też nie zginie. Natomiast nie byłabym już tak pewna pana losu. - Podniosła się, przeciągnęła jak kot i posłała Peterowi słodki uśmiech. - Wezmę chyba prysznic i przebiorę się w coś wygodniejszego. A potem możemy kontynuować nasze negocjacje.

Nie poruszył się. Drzwi kabiny były zamknięte na klucz i Genevieve nie mogła zajść daleko.

- Nie mamy czego negocjować - przypomniał jej.

- Jestem innego zdania. W grę wchodzi ogromne pieniądze. Jeśli pan twierdzi, że Harry jest potworem, to musi pan dysponować fałszywymi informacjami. Mam świetną intuicję, jeśli chodzi o ocenianie ludzi. Harry Van Dorn może być kobieciarzem, może mieć hopla na punkcie astrologii, ale to raczej rozpieszczone dziecko szczęścia niż przerażający potwór. Ktoś taki nie

jest zdolny do wyrządzania zła. Zabije pan nie jednego, ale dwoje niewinnych ludzi. Nie sądzę, żeby to było pana celem. Alternatywą są zawrotne pieniądze, które pozwolą panu zatrzeć po sobie ślad tak precyzyjnie, że pańscy mocodawcy nigdy pana nie znajdą.

- Znajdą mnie. Wszyscy na tym jachcie wiedzą o misji. Przykro mi, ale nawet gdybym chciał puścić panią wolno, nie mogę. Renaud albo ktoś inny z naszej grupy zajmie się panią. A oni mają skłonność do pewnej... brutalności.

Zobaczył, jak przez jej twarz przemknął ledwie dostrzegalny skurcz paniki i poczuł coś dziwnego. Nie mógł być to żal ani skrępowanie. Nie pozwalał sobie na takie uczucia, w żadnych okolicznościach.

- Skoro tak pan twierdzi - powiedziała nieco wyniośle. - To nie znaczy jednak, że nie będę próbowała. Czy te drzwi są zamknięte, czy też mogę swobodnie wyjść z kabiny?

- Zamknięte na klucz.

- Zatem proszę je otworzyć. Chciałabym wrócić do swojej kabiny i przebrać się.

Wiedział, czego spróbuje, zanim jeszcze uczyniła jakikolwiek ruch.

- Nie sądzę - powiedział i podniósł się szybko, obezwładniając ją, zanim zdążyła zadać cios karate. W ułamku sekundy leżała na podłodze, Peter przyciskał jej kolanem klatkę piersiową, a ona wpatrywała się w niego w niemym szoku.

Madame Lambert otworzyła palmtopa i położyła na stole obok kieliszka z winem. Szczyciła się umiejętnością podejmowania trudnych decyzji. Jadła właśnie samotną kolację w małej, cichej restauracji niedaleko swojego biura, równocześnie wysyłając e-maile z palmtopa i odbierając tą samą drogą napływające informacje.

Chciałaby powiedzieć, że cieszy ją dobry, spożywany w zasłużonej samotności posiłek i doskonałe wino, ale nie byłaby to prawda. W tej chwili nic jej nie cieszyło. Właśnie wysłała Peterowi Jensenowi polecenie, by zlikwidował

młodą kobietę, która fatalnym zbiegiem okoliczności zaplątała się w akcję na jachcie. Na myśl o podjętej decyzji robiło się jej niedobrze.

Peter oczywiście wykona polecenie, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Nie będzie zadawał zbędnych pytań. Pozbędzie się dziewczyny w możliwie najbardziej humanitarny sposób, ale każda śmierć, nawet najbardziej usprawiedliwiona i zasłużona, odciskała trwałe ślady na psychice. Śmierć człowieka niewinnego była rzeczą nieporównywalnie gorszą do zniesienia. Madame Lambert zbyt długo znała Petera, by nie domyślać się, jak trudne zleciła mu zadanie. Być może ponad jego siły, ale wykona je, zgodnie z poleceniem.

Harry Van Dorn musiał umrzeć, i to szybko, to nie ulegało wątpliwości, a skoro tak, musiała zginąć również dziewczyna.

Nie było innego wyjścia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Genevieve nie mogła złapać tchu. Rzucił ją o podłogę z taką siłą, że zabrakło jej powietrza w płucach, a potem jeszcze przygniół klatkę piersiową kolanem. Kiedy wreszcie złapała oddech, szok minął i wróciła wściekłość.

Chwyciła go błyskawicznym ruchem za kostkę i próbowała przewrócić, ale był silniejszy niż którykolwiek z jej zaprawionych w walkach trenerów.

Złapał ją za obie ręce i postawił na nogi. Był znacznie wyższy od niej, ale uniosła kolano i kopnęła z całych sił.

Nie trafiła. Zdażył ją obrócić, wykręcając ręce do tyłu i przyciskając twarzą do ściany.

- Starasz się, ale to żałosne próby - szepnął jej do ucha. - Nigdy nie próbuj kopnąć faceta w jaja, jeśli nie masz gwarancji, że zdążysz w porę uskoczyć.

Nigdy nie wiadomo, jak facet zareaguje po takim ciosie. Lepiej nie ryzykować.

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się gorączkowo nad możliwością kolejnego ruchu. Znała ciosy obezwładniające i ciosy śmiertelne. Następnym razem nie będzie się wahała.

Jensen cofnął się, już nie rozpląszczał jej twarzy na ścianie, ale ciągle krepował nadgarstki. Przyszło jej do głowy, że mogłaby spróbować wymierzyć kolejny kopniak, za siebie.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym - powiedział rozbawionym głosem.
- Sygnalizujesz każdy zamiar, zanim zdążysz wprowadzić go w czyn. I nie myśl już o ciosach w jądra. Irytujesz mnie.

Obrócił ją twarzą do siebie, ale ciągle jedną dłonią trzymał za nadgarstki. Pomyślała, że niespecjalnie się popisała, a przecież była najlepszą uczennicą mistrza Tenchi.

- Twojego przyjaciela udało mi się kopnąć - oznajmiła, próbując ratować resztki dumy.

- Owszem, ale Renaud to głupiec, nie docenił cię. Obawiam się, że będzie chował do ciebie urazę, a jest pamiętliwy. Nie pozwolę, żeby odplacił ci za tego kopniaka, ale jeśli nadal będziesz mnie denerwowała, mogę się rozmyślić.

Chciała rzucić jakąś ciętą ripostę, ale, prawdę mówiąc, z dwojga złego wolała już Petera Jensena niż prymitywnego Renauda, choć tego pierwszego pewnie łatwiej byłoby pokonać.

Jensen nie dostał nawet zadyszki. Oczy, które wydawały się jej puste i bezbarwne, były w rzeczywistości niebieskie, co przypomniało jej o...

- Masz jakiś płyn do soczewek kontaktowych?

Spojrzał na nią zaskoczony pytaniem. Nie potrafiła zbić go z nóg swoimi amatorskimi chwytami wyuczonymi na kursach samoobrony, ale kiedy się odzywała, niemal za każdym razem zbijiała go z pantałyku.

- Słucham?

- Kiedy zobaczyłam cię pierwszego dnia, musiałeś używać barwionych szkieł kontaktowych, co oznacza, że musisz mieć też odpowiedni płyn. Nie

zdejmowałam szkieł od czterdziestu ośmiu godzin i dłużej już nie wytrzymam. Powinnam była je wyjąć jeszcze w swojej kabinie, miałam wtedy torebkę pod ręką, ale myślałam o czymś innym.

Szybko odzyskał zwykły rezon.

- Bądźmy szczerzy, miałaś wtedy myśli zajęte swoimi małymi żółtymi pigułkami - powiedział. - Trudno się od nich uwolnić. I nie rozglądaj się za bronią. W tej kabinie nie ma nic, czego mogłabyś użyć przeciwko mnie. Przez bulaj też nie uciekniesz.

- Czy to kolejny przytyk do mojej wagi? Peter uśmiechnął się lekko.

- Nie, przez ten bulaj nikomu nie udało się wydostać. Swoją drogą, dlaczego kobiety są takie przewrażliwione na punkcie swojej wagi? Pięć czy siedem dodatkowych kilogramów nie czyni przecież żadnej różnicy. Chyba że muszę targać taką damę na plecach.

Gdyby nie to, że ciągle trzymał jej dłonie, zdzieliłaby go. Wiedział doskonale, ile ma nadwagi, tak jak wiedział, jaki numer ubrania naprawdę nosi.

- Znasz przecież odpowiedź - powiedziała z fałszywą słodyczą. - Oszczędź sobie tych złościwości.

- To zachowuj się przyzwoicie. - Uwolnił ją wreszcie, ale przez moment się nie ruszała. Stali tak naprzeciwko siebie długą chwilę. Peter najprawdopodobniej czekał, jaki będzie jej następny ruch, ale skoro już zdradził, że każdy jej zamiar odgaduje z wyprzedzeniem, zrezygnowała z walki. Przynajmniej chwilowo.

- Możesz się odsunąć, Jensen? Czy mam przejść przez ciebie?

Cofnął się, ale tylko trochę. Jego bliskość drażniła Gene. Obeszła go i weszła do łazienki, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Miał rację, ani w kabinie, ani w łazience nie było nic, co mogłoby posłużyć za broń. Przemyła twarz zimną wodą, a potem pokazała język swojemu odbiciu. Zmierzwione włosy zaplotła w warkocz, przewiązując koniec

nitką dentystyczną, a potem wyjęła szkła kontaktowe. Nie miała pojęcia, gdzie jest torebka, zapewne nadal w jej kabinie. Bolała ją głowa i drżały ręce.

Otworzyła drzwi i wychyliła głowę. Jensen siedział w swoim fotelu, plecami do niej. Wrócił do czytania, jakby skończenie książki było najważniejszą rzeczą na świecie. Być może było, w końcu w pełni kontrolował sytuację i mógł się bez reszty zatopić w lekturze.

- Hej - odezwała się. - Potrzebuję swojej torebki. Mam tam tabletki i okulary.

- Nie będzie żadnych tabletek - oświadczył. - Ale powiem Hansowi, żeby poszukał twoich okularów. Na stole leży cały stos ubrań. Znajdź sobie coś odpowiedniego. Jakoś głupio nosić kostium Armaniego na pełnym morzu, w dodatku kiedy jest się zakładniczką.

Oczywiście wiedział, że to Armani, sukinsyn jeden. Wzięła ubrania i wróciła z nimi do łazienki. Chciała się zamknąć, ale zamek nie działał. Zdjęła kostium i stłumiła przekleństwo, widząc, że jest kompletnie zniszczony. Ten drań nie domyślał się nawet, ile za niego zapłaciła. Były jednak znacznie ważniejsze rzeczy niż zniszczona garderoba.

Założyła spodnie w piaskowym kolorze, do tego luźny biały T-shirt. Spodnie były o wiele za szerokie i za długie. Nie spojrzała nawet na swoje odbicie w lustrze, bez szkieł kontaktowych, bez okularów niewiele by zobaczyła, poza tym jej wygląd nie miał teraz żadnego znaczenia. Otworzyła drzwi i omal nie przewróciła się o nogawkę spodni, bo sporządzony naprędce mankiet zdążył się już odwinąć.

Peter podniósł głowę, ale nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Okulary niewiele by pomogły, bo był mistrzem w ukrywaniu emocji.

- Te spodnie są za długie - stwierdził inteligentnie.

- Niesamowite odkrycie. Jestem niższa niż Harry - sarknęła i usiadła na kanapie. Nie zrezygnowała z zamiaru unieszkodliwienia Jensena, ale dopóki była ślepa, nie mogła wiele zdziałać.

- Masz - rzucił jej coś. - Obetnij je.

Chwyliła rzucony przedmiot tylko przez przypadek i ze zdziwieniem stwierdziła, że to jej scyzoryk. Spojrzała na Jensena i zobaczyła, nawet bez okularów, chłodny uśmiech na jego twarzy.

- Jeśli uda ci się zranić mnie tym maleństwem, to znaczy, że na to zasłużyłem.

- Zaslugujesz, zaslugujesz - mruknęła i zaczęła walczyć ze spodniami.

- Na twoim miejscu obcinałbym trochę wyżej - poradził uprzejmie. - Im krótsze nogawki, tym większe masz szanse wymierzenia celnego kopniaka. Możesz też szybciej biec.

Miał oczywiście rację. Czy udzielał jej fachowych rad? Raczej nie. Kpił sobie w żywe oczy, dając jej do zrozumienia, że wszystkie jej wysiłki i tak spełzną na niczym.

Skoro krótko, to krótko, zgodziła się w myślach. Wbiła scyzoryk w spodnie na wysokości uda i zaczęła odcinać nogawkę, potem to samo zrobiła z drugą, przerabiając w ciągu kilku minut spodnie na szorty. Jensen przyglądał się z dużym zainteresowaniem jej twórczym działaniom. Czekala na jakiś zgryźliwy komentarz, ale on tylko kiwnął głową i wrócił do swojej książki.

Złożyła scyzoryk i schowała do kieszeni, ciekawa, czy Jensen to zauważy i zażąda zwrotu wykpionego przed chwilą narzędzia mordy.

- Chcę swoje proszki - powtórzyła.

- Obawiam się, że tu ci nie pomogę. Hans pochłania wszystko, co działa podobnie do psychotropów. Na pewno już je zażył.

- Wszystkie? - zdziwiła się szczerze. - To znaczy, że już nie żyje.

- Hans wytrzyma każdą dawkę. To bardzo odporny człowiek. Zresztą te twoje proszki są śmieszne.

Dziecinne dawki dla histerycznych dam, którym wydaje się, że mają problemy.

- Nie jestem histeryczną damą, której wydaje się, że ma problemy - sprostowała Genevieve z godnością. - Poza tym przyznasz chyba, że porwanie może być trochę stresujące.

Jensen spojrział na nią z niesmakiem.

- Przeżyjesz.

- Naprawdę? - ucieszyła się Gene. - Przeżyję? Myślałam, że już mnie spisałeś na straty.

Zachmurzył się na ten żart.

- Nie lubię tak zwanych strat ubocznych. Zdarzają się, jeśli człowiek coś spieprzy, wykonując zadanie, a ja staram się wykonywać swoje zadania możliwie najlepiej.

- Skoro jesteś taki dobry w swoim fachu, to nie zginę - Gene wyciągnęła logiczny wniosek.

Jensen nie odpowiedział, co nie było dobrym znakiem. Zaległa długa, nieprzyjemna cisza, po czym Jensen odezwał się:

- Lepiej, żeby reszta się nie dowiedziała o tym scyzoryku. - A więc jednak zauważył, że chowa nożyk do kieszeni. - Nie sądzę, żebyś mogła wiele nim zdziałać, chociaż liczy się element zaskoczenia. Gdybyś nie manifestowała tak jawnie i z takim uporem swojej woli walki, miałabyś większe szanse.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabym uciec? - zainteresowała się.

- Nie. Chcę powiedzieć, że unieszkodliwienie cię nie byłoby tak dziecinnie łatwe. Następny razem staraj się nie patrzeć tam, gdzie zamierzasz zadać cios. Chcesz wrazić facetowi palce w oczy, patrz na jego krocze. Jeśli chcesz uderzyć kantem dłoni w gardło, daj sygnał, że zamierzasz wymierzyć cios nogą. Na marginesie, cios w gardło to jeden z najskuteczniejszych. Zadany poprawnie może zmiażdżyć krtań i facet udusi się własną krwią.

- Okropne - mruknęła odruchowo. Uśmiechnął się niewesoło.

- Śmierć ma to do siebie, że jest okropna. To krwawa, paskudna robota.

- Robota?

- Czasami tak.

- W twoim przypadku?

- Bywa.

Trudno było doszukać się w słowach Jensena otuchy, ale też nie spodziewała się jej tam znaleźć.

- Co jeszcze?

- Przepraszam, ale nie zrozumiałem?

- Co za uprzejmy zwrot - mruknęła. - Co jeszcze mogę robić, żeby się bronić. Poza ciosem w gardło. Może będę chciała tylko unieszkodliwić przeciwnika.

- Nie próbuj kopać w jaja. To zbyt popularny chwyt, zbyt przewidywalny i rzadko się udaje. Może zabraknąć ci praktyki, nie okażesz się zbyt szybka. Jeśli masz jakiś ostry przedmiot, jak scyzoryk, ołówek, nawet klucze, celuj w oczy. I nie mów znowu „okropne”. Tu nie ma miejsca na delikatność uczuć. Jeśli się zawahasz, zginiesz.

Nie próbowała przypominać mu, że w obecnej sytuacji jej szansa na wejście w posiadanie jakichkolwiek kluczy równała się zeru.

- Dobrze - powiedziała. - Inne sposoby, żeby unieszkodliwić faceta, nie pozbawiając go życia i nie wydłubując mu oczu.

Jensen odłożył książki.

- Wstań. - Sam się podniósł i stanął nad nią, czekając.

Wiedziała, że jeśli się nie podniesie, Jensen pociągnie ją na nogi, na tyle już go znała. Wstała i stanęła naprzeciwko niego. Jego bliskość działała jej na nerwy.

- Odwróć się.

Tylko nie to. Akurat ostatnia rzecz, którą gotowa była zrobić.

- Nie odwrócę się do żadnego z was plecami, jeśli to tylko będzie ode mnie zależało.

- Nie będzie. - Położył jej dłonie na ramionach i obrócił ją tak, że widziała teraz nieprzytomnego Harry'ego. Ciągle leżał na łóżku w tej samej pozycji, z daleka wyglądał jak martwy. Co ten biedak takiego straszno zrobił, że ktoś wydał na niego wyrok?

Sekundę później Gene leżała na podłodze, twarzą do ziemi, a Jensen klęczał na jej plecach.

- Zejdiesz ze mnie? - jęknęła zduszonym głosem w dywan.

Uwolnił ją i Gene odwróciła się na bok, tyłem do niego.

- Widzisz, tak się kończy sytuacja, kiedy coś odwróci twoją uwagę - odezwał się spokojnym głosem, jakby nic nie zaszło. - Zaczęłaś myśleć o Harrym, martwić się o coś, na co nie masz żadnego wpływu. W konfrontacji z Hansem czy Renaudem nie miałabyś żadnych szans.

Pogodziła się już z tym, że Jensen zawsze zdawał się odgadywać jej myśli, i skupiła na czymś, co teraz wydawało się znacznie ważniejsze.

- Są jeszcze inni?

- Oczywiście. Jesteśmy przecież na jachcie, który musi płynąć, to po pierwsze. Po drugie, to duża i skomplikowana operacja.

- Musicie dysponować całkiem sporymi funduszami - zauważyła.

- Owszem. Nie zamierzam wprowadzać cię w szczegóły naszej organizacji. Chcę cię tylko nauczyć kilku trików, które mogą okazać się skuteczne, gdyby Hansowi albo Renaudowi przyszło coś głupiego do głowy. Uprzedzam cię, że wobec pozostałych nie masz najmniejszych szans.

- Moje szanse ostatnio generalnie nie przedstawiają się najlepiej.

- Ciągle żyjesz, prawda? Już samo to świadczy, że na razie dopisuje ci szczęście. Hansem nie musisz się przejmować. Nie interesują go specjalnie kobiety.

- To znaczy, że może go interesować zakatrupienie mnie.

Podał jej dłoń i pomógł się podnieść.

- Nie sędzę, żeby mu się chciało próbować. Jesteś zbyt drobną płotką.

Hans gustuje w poważniejszych celach.

- A ty?

Jensen przesunął palcem po jej przedramieniu, w miejscu, gdzie chwycił ją, wykręcając rękę. Jakby nie słyszał pytania. Odsunęła się.

- Będziesz miała siniak.

- I co z tym zrobisz? Chcesz pocałować i pocieszyć, że do wesela się zagoi? - zakpiła.

Zapadło ciężkie milczenie, gęste, niemal fizycznie wyczuwalne. Gene przez moment bała się spojrzeć w stronę Jensena, wreszcie zerknęła, ale jak zwykle z jego twarzy nic nie dało się wyczytać.

Słowa już padły, nie dało się ich cofnąć. Jak nie dało się zamknąć raz otwartej puszkii Pandory. Udać, że nic się nie stało, też nie było sensu. Jensen miał jakąś diabelską zdolność czytania w jej myślach.

- Pocałowałeś mnie przecież ostatniego wieczoru - odezwała się.

Obojętny wyraz twarzy Jensena nie zmienił się ani na jotę, ale Gene była pewna, że wydaje mu się niezmiernie zabawna. Strasznie ją to zdenerwowało.

- Owszem, pocałowałem.

- Dlaczego?

- Ponieważ to był najprostszy sposób, żeby cię objąć i pozbawić przytomności - wyjaśnił. - Mam ci zademonstrować?

- Nie! - krzyknęła.

- Nie miałem na myśli samego pocałunku, tylko to... - Zanim się zorientowała, co robi, położył jej chłodną dłoń na gorącym karku. Czuł jej przyspieszony puls. - Nie ruszaj się - powiedział, kiedy próbowała się uwolnić. Przesuwał palcami po jej karku, a kciukiem po szyi.

- Puść mnie.

- Po prostu uciskasz kciukiem to miejsce. - Pokazał, o co chodzi, i rzeczywiście zrobiło się jej ciemno przed oczami. - W ten sposób nie musisz się

martwić, że ktoś umrze, dławiąc się własną krwią. Trzeba tylko wiedzieć, jak to zrobić, i człowiek traci przytomność. Dlatego cię pocałowałem. Byłaś tak zaszokowana, że wystarczająco długo stałaś bez ruchu.

- A jeśli będzie to mężczyzna? - zapytała z ironią w głosie.

Jego niebieskie oczy były zimne jak zwykle, pozbawione wyrazu.

- To też go pocałuję - powiedział najspokojniej w świecie. - A teraz spróbuj.

- Nie, chyba jednak nie... - Gene cofnęła się o krok.

- Nie mówię o pocałunku, tylko o właściwym ułożeniu ręki - wyjaśnił cierpliwie i położył sobie jej dłoń na karku. - Nie bój się. Zobacz, czy potrafisz.

Poczuła pod palcami chłodną, gładką skórę i spokojny puls. Nie chciała go dotykać. Ucisnęła mocno, byle ją puścił, ale Jensen pokręcił głową i przyciągnął bliżej do siebie.

- Musisz przesuwać dłonią po moim karku. Jak w pieszczocie. - Jego głos brzmiał teraz miękko, niemal uwodzicielsko, ciepło. Poprowadził jej kciuk, ustawiając we właściwym miejscu. - Uciskasz tutaj. Mocnym, pewnym ruchem. Dlatego znacznie lepiej się to udaje, kiedy kogoś całujesz. Ofiara jest zbyt pochłonięta czymś innym, by zorientować się, co się naprawdę dzieje.

- Nie pocałuję cię - powiedziała ostro, zastanawiając się, czy ma jakąkolwiek szansę unieszkodliwienia go przy pomocy jego własnego triku. - Nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Nieprawda - szepnął.

Pogładził jeszcze jej dłoń i cofnął się, zostawiając ją z poczuciem zagubienia, dziwnie wyczerpaną.

- Odwróć się do mnie plecami.

- O nie. Tylko nie to. Wiem już, że w ułamku sekundy możesz rozłożyć mnie na podłodze.

- Owszem, mogę, ale musisz wiedzieć, co robić, żeby Hansowi czy Renaudowi nie udało się ta sama sztuczka. Jeśli zaatakuje cię któryś z nich, będą

starali się raczej zająć cię od tyłu. Tacy już są. Pozbawieni instynktu sportowego.

- Tylko nie mów mi o sporcie! - prychnęła.

- Odwróć się, ale nie myśl już o biednym, nieprzytomnym Harrym. Myśl o tym, co dzieje się wokół ciebie, skąd może nadejść niebezpieczeństwo. Zorientuj się, czy czujesz, że podchodzę... - głos zamilkł, kiedy mocnym wyrzutem łokcia trafiła Jensena w żołądek. Włożyła w ten cios całą siłę.

Miał bardzo twardy żołądek, a ona pewnie będzie miała naderwane ścięgno po zetknięciu z żelaznymi mięśniami. Odwróciła się do niego i zobaczyła cień rozbawienia na jego twarzy.

- Już lepiej - stwierdził.

- Widocznie coś cię rozproszyło - zakpiła. - Spróbujmy jeszcze...

Zanim skończyła zdanie, znalazła się znowu na podłodze. Tym razem leżała na plecach, a Jensen przygniatał ją całym ciężarem ciała do ziemi i trzymał dłoń na jej gardle, nie pozwalając się ruszyć.

- Nie triumfuj zbyt wcześnie, jeśli zadasz jeden skuteczny cios. W ten sposób dajesz przeciwnikowi sygnał, że masz osłabioną czujność.

Patrzyła na niego i z trudem chwyciła powietrze. Tym razem jednak nie była to kwestia upadku. Tłumaczyła sobie, że to panika. Wytłumaczenie całkowicie logiczne, ale tylko częściowo prawdziwe.

- Puść mnie, Jensen - wycedziła wściekle. - Puść mnie natychmiast, bo jeśli nie, to niech tylko znajdę gdzieś ołówek albo pęk kluczy, będziesz ślepy jak nietoperz.

Leniwy uśmiech, który pojawił się na twarzy Jensena, tylko wzmógł jej wściekłość.

- Naprawdę? - Nachylił się i ciemne włosy opadły na czoło, niemal zasłaniając oczy. - A ja miałem wrażenie, że ci się to podoba. Przynajmniej odrobinę.

- Nie podoba mi się - zaprzeczyła, ale bez przekonania, słabym głosem. Czy Jensen zamierzał znowu ją pocałować? Tym razem nie będzie miała żadnych skrupułów, wymierzy mu cios w krtań. A może będzie po prostu leżała bez ruchu i pozwoli się pocałować?

Nachylił się jeszcze bardziej, niemal dotykał wargami jej warg.

- O czym myślisz?

- Myślałam, że czytasz w moich myślach.

- Nie wtedy, kiedy naprawdę się liczą - powiedział i musnął jej usta, a potem obrócił się, uwalniając ją od swojego ciężaru.

Wstał, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Po tej dziwnej scenie czuła się obnażona i bezbronna. Poobijana i niemądra. Jensen podszedł do drzwi, ale ich nie otworzył.

- Czego chcesz, Renaud?

Gene nie usłyszała nawet pukania. Usiadła na podłodze, ale Peter nadal nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

- Jesteśmy już gotowi do przeprawy na ląd. Co robimy z dziewczyną? Zabieramy czy kończymy z nią?

Dopiero teraz spojrzał w jej stronę i znowu nie potrafiła wyczytać nic z jego twarzy.

- Zabieramy ją ze sobą - powiedział.

- Lepiej byłoby pozbyć się jej teraz. Mogę się tym zająć, jeśli chcesz.

Dziesięć minut i po robocie.

- Nigdy nie lubiłeś się spieszyć - powiedział Peter. - Zostaw ją mnie.

- Jak sobie życzysz, szefie. - Renaud nie miał zbyt zadowolonego głosu.

Genevieve przypomniała sobie jego małe, kaprawe, pełne okrucieństwa oczka i wstrząsnął nią dreszcz. Wszystko, tylko nie Renaud.

Podniosła się z podłogi, a Peter odszedł od drzwi.

- Przeprawa na ląd? - zapytała. - Dokąd się wybieramy?

- Jesteśmy u celu podróży. Nie zauważyłaś, że silnik nie pracuje? Stoimy na kotwicy.

- Gdzie jesteśmy?

- Little Fox Island. Mała prywatna wysepka Van Dorna i jego schronienie od rozlicznych obowiązków ciążyących na barkach multimiliardera. Tu zwykł wypoczywać i tu spocznie.

- Spocznie?

- Tak. Obawiam się, że czas biednego Harry'ego dobiegł końca.

- Mój też?

Jensen nie odpowiedział. Co było najgorszą odpowiedzią.

Nie mógł się poruszyć. Czegokolwiek użyli, dawka musiała być potężna. Ciągłe był tak oszołomiony, że nie był w stanie nawet unieść powiek. Leżał bezwładnie i słuchał.

Nie najgorszy sposób spędzania czasu. Lubił wszelkie narkotyki i właściwie rozkoszował się oszołomieniem. W jakimś momencie będzie musiał zebrać siły, zdobyć się na wysiłek, ale na razie mógł sobie leżeć i przysłuchiwać się, jak ten sukinsyn Jensen wygłupia się przed jego dziewczyną.

Podobało mu się to określenie. O wszystkich swoich partnerach seksualnych, tych których miał za ich przyzwoleniem i bez przyzwolenia, mężczyznach i kobietach, dzieciach i dorosłych, myślał „moja dziewczyna”, tak ich nazywał. Genevieve Spenser nie wie jeszcze, co ją czeka.

Teraz nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, widzi tylko Jensena. A powinna raczej błagać o życie Harry'ego, niż ćwiczyć idiotyczne chwytły z jego wrogiem.

Na wszystko przyjdzie czas, musi tylko kupić sobie sprzymierzeńca. Ci tutaj, na jachcie, przygotowali jakiś skomplikowany plan, tyle rozumiał, chociaż był oszołomiony. Musieli mieć swoje powody, by go oszczędzić.

Nie zginie. Był zbyt potężny. I miał zawrotną wizję. Wprowadzi w życie Zasadę Siódemki. Żadna siła na ziemi go przed tym nie powstrzyma, nawet jeśli w tym momencie sprawy przedstawiały się nieciekawie.

Piękny i prosty plan. Siedem katastrof, które następując jedna po drugiej, wtrąca świat w finansowy chaos. I on, tylko on, będzie wiedział, jak ten chaos wykorzystać, obrócić na swoją korzyść.

Wymyślił to doskonale. Chyba nawet ci, którzy go porwali, nie zdawali sobie sprawy, na czym polegał jego plan, nie potrafili dostrzec jego geniuszu. Bo też Harry rozbił całość na oddzielne, nie powiązane ze sobą elementy. Mógł sobie kupić najlepszych i najbardziej bezwzględnych pomocników. Miał siedmiu, każdy z nich nadzorował jeden projekt. Gdyby ktoś wpadł na jego trop, nadal pozostawało sześciu innych.

Czekali na jego znak, by przystąpić do działania. Na dzień pierwszego uderzenia wybrał idealną datę, 20. kwietnia, dzień urodzin Hitlera. Potem były daty związane z różnymi amerykańskimi tragediami: masakra w Columbine, masakra w Waco, wybuch w Oklahoma City... Jego ludzie niczego się nie domyślali. Byli dobrymi, wiernymi żołnierzami, ale pozbawionymi wyobraźni.

Natomiast Peter Jensen oszukał go i zwiódł. Harry nie wybaczał zdrady. Jensen powiedział, że urodził się 20. kwietnia. Czyli coś wiedział, znał datę pierwszego uderzenia.

Harry zawsze lubił wyzwania. Nawet teraz, oszołomiony, dostrzegał już swój przyszły triumf. Nie mogło być inaczej.

Osobiście zajmie się Jensenem, zada mu powolną śmierć, wypruje wnętrzności. Może nawet zmusi swoją prawniczkę, w końcu Spenser była jego prawniczką, żeby na to patrzyła, bo zdawała się zbyt pochłonięta Jensenem.

Zdąży też zabawić się z nią, może nawet zatrzyma ją na jakiś czas, podporządkuje sobie całkowicie.

Powinien był wiedzieć, że człowiek, który urodził się tego samego dnia co Hitler, może sprawiać kłopoty, ale zbieżność dat tak mu się spodobała, że zapomniał o ostrożności.

Naprawi to. Musi tylko znaleźć sprzymierzeńca i pomocnika.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdybym sam miał zaprojektować miejsce akcji, wyglądałoby zapewne dokładnie tak jak Little Fox Island, pomyślał Peter.

Willa stała na wzgórzu po wschodniej stronie wyspy. Łagodnie opadającą ścieżką schodziło się na dziewiczo czystą plażę.

Sama wysepka znajdowała się na uboczu uczęszczanych tras żeglugowych, a bardzo silne pływy odstraszały turystów. W dodatku w przybrzeżnych wodach pojawiały się rekiny. Wszystko to sprawiało, że właściciel wyspy mógł napawać się do woli spokojem i samotnością.

Renaud i Hans zanieśli nadal nieprzytomnego Harry'ego do niewielkiej szopy przy moło dla motorówek i tu go zostawili, oczywiście związanego.

Nie było to chyba konieczne. Dawka została tak obliczona, by Harry trwał w stanie półświadomości, aż nadejdzie odpowiedni moment. Peter sam nie był pewien, czy Harry zasłużył na aż taką okrutną śmierć.

Nieważne. Komitet nigdy dotąd nie wydał wyroku na niewinnego człowieka. Każdą misję poprzedzało wyczerpujące zbieranie informacji, każdy wyrok był opatrzony solidną dokumentacją.

Akurat o obecnej misji nie dało się powiedzieć tego samego. Brakowało danych, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Harry Van Dorn stworzył plan totalnej katastrofy gospodarczej i zamierza wcielić go w życie. A Peter, im dłużej przebywał ze swoim nowym pryncypałem, im lepiej poznawał jego nieobliczalny charakter i z gruntu chore upodobania, tym bardziej się upewniał,

że to człowiek przesiąknięty złem. A przecież znał Harry'ego krótko i powierzchownie. Strach pomyśleć, co kryło się w głębi jego duszy.

Nadal jednak miał natomiast wątpliwości co do Genevieve Spenser.

Na wyspę dała się przewieźć bez problemów. Nie wiązał jej, nie zakładał przepaski na oczy. W końcu nie musiał. Little Fox miała ulec zniszczeniu w eksplozji. Wadliwa instalacja gazowa - tak powinni orzec eksperci, badający później sprawę.

Jeśli Jensen nie znajdzie przekonującego powodu, by zabrać stąd Spenser, i ona zginie w katastrofie.

Zbyt dobrze wyglądała w szortach, które sama wyprodukowała. Myślała, że tnie spodnie Harry'ego, tymczasem były to spodnie Petera. Fakt, że Gene nosi jego ubranie, sprawiał mu dziwną przyjemność. Jej oczywiście by się to nie podobało. Przekonana, że biedny, poczciwy Harry padł ofiarą terrorystów, zamierzała go uparcie bronić. Co oczywiście oznaczało, że zacznie sprawiać kłopoty.

Mógł powiedzieć jej prawdę, ale poufne informacje zwykł trzymać dla siebie, nie potrafił już inaczej, robił to instynktownie. Myślała, że Harry jest tym dobrym, ale w ostatecznym rachunku nie miało to żadnego znaczenia.

Kilka dni temu pozbyli się całej służby, która mieszkała na wyspie i teraz w luksusowej willi panowały pustki i atmosfera opuszczenia.

Peter był na wyspie wcześniej jako asystent Harry'ego i wiedział o niej wszystko, co powinien. Nie brał pod uwagę, że tym razem przybędzie w niespodziewanym towarzystwie, ale jako profesjonalista i człowiek elastyczny potrafił zawsze stanąć na wysokości zadania.

Trzymał ją za ramię. Nie podobało się jej to. Nie musiał, bo przecież daleko by nie uciekła, ale nie chciał, żeby zajęli się nią Hans albo Renaud. Zwolnił uścisk, dopiero kiedy znaleźli się w ogromnym salonie Harry'ego. Z rozbawieniem stwierdził, że zrobiła dokładnie to, czego się spodziewał: wyrwała ramię i odsunęła się o kilka kroków.

- Możesz zająć sypialnię na końcu korytarza - powiedział, wskazując kierunek głową. - Może nawet znajdziesz jakieś ubrania, chociaż wątpię. Gośćmi Harry'ego były zwykle anorektyczne modelki robiące zakupy w Victoria's Secret. Wyglądałabyś na pewno rozkosznie w seksownej bieliźnie tej firmy, ale chyba nie to ci teraz w głowie.

- Nie będziesz trzymał mnie pod kluczem? - zapytała wyraźnie zdumiona. Peter wzruszył ramionami.

- Nie masz dokąd uciec. Jacht już odpłynął.

- A wy, jak stąd się wydostaniecie?

- M.S. „Siedem Grzechów” wróci, ale będzie już zupełnie inaczej wyglądał. Niewiele możesz zrobić. Radzę ci trzymać się z daleka od Renauda i Hansa. Nie są tak mili jak ja.

- Jestem głodna.

- Poszukaj kuchni.

- Co ze służbą? Harry musiał mieć tutaj jakąś służbę.

Jensen domyślił się od razu, że Spenser próbuje wybadać, czy znajdzie na wyspie jakichś sprzymierzeńców, ale czekał ją gorzki zawód.

- Służby dawno nie ma. Dopilnowałem, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

W oczach Genevieve odmalował się szok. Najwyraźniej pomyślała, że Peter poderzwał im gardła i rzucił na pożarcie rekinom. Tymczasem ludzie Harry'ego bawili na nieoczekiwanych wakacjach opłaconych przez chlebodawcę. Nie po raz pierwszy zresztą. Sam Harry często ekspediował ich z domu, wołąc w pewnych sytuacjach obywać się bez świadków.

Genevieve stała na środku pokoju i wpatrywała się w Petera z napięciem.

- Nie jesteś głodny?

Posłał jej najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów. Jego była żona zwykła mawiać, że zabiłaby go z rozkoszą za ten uśmiech.

- Sandwicz i piwo proszę.

Gene rzuciła w niego wazonem. Wiedział, że tak będzie, sprowokował ją przecież. Nie miała pojęcia, ile kosztował ten wazon. Może to i dobrze. Uchylił się zgrabnie i cenny przedmiot roztrzaskał się na podłodze. Osiemnastowieczna francuska porcelana warta siedem tysięcy trzysta dolarów.

- Musisz naprawdę poćwiczyć umiejętność ataku z zaskoczenia. Jesteś zbyt przewidywalna - stwierdził i otworzył drzwi prowadzące na taras, wpuszczając do wnętrza chłodną bryzę. Willa była oczywiście klimatyzowana, ale tak przemyślnie zaprojektowana, że nawet przy wyłączonej klimatyzacji panował tu przewiewny chłód.

- Wiesz, co możesz zrobić ze swoim piwem i sandwiczem - powiedziała tonem towarzyskiej pogawędki. - Pozwolisz mi poruszać się po domu swobodnie? Nie zamierzasz mnie wiązać?

- Tylko jeśli będziesz tego bardzo chciała. Nie podejrzewam cię o takie niezdrowe upodobania, ale nigdy nic nie wiadomo.

- A jeśli ucieknę?

Peter usiadł na kanapie, zrzucił buty i wyciągnął się wygodnie, opierając stopy na stoliku do kawy.

- Po pierwsze Hans i Renaud są cały czas w pobliżu. Przykazałem im, że mają trzymać łapy przy sobie, ale nie zawsze słuchają moich rozkazów. Po drugie nie masz dokąd uciec. Jacht odpłynął. Po trzecie w oceanie roi się od rekinów. Są też chyba miny, ale tego nie jestem pewien.

- Żartujesz! Co mam robić? Czekać, aż zdecydujesz się mnie zabić?

- Albo myśleć o drodze ucieczki - podsunął uprzejmie.

- Mógłbyś mi pomóc.

- Mógłbym, ale nie pomogę. - Czy rzeczywiście? Nigdy jeszcze nie zabił niewinnego człowieka, który przypadkowo wszedł mu w drogę. O ile Genevieve Spenser była rzeczywiście niewinna.

Może miała swój udział w szalonym planie Van Dorna. Przywiozła do podpisu dokumenty, na mocy których lukratywne pola naftowe miały zostać

przejęte przez jakąś tajemniczą, fikcyjną korporację, a Komitet zdążył się dowiedzieć, że te właśnie pola mają stać się celem starannie planowanego ataku, chociaż dokładna data nie była znana.

Zniknięcie Harry'ego powinno zapobiec akcji, w każdym razie Peter miał taką nadzieję. Van Dorn sam kontrolował wszystkie działania i zapewne osobiście negocjował z terrorystami, których opłacał. Być może jednak ludzie, których wynajął, byli gotowi umrzeć na chwałę Allaha. Van Dorn świetnie potrafił wykorzystać każdą słabość. Tak czy inaczej, nawet najbardziej zaślepieni fanatycy będą potrzebowali pieniędzy na wydatki. Zapewne chcieli też zabezpieczyć swoje żony i dzieci. Istniała duża szansa, że bez wsparcia finansowego Harry'ego odstąpią od przeprowadzenia akcji.

Harry zaplanował w sumie siedem ataków, Komitetowi udało się zidentyfikować tylko dwa cele. Pozostawało wierzyć, że zniknięcie Harry'ego zapobiegnie wszystkim siedmiu nieszczęściom.

Wiele zależało od tego, jak precyzyjnie Harry zaplanował całość i czy zostawiał wolną rękę swoim współpracownikom. Peter obserwował go uważnie w ostatnich miesiącach i bardzo wątpił, by Van Dorn był gotów dzielić się władzą. To raczej on kierował planem, pozostali wykonywali ślepo jego polecenia.

Komitet z góry zrezygnował z prób wydobycia informacji od samego Harry'ego. Tortury nic by nie dały, bo Harry uwielbiał ból. Z całym rozmysłem stronił też od technologii. Nie używał komputera, telefonu komórkowego, palmtopa, z których można by wykraść informacje.

Sprawa z Genevieve Spenser miała się zupełnie inaczej. Jeśli piękna prawniczka coś wiedziała, zapewne łatwo byłoby ją złamać. Gdyby Peter podchodził do sprawy ze zwykłym sobie pełnym dystansu chłodem, nie wahałby się ani chwili.

Nie zamierzał jednak zadawać jej bólu. Zabije ją, jeśli będzie musiał, ale ciągle miał nadzieję, że uda się uratować dziewczynę. Co prawda madame

Lambert poleciła ją zlikwidować, ale madame Lambert była daleko. Łatwo jest podejmować decyzje komuś, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany w akcję.

Peter musiał brać pod uwagę różne scenariusze i różne możliwości, ale intuicja mówiła mu, że Genevieve Spenser jest niewinna. Nowojorska kancelaria przysłała ją do Harry'ego z dokumentami do podpisania, to wszystko. Dziewczyna przywiozła papiery i trafiła w sam środek wielkiej rozgrywki, której wagi była całkowicie nieświadoma.

Ciągle patrzyła na niego z nadzieją. Zastanawiał się, czy jej nie okłamać, nie obiecać pomocy. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się, by odmówił wykonania rozkazu. Teraz też nie zamierzał tego uczynić, z drugiej strony nie widział powodów, dla których dziewczyna miałaby spędzić ostatnie dwa dni swojego życia, walcząc z obezwładniającym strachem. Nie chciał jej okłamywać.

- Nie mogę ci pomóc. Nie licz na mnie, to na nic. Od bardzo dawna gram w tę grę i znam na wylot każdy jej aspekt. Tutaj niestety wszystko zależy od ciebie, rzecz w tym, żebyś nie popełniła głupiego błędu. To najważniejsze.

Jedyne co mógł dla niej zrobić, to nauczyć kilku chwytów, pokazać, jak ma się bronić, zwiększyć jej szanse przeżycia.

Byłoby mu lżej, gdyby rzuciła teraz w niego kolejnym bezcennym wazonem, ale ona stała bardzo spokojnie i wpatrywała się w niego. Musiała widzieć go zupełnie dobrze, sprawdził, jakie nosi okulary, zanim je wyrzucił, szkła nie były zbyt silne. Tak, widziała go na tyle dobrze, by dojrzeć, jaka z niego bezwartościowa kupa gówna. Po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył, zwiesiła bezradnie ramiona.

Szybko jednak się wyprostowała, uniosła głowę. Jakby go definitywnie przekreślała. Tak w każdym razie to odebrał.

- Mówiłeś, że gdzie jest kuchnia? - spytała obojętnym tonem.

Zastanawiał się, czy myśli o użyciu któregoś z noży kuchennych. Nóż kuchenny czy maleńki scyzoryk, akurat w jej wypadku nie czyniło to żadnej różnicy, miała do czynienia z profesjonalistami.

- Na końcu korytarza po lewej. - Miał na tyle taktu, by nie ponawiać już prośby o sandwicz i piwo.

Był głodny, ale mógł poczekać, aż Hans, uporawszy się z Van Dornem, przygotuje coś do jedzenia.

Genevieve zniknęła bez słowa, a on odchylił głowę i zamknął oczy. Zastanawiał się, czy powinien jeszcze raz ostrzec swoich ludzi, żeby trzymali się od niej z daleka. Dał im to kilka razy jasno do zrozumienia, ale dotąd rzadko pracował z Hansem i Renaudem, słabo ich znał i nie wiedział, na ile są zdyscyplinowani. Na dobrą sprawę obaj zdawali się niewiele lepsi od płatnych bandytów, którzy pracują dla tego, kto więcej płaci. Zresztą Peter też zaczynał wątpić, czy istotnie działa w imię dobra.

Genevieve nie będzie chyba na tyle nierozsądna, żeby wychodzić z domu. On natomiast postara się dopilnować, żeby ostatnie dni życia spędziła w spokoju, nie napastowana przez jego ludzi.

Wróciła po kilku minutach. Słyszał jej kroki, ale nie otworzył oczu. Myślał, że pójdzie do pokoju, który jej wskazał, ale wyraźnie poczuł jej zapach: delikatny, kwiatowy i bardzo kobiecy.

Stała nad nim, a wtedy uniósł wreszcie powieki, ciekaw, czy zobaczy w jej dłoni wielki nóż. Nie, nóż schowała pod T-shirtem, a w dłoniach miała tacę z piwem i sandwiczem.

Postawiła ją na stoliku.

- Żartujesz chyba - powiedział, nie wierząc własnym oczom.

- Dobry terrorysta powinien dużo jeść, żeby mieć siły - powiedziała z kamienną twarzą. - Jedz i zajmuj się dalej swoją wywrotową działalnością. Nie będę już prowadziła z tobą żadnych negocjacji w sprawie ratowania Harry'ego. Rezygnuję.

- W swojej sprawie też nie będziesz już negocjować? - zainteresował się.

- Jasne. Na razie zacznij się martwić, czy nie zatrąłam ci jedzenia.

Wyszła z salonu z nożem ukrytym pod T-shirtem. Gdyby była dziesięć lat młodsza, pewnie pokazałaby Peterowi język.

Genevieve rozejrzała się po pokoju. Na ścianie Renoir, który mógł być prawdziwy, na komodzie niewielka rzeźba z brązu przedstawiająca tancerkę, zapewne Degas, a może tylko falsyfikat. Rozsuwane drzwi prowadziły na niewielki taras zawieszony nad stromym skalistym zboczem. Tędy zapewne by nie zeszła, prędzej skręciłaby sobie kark. Nawet gdyby się jej udało, po wyspie kręciło się dwóch psychopatów Jensena, a w przybrzeżnych wodach czekały na nią rekiny. Dokąd by zresztą miała płynąć? Nic dziwnego, że Jensen jej nie trzymał pod kluczem.

Wyciągnęła ukryty pod T-shirtem nóż i ukryła go między materacem a spodem wielkiego łóżka, które zdominowałoby każdą zwykłą sypialnię, ale tutaj, w ogromnym wnętrzu wydawało się jak najbardziej odpowiednie.

Jensen nie ma pojęcia, że zdążyła się uzbroić. Nadal myśli, że jej jedyną bronią jest mały scyzoryk. Nóż był bardzo ostry, już skaleczyła się w palec. Dokładnie też zlustrowała lodówkę wypełnioną po brzegi jedzeniem. Jeśli umrze, to z pełnym brzuchem. I już nigdy nie będzie musiała martwić się zbędnymi kilogramami.

Było późne popołudnie. Zastanawiała się, jak spędzić resztę dnia. Wielka kanapka, którą zjadła, zaczęła nagle pęcznieć w żołądku, a rajskie otoczenie tropikalnej wyspy nabrało mrocznych cech.

Nie, nie może sobie pozwolić na wpadanie w depresję. Wydostanie się stąd cała i zdrowa, zabierze z sobą Harry'ego Van Dorna. Od kiedy zrezygnowała ze swoich szlachetnych porywów i zaprzedała duszę kancelarii Ropera, nie miała okazji zrobić nic pożytecznego. Może teraz to naprawi. Harry Van Dorn nie musi ginąć nędzną śmiercią, zlikwidowany przez wysłanników tajemniczej organizacji samozwańczych stróżów sprawiedliwości. Wyjdzie z opresji cało. Oboje się uratują.

Genevieve musi tylko znaleźć sposób, jak tego dokonać.

W Londynie dochodziła północ, ale dzień madame Lambert nie dobiegł jeszcze końca. Czytała po raz kolejny otrzymaną wiadomość i nie wierzyła własnym oczom. Peter Jensen, najlepszy agent Komitetu, człowiek zimny jak lód, pozbawiony skrupułów, waha się przed wykonaniem rozkazu. Kwestionuje polecenia Londynu. Niesłychane. Niewyobrażalne.

Zdrowe.

Martwiła się o niego. To on przyczynił się do odejścia Bastiena z Komitetu. Otóż Bastien zakochał się, w oczach Petera Jensa musiała to być niewybaczalna słabość, na którą on sam nigdy by sobie nie pozwolił.

Taka postawa odpowiadała madame Lambert, nie mogła stracić Jensa, był najlepszym człowiekiem, jakiego miała, zbyt wiele zależało od jego pracy dla Komitetu.

Jednak nawet najlepiej naoliwione maszyny czasami odmawiają posłuszeństwa. Peter zapewne by zaprzeczył, był jednak człowiekiem obdarzonym sumieniem, aczkolwiek starał się to ukrywać, głównie przed sobą.

Teraz to sumienie się objawiło.

W najmniej fortunnym momencie.

Madame Lambert wierzyła mocno, że Peter nie popełni żadnego błędu. Jeśli miał wątpliwości co do rozkazów otrzymanych z Londynu, to zapewne uzasadnione.

Musiała mu zaufać i nadal polegać na jego sędzi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ku własnemu zaskoczeniu Genevieve zasnęła. Kiedy się obudziła, słońce już zachodziło, a ona nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest.

Dopiero gniewny głos od drzwi przywrócił jej poczucie miejsca:

- Myślałem, że planujesz ucieczkę, a ty ucinasz sobie drzemkę.

Zamknęła drzwi na klucz. Powinna była wiedzieć, że to próżny zabieg. Nawet nie potrafiła okazać złości i oburzenia. Utkwiła wzrok w lazurowych, rozświetlonych ostatnimi promieniami słońca wodach oceanu, ignorując Jensena.

Dom stał na skale i roztaczał się stąd zapierający dech w piersiach widok. Wrażenie nieco psuł mur otaczający willę - co za pomysł, otaczać murem willę na skale - oraz rekiny żerujące w lazurowych wodach.

- Rozumiem, że nie zawracasz sobie głowy takimi głupstwami jak pukanie? - powiedziała miłym tonem pozostającym w jawnej sprzeczności z przesłaniem pytania. - Nie wspomnę już o tym, że otwierasz drzwi zamknięte na klucz. Trudno. Miło byłoby jednak uprzedzić, że wdzierasz się do mojego pokoju. Jensen zdążył wziąć prysznic, przebrać się... Przeklęła się w duchu, gdy to zauważyła. Przez pewien czas był zajęty, mogła to jakoś wykorzystać, tymczasem zasnęła.

- Dobrze, że nie próbowałaś - powiedział. Znowu czytał w jej myślach, a przecież potrafiła zachować pokerową twarz, kiedy trzeba. W końcu to część zawodu prawnika.

Peter Jensen po prostu wyjątkowo dobrze wyczuwał ludzkie emocje i trafnie przewidywał reakcje. Znał ją chyba lepiej niż ona samą siebie. Woląca myśleć, że to kwestia wrodzonego talentu, a nie, broń Boże, nić porozumienia między nimi.

- Dlaczego? - Odwróciła się teraz do niego, zamiast zerkać z ukosa. - Mam się przewrócić na grzbiet i zrobić „zdechł pies”?

Szkoda, że to czytanie w myślach było jednostronne. Twarz Jensena pozostawała dla niej, jak zwykle, zamkniętą księgą.

- W domu zainstalowany jest eksperymentalny system alarmowy - powiedział po dłuższej chwili. - Jeśli spróbowałabyś otworzyć drzwi albo okno, poraziłby cię prąd, dość silny, obawiam się. A na wyspie nie ma raczej nikogo, kto udzieliłby ci pierwszej pomocy.

- A ty? - spytała z kpina w głosie. - Myślałam, że potrafisz wszystko.

- Nie moja specjalność. Ja zabieram życie, nie zajmuję się jego ratowaniem.

Co można powiedzieć na takie stwierdzenie?

- Zatem będziemy tu sobie siedzieli i czekali, aż zademonstrujesz, na czym polega twoja specjalność? - zapytała.

- System działa oczywiście w obydwie strony, co powinnaś uważać za swoje błogosławieństwo.

- O, tak. Można powiedzieć, że spada na mnie deszcz błogosławieństw.

W oczach Jensena pojawiło się coś, co przy sporym nakładzie dobrej woli można by uznać za rozbawienie.

- Lubię, kiedy się odcinasz.

- Mam inne cele w życiu niż robić to, co lubisz. Na przykład, chcę się stąd wydostać. I zabrać z sobą Harry'ego.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie wierzę. Możesz wszystko, co zechcesz.

- Miło, że masz o mnie takie wysokie mniemanie, ale muszę wykonać moją misję. To kwestia dumy zawodowej.

- To dlaczego w ogóle rozmawiamy? - prychnęła.

- Spróbujesz wyjść, porazi cię prąd - powtórzył.

- Ostrzegałem cię już, że w oceanie roi się od rekinów. Tylko drzwi na taras w salonie są bezpieczne, są też dwa baseny na terenie posesji, jeden ze słodką wodą, drugi z morską. Możesz popływać, to cię odpręży.

- Nie mam kostiumu kąpielowego.

- Harry przyjmował tu dziesiątki kobiet. Jeśli poszukasz, na pewno znajdziesz jakiś odpowiedni. Możesz też kapać się nago.

- Tak, uwielbiam rozbierać się do rosołu.

- Nie czujesz się przy mnie bezpieczna?

- Wręcz przeciwnie. Ty przecież zamierzasz mnie tylko zabić, a nie zgwałcić. - Odgarnęła włosy z twarzy. Stał tak blisko, że nawet bez szkieł dobrze widziała jego twarz. - Chyba że cię uwiodę i wtedy pozwolisz mi się stąd wydostać.

Jak na człowieka, który zawsze panował nad sobą, popełnił poważny błąd. Zaśmiał się.

- Myślisz, że nie zrobiłabym tego? - zapytała rozsierzdzona.

- Mówisz o uwiedzeniu? Oczywiście, dlaczego nie? Mamy dwa dni, trzeba jakoś zabić czas, przepraszam za wyrażenie. Czy to coś zmieni? Nie. Ciekawe, czy naprawdę byłabyś do tego zdolna.

Zmierzyła go niespiesznym, niemal obraźliwym spojrzeniem, które wszak nie wywołało żadnej reakcji. Jak zwykle.

- Dlaczego nie? Jesteś dość przystojny. Oczywiście kiedy nie grasz wtapiającego się w tło idealnego asystenta.

- Dość przystojny? - zdziwił się, bliski rozbawienia. - A ja myślałem, że stać cię na kogoś lepszego.

Był zabójczo przystojny, smukły, z długimi czarnymi włosami opadającymi na kark, z lodowato błękitnymi oczami.

- Nie mam wyboru - odparła lekko.

- Nie trać na mnie czasu. Jestem ekspertem od każdej broni, seksu nie wykluczając. Nie posiadam uczuć. Mogę się bzykać tak samo dobrze, jak potrafię zabijać. Jedno i drugie niewiele dla mnie znaczy i nie pozostawia śladu.

- Nigdy nie myślałam o seksie jako o broni.

- Albo kłamiesz, albo jesteś potwornie naiwna. Jedno z dwojga, ponieważ nie robisz na mnie wrażenia szczególnie romantycznej.

Punkt dla mnie, pomyślała Gene. Jednak nie znał jej wcale tak dobrze, jak myślała. W rzeczywistości była beznadziejnie, nieuleczalnie romantyczna.

Odchyliła się w fotelu i wyciągnęła przed siebie długie szczupłe nogi.

- Podsumujmy - zaczęła, przyjmując taki ton, jakby występowała przed ławą przysięgłych. - Nie mogę opuścić domu, ponieważ drzwi i okna są pod napięciem, ale mogę korzystać z basenu... Co mnie powstrzyma przed ucieczką, kiedy już znajdę się na zewnątrz?

- Ogrodzenie wokół basenu też jest pod napięciem. Zginęłabyś na miejscu.

Gene przełknęła ślinę.

- W porządku. Powiedzmy, że udaje mi się jakoś pokonać murek pod napięciem. Natykam się na twoich sadystycznych koleżków. Z nimi też daję sobie radę i docieram na brzeg oceanu, w którym roi się od rekinów. W co, akurat, nie wierzę.

- Pożarłyby cię natychmiast, niestety - powiedział Peter z niejakim smutkiem. - Kiedy byłem dzieckiem, matka wzięła mnie na „Szczęki”. Pamiętam, że nie jest to zbyt przyjemna śmierć.

- A istnieje coś takiego jak przyjemna śmierć? Nie musisz odpowiadać, akurat sporo wiesz na ten temat. Nie wierzę, że miałaś matkę. Wyklułeś się z jaja, jak wąż. Jesteś wężem.

- Ktoś musiał znieść to jajo - zwrócił jej uwagę.

- Ale rzeczywiście, moja matka miała w sobie wiele ze żmii. - Odwrócił się do wyjścia.

- To wszystko? - zdziwiła się. - Przychodzisz tutaj, opowiadasz o rodzajach śmierci, jakie mogę ponieść, a potem po prostu sobie wychodzisz?

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Ostrzegam cię przed przedwczesną śmiercią. Możesz jeszcze walczyć.

- Po co? Podnieca cię widok walczącej ofiary?

Posunęła się za daleko, ale prowokowała go.

Od momentu, kiedy wszedł do jej pokoju bez pukania.

Błyskawicznie znalazł się obok niej. Pochylił się, oparł dłonie na oparciach fotela, zamykając ją w potrzasku, przysunął twarz do jej twarzy.

- Lepiej żebyś nie wiedziała, co mnie podnieca - szepnął.

Gene próbowała patrzeć mu prosto w oczy, nie okazując żadnej reakcji. Nie wiedziała, czy ma do czynienia z człowiekiem, czy z blokiem lodu.

Zapomniała o zdolności Jensena do czytania w jej myślach.

- A może ci się wydaje, że wiesz – powiedział cicho i było to bardziej przerażające niż słowa wypowiedane głośno, z wściekłością czy okrucieństwem.

- Nie, ja...

Pocałował ją. Był to dziwny pocałunek. Pełen gniewu. Gene nie broniła się. Wbiła palce w oparcia fotela, żeby tylko nie unieść rąk, nie dotknąć Jensena i pozwoliła się całować, wstrząśnięta emocjami, które ten pocałunek w niej budził. Oddawała go, choć mogła się przecież powstrzymać. Nie mogła natomiast powstrzymać piekących łez, które czuła pod powiekami. Płakała nad nim? Nad sobą? Co się z nią do diabła dzieje?

Odsunął się i spojrzał na nią tymi swoimi lodowatymi oczami. Nie miał nawet przyspieszonego oddechu.

Ona, przeciwnie, nie mogła złapać tchu. Serce waliło jej jak oszalałe. Zamrugła, usiłując pozbyć się łez, które wywołał ten zimny, pusty pocałunek.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - powtórzył cicho i cofnął się.

I było tak, jakby ten pocałunek w ogóle się nie zdarzył.

- Chcę się przespać kilka godzin - powiedział. - A ty zwiedz wille, jeśli masz ochotę, planuj krwawe odwety oraz śmiałe ucieczki. Rób, co ci się żywnie podoba.

- Wynoś się - poprosiła uprzejmie.

- Już mnie nie ma. - I rzeczywiście już go nie było.

Długo siedziała bez ruchu w fotelu. Już nie wydawał się tak wygodny jak przedtem. Jensen naruszył jej przestrzeń, wtargnął w jej życie. Po tamtym napadzie w Auburn nauczyła się medytować, ale ostatnio uciekała się wyłącznie do tabletek.

Tabletek oczywiście nie miała, przepadły, nie wiedziała, jak odzyskać spokój. Próbowwała ćwiczeń oddechowych, próbowała relaksacyjnych, poczynając od palców stóp i posuwając się w górę. Nie pomagało, zaczęła więc raz jeszcze, od czubka głowy. Próbowwała przypomnieć sobie swoje medytacje, czego nauczyła się o czakrach...

Miała pecha. Owszem, mogła kontrolować ciało, udało się jej wreszcie rozluźnić mięśnie, ale wspomnienie pocałunku wracało z każdym głębokim wdechem. Jensen w jakimś sensie zawładnął nią i nie wiedziała, jak się od niego uwolnić.

Jak wielu ludziom zdarza się spoglądać śmierci prosto w oczy? Jej przydarza się to po raz drugi. Za pierwszy razem uniknęła jej o włos i wyszła z tego spotkania znacznie silniejsza.

Tym razem nic nie wskazywało, że przeżyje. Nie miała do czynienia ze ślepa, tępa siłą, jak wówczas. Tym razem przeciwnik był zimny, rozważny, równie przenikliwy jak ona. Potrafił kalkulować. Nie pozostawiał jej żadnych szans. Należało spodziewać się najgorszego.

Nie zamierzała się jednak poddawać. Byłaby idiotką, wątpiąc, że Jensen zrobi dokładnie to, co zaplanował. Nie była idiotką. Jensen, mężczyzna o twarzy anioła, był pozbawiony duszy.

Wcześniej, kiedy tak udatnie grał asystenta Van Dorna, widziała w nim szarą zjawę, teraz jawił się jej jako upadły anioł. Kameleon. Ten człowiek był zdolny przybrać dowolną postać, a każda z nich niosła śmierć. Tak twierdził, przedstawiał się jako maszyna do zabijania, a Gene mu wierzyła.

Podniosła się z fotela, podeszła do szklanych drzwi wiodących na taras, wyciągnęła dłoń i cofnęła ją w ostatniej chwili. Jedyne bezpieczne drzwi to te w salonie, przypomniała sobie.

Mógł ją oczywiście okłamać, próbować nastraszyć, ale nie sądziła, by tak właśnie było. Wiedziała tylko, że jeśli zaraz nie wydobędzie się z domu, zacznie krzyczeć, dostanie ataku hysterii.

Nie była tak naiwna, by wierzyć, że mu się podoba. Za jego pocałunkami kryło się wyrachowanie. Jensen chciał ją rozbroić, obezwładnić, unieszkodliwić. Za pierwszym razem udało mu się, bo działał przez zaskoczenie. Dzisiaj była odrobinę lepiej przygotowana. Twierdził, że jest ekspertem we wszystkich rodzajach broni, łącznie z seksem. Nic dziwnego, że ten dzisiejszy pocałunek nią wstrząsnął, zapewne o to mu chodziło. Chciał wywołać w niej poczucie osaczenia i bezbronności.

Bezbronność... To przypomniało jej o Harrym. Gdzie go trzymają? Nie ma mowy, żeby zostawiła biedaka własnemu losowi, chociaż jej los nie wydawał się wiele lepszy. W każdym razie gdyby istniała jakakolwiek szansa ucieczki, nie zostawi Van Dorna. Chociaż jak go zabierze, skoro leży gdzieś oszołomiony? Jak i dokąd? Co za myśli chodzą jej po głowie...

Właśnie, dokąd? Znajdowali się na prywatnej wyspie i chociaż nie bardzo wierzyła, żeby w przybrzeżnych wodach roiło się od rekinów, nie mogła wykluczać takiej możliwości. Ona też widziała przed laty „Szczęki”. Z dwójga złego wolała już kulkę w głowę.

Nie, nie dojdzie do tego. Wydobędzie się jakoś z pułapki. Obydwoje się wydostaną. Nawet jeśli będzie musiała rzucić Petera Jensena rekinom na pożarcie.

Znalazła jakiś kostium kąpielowy w swoim rozmiarze, niestety bez ramiączek, i poszła nad basen. Chłodna woda zdawała się wyplukiwać z jej organizmu resztki środków oszałamiających. Uspokajała się powoli, uczucie paniki mijało. Dokona tego. Będzie walczyła... Nauczyła się, że nie wolno być ofiarą.

Dopłynęła do płytkiego końca basenu, stanęła i poprawiła zsuwający się stanik kostiumu.

- Jaka szkoda - usłyszała głos Jensena. - Już miałem nadzieję, że grawitacja weźmie górę. W tym wypadku akurat dosłownie.

Leżał na leżaku w cieniu drzew i obserwował ją z zainteresowaniem.

Gene dała sobie spokój z kostiumem, opuściła rękę.

- Od jak dawna tu jesteś? - warknęła. - Mówiłeś, że chcesz się przespać.

- I spałem sobie spokojnie, dopóki nie obudziły mnie twoje głośne wyczyny w wodzie. Nie przypuszczałem, że masz w sobie tyle energii.

Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale wiedziała, że się jej przygląda, czuła na sobie jego wzrok. Co kryło się w tych osłoniętych ciemnymi szklami oczach? O czym ten człowiek myślał? Poczwała się tak, jakby była zupełnie naga, ale nie mogła pozwolić, żeby ją peszył.

Spojrzała prosto w ciemne okulary.

- Kiedy wyładowuję energię, lepiej mi się myśli oznajmiła.

- Powiniennem czuć się zaniepokojony? To nieznośne rozbawienie w jego głosie...

- Owszem, powinieneś.

Tym razem nie popełnił błędu i nie roześmiał się, ale czuła, że miał ochotę. Punkt dla niego, pomyślała.. Chyba zaczynała się domyślać, jak pracuje jego chłodny umysł.

Oczekiwał, że ucieknie jak spłoszony królik, szukając okrycia dla obnażonego ciała. Nie miała wcale najgorszego ciała, no może kilka kilogramów nadwagi, ale poza tym prezentowało się naprawdę nieźle. Tych

siedem kilogramów poszło w biodra, a wiadomo, że ciuchy leżą lepiej na sylwetce bez bioder i piersi. Prawda, nie miała teraz na sobie ciuchów, tylko skąpy dwuczęściowy kostium kąpielowy. Nawet jeśli czuła się trochę zbyt obnażona, nie zamierzała uciekać. Nie da mu tej satysfakcji.

Usiadła naprzeciwko niego, skrzyżowała nogi i odrzuciła mokre włosy na plecy.

- Jak długo jeszcze mam żyć?

Nie zaskoczyła go, naturalnie. Tego człowieka nic chyba nie było w stanie zaskoczyć.

- Jesteśmy w zaczepnym nastroju?

- Powiedzmy, że nie w pasywnym. Jak przedstawiają się twoje plany?

Masz jakiś grafik?

- Czemu pytasz? Chciałabyś przed śmiercią pojednać się z sobą?

- To raczej twój problem, nie mój - powiedziała. - Ja nie muszę jednać się z sobą, mam czyste sumienie i uczciwie przeżyte życie za sobą.

- Przykro mi to słyszeć. Ludzie żałują raczej rzeczy, których nie udało im się dokonać niż popełnionych uczynków. Myślałem o czymś takim. Powiadasz, że niczego nie żałujesz?

- Miło, że pytasz. Jedyna rzecz, której żałuję, to że przyleciałam na Kajmany.

Przyglądał się jej przez długą chwilę w milczeniu.

- Ja też tego żałuję - powiedział w końcu. - Harry i tak zginie, a ty mogłabyś w tej chwili wędrować sobie beztrosko po lasach deszczowych, zamiast prowadzić konwersację z zimnokrwistym zabójcą.

- Jesteś zatem zimnokrwistym zabójcą?

- W moich żyłach płynie lód. W to akurat nie wątpiła.

- Może właśnie tak miało być. Może zjawiłam się po to, żeby cię powstrzymać i uratować Harry'ego.

Jensen odchylił głowę. Nie widziała jego oczu, ale czuła, że właśnie je zamknął, jakby był znużony jej uporem.

- Wierz, w co chcesz.

- Ile jeszcze mam czasu? A może boisz się mi powiedzieć?

Usta wykrzywił mu nieznacznym uśmiechem. Nie powinna wpatrywać się w te usta. Były naprawdę niesamowite.

- Niczego się nie boję - oznajmił bardzo łagodnym głosem. - Chociaż byłoby na pewno lepiej dla mnie, gdybym się bał.

- Ile jeszcze mam czasu? Jensen westchnął.

- Jutro wieczorem powinno być po wszystkim. Lepiej się czujesz z tą wiedzą? Większość ludzi woli nie wiedzieć, kiedy umrze.

- W takim razie nie powinieneś być mówić mi, że zamierzasz mnie zabić.

- Nic takiego nie powiedziałem, w każdym razie nie tak dosadnie.

- Jasno dałeś mi to do zrozumienia. Chyba że zmieniłeś zamiar.

- To luksus, na który nie mogę sobie pozwolić.

- Na co zatem czekasz? Dlaczego od razu nie załatwisz sprawy?

- Przepraszam cię bardzo, ale pozwolisz, że będę jednak działał zgodnie z własnym terminarzem, nie twoim.

Wiele by dała, żeby osiąść chociaż odrobinę tego lodowatego spokoju, którym on dysponował w nadmiarze. Nie potrafiła w żaden sposób przebić się przez ten spokój.

- Powiedzmy, że zaniósę się płaczem i będę błagała, żebyś mnie oszczędził. - Nigdy, przenigdy nie uczyniłaby czegoś takiego, ale nie zaszkodziło zapytać.

Oczekiwała jakiegokolwiek reakcji, choćby przelotnego zachmurzenia czoła, ale usłyszała tylko:

- Proszę, nie.

- Byłoby ci trudniej? Bardzo chętnie utrudnię ci zadanie.

Nie odpowiedział i Gene pomyślała, że może jednak, po raz pierwszy trafiła w jakiś czuły punkt. A może po prostu był już znudzony tą rozmową. Prawdopodobnie to drugie. Traciła tylko czas.

- Chciałabym zobaczyć Harry'ego - oznajmiła nieoczekiwanie.

- Po co?

- Żeby się przekonać, że jeszcze żyje.

- A jaka to różnica, skoro i tak ma umrzeć? Nie dzisiaj, to jutro.

- Dla mnie to jest różnica - oznajmiła. Jensen jak zwykle odczytał jej myśli.

- Jeśli nie żyje, nie musisz go już brać w rachubę w swoich planach ucieczki. Na twoim miejscu w ogóle nie zawracałbym sobie głowy Harrym Van Dornem. Jego los jest przesądzony. Nie pomożesz mu w żaden sposób. Zajmij się raczej sobą.

- Myślałam, że mój los też jest przesądzony, jak to raczyłeś ująć.

Jensen uśmiechnął się.

- Mam melodramatyczne zacięcie. To chyba bierze się z zajęcia, jakie uprawiam.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Być może zaczęła wreszcie do niej docierać twarda determinacja Jensa. Zauważył to, oczywiście, ale zinterpretował w sposób jak najbardziej przyziemny.

- Zmarzłaś - powiedział. - Robi się późno. Bardzo niechętnie to robię, ale radziłbym ci się przebrać, ja tymczasem przygotuję nam coś do jedzenia. Prawdę mówiąc, nie powinienem w ogóle oglądać cię w tym kostiumie, bo kiedy tak na ciebie patrzę, nachodzą mnie różne zdrożne myśli.

Znowu sobie kpił, ale Genevieve nie była w nastroju do żartów.

- Jasne, zapomniałam, że mam do czynienia z bezradnym kłębkim niezaspokojonych żądz.

- Nigdy nie jestem bezradny.

Było w głosie Jensena coś, co zwróciło jej uwagę. Spojrzała na niego uważnie, ale nic nie dostrzegła w wyrazie jego twarzy.

- Nie myślę, żebyś...

- Stanowczo za dużo myślisz - przerwał jej. - Skończ już z tymi próbami wytrącenia mnie z równowagi i idź się przebrać. Wierz mi, jestem nieprzemakalny.

Wierzyła mu. Przynajmniej w tej chwili. Znowu przeszedł ją dreszcz. Pomyślała, że jest głupia. Jeszcze żaden mężczyzna nie stracił głowy dla jej wątpliwych wdzięków i na pewno nie straci jej ten zimnokrwisty, pozbawiony jakichkolwiek emocji zabójca o niesamowitych ustach upadłego anioła. Coś sobie uroiła w swojej pustej głowie.

Wstała z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć i zapewne udałoby się jej to doskonale, gdyby nie musiała znowu podciągnąć osuwającego się stanika.

Wiedziała, że zimne oczy ukryte za okularami śledzą każdy jej ruch. Nie wiedziała tylko dlaczego.

- Mam nadzieję, że potrafisz gotować - powiedziała. - Jestem potwornie głodna i nie chciałabym umierać o pustym żołądku.

Pozwolił jej mieć ostatnie słowo. Odeszła, nie oglądając się za siebie.

- Dasz mi tego jeszcze trochę? - Głos Harry'ego brzmiał bełkotliwie. Renaud drgnął przestraszony.

- Co jest, jasna twoja mać? - mruknął, wstając. - Powinieneś być odjechany.

Harry znał siłę swojego uśmiechu. Ten uśmiech sprawiał, że najwięksi w świecie paranoicy obdarzali go całkowitym zaufaniem, a potężni prezydenci zabiegali o jego przyjaźń. Trudno, żeby takie małe gównu jak ten tutaj, pozostał obojętny. Harry miał wrażenie, że widział kurdupla już na jachcie. Twarz wydawała mu się znajoma, chociaż nie zwracał uwagi na ludzi z załogi. Wszyscy, którzy go obsługiwali, pozostawiali dlań w pewnym sensie przezroczyści.

- Żebym odjechał, trzeba czegoś znacznie mocniejszego niż to, czym mnie faszerowaliście. Nawet nie jestem na zbyt dużym haju. Masz może coś mocniejszego?

Przywiązali go do krzesła, idioci, i teraz był cały zeszywniały. Jeszcze jedna zniewaga, za którą mu zapłacą, kiedy przyjdzie czas wyrównywania rachunków. Francuz wypierdek też zapłaci, chociaż zapewne niewiele znaczył.

- Niezły świr jesteś - stwierdził Renaud, opierając się o framugę drzwi szopy. - To cię zabije.

Harry uśmiechnął się ponownie.

- Nie martw się. Jestem znacznie twardszy, niż się wszystkim wydaje.

- Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

- Słusznie, nie wiem - przyznał Harry. - Porwaliście mnie dla okupu?

Znał już odpowiedź na swoje pytanie. Słyszał jak przez sen rozmowę w swojej kabinie, środki usypiające nie zadziałały do końca. Wiedział już, że nie chodzi o pieniądze. Miał zginąć.

Nie próbował zgadywać dlaczego. Zbyt wielu ludzi i zbyt wiele organizacji mogło życzyć mu śmierci. Lista była zbyt długa, żeby teraz ją analizował. W tej chwili nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Musi ratować własną skórę. I w tym pomoże mu ten Francuz.

- Nie dla okupu. Nie idzie o pieniądze - powiedział Renaud.

- Zawsze w końcu chodzi o pieniądze, przyjacielu. Wyglądasz mi na Ryby.

- Co ty pieprzysz? Prymityw, pomyślał Harry.

- Musiałeś się urodzić w końcu lutego albo w dwóch pierwszych dekadach marca.

- A, astrologia. Pudło. Cała ta twoja astrologia to bzdura. Urodziłem się w Boże Narodzenie. Kumasz? - Renaud spojrzał na Harry'ego ze wzgardą.

- To by się jednak zgadzało. Musisz mieć Ryby w ascendencie. Tak czy inaczej możemy dojść do porozumienia.

Renaud zaniósł się śmiechem.

- Ten środek nieźle ci pomieszał w głowie. Pieprzysz jak potłuczony.

Harry'emu nie podobało się, że Francuz odnosi się do niego z takim lekceważeniem i ma go za kompletnego wariata, ale musiał to przełknąć.

- Nie wyglądasz mi na kogoś, kto wyznaje sztywne zasady moralne - powiedział. - Dużo ci płacą za to, że mnie pilnujesz? Zapewniam cię, że mogę zapłacić więcej.

- Nie wiesz, kto za tym stoi - mruknął Renaud.

- Ci ludzie nie popełniają błędów. I bardzo nie lubią zdrajców. Nie pomogę ci za żadne pieniądze, choćbyś nie wiem ile dawał. Jeszcze mi życie miłe.

- Myślę jednak, że pomimo wszystko zaryzykujesz. - Tu Harry wymienił sumę tak zawrotną, że Renaud szeroko otworzył swoje małe oczka.

Nie wie, biedny głupiec, pomyślał Harry, że nigdy nie zobaczy ani grosza z tych pieniędzy.

- Kuma - powiedział Renaud. - Naprawdę jesteś zdrowo odjechany.

Harry już wyobraził sobie, w jaki sposób pozbędzie się Francuza. Była to bardzo miła wizja.

- Mam pieniądze. I chcę żyć. Każdy chce. Mam dość pieniędzy, żeby ochronić cię przed twoimi szefami. Wyślę cię gdzieś, gdzie nigdy cię nie znajdą.

- Do piachu, uzupełnił w myślach. Do diabła, ależ ten Francuz jest głupi.

Renaud zastanawiał się. Niemal widać było, jak obracają się trybiki w jego mózgu.

- Nie jestem sam. Jeszcze jeden cię pilnuje, na zmianę ze mną.

- To już twoja sprawa, czy chcesz się dzielić pieniędzmi, czy raczej wolisz usunąć przeszkody.

Na twarzy Renauda pojawił się paskudny uśmieszek.

- Może masz rację. Chyba jednak urodziłem się pod znakiem Ryb.

Harry pokiwał głową.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię, przyjacielu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Peter podsunął okulary na czoło i ścisnął nasadę nosa, jakby w ten sposób chciał pozbyć się napięcia, które towarzyszyło mu od wielu dni. Zniknął gdzieś jego zwykły spokój. Za każdym razem kiedy miał już nadzieję, że powróci jego opanowanie, jak diabeł z pudełka wyskakiwała Genevieve Spenser.

Miała rację, powinien ją zabić. Nie wiedział zupełnie, jak wybrnąć z sytuacji. Im bardziej się szarpał, tym bardziej czuł się spętany.

Wiedział, że coś takiego kiedyś się zdarzy. Prędzej czy później jakiś Bogu ducha winny człowiek wejdzie na linię ognia. Wszyscy agenci pracujący dla Komitetu traktowali straty uboczne jako coś oczywistego. Wystrzegano się ich skrupulatnie, nie zdarzały się, ale teoretycznie zakładano, że są rzeczą oczywistą. Dlaczego taka paskudna sytuacja musiała przytrafić się akurat jemu? I dlaczego nie potrafił się z nią pogodzić?

Mógł sobie powiedzieć, że to kwestia dumy zawodowej. Dobremu agentowi nie zdarzają się podobne wpadki, jeśli wykonuje swoją robotę profesjonalnie.

Nie potrafił się okłamywać. Wiedział, że to tylko część problemu. Mógłby zabić niewinnego człowieka, gdyby tego wymagało dobro sprawy. Żołnierz staje przed podobnymi wyborami prawie codziennie.

Prawdziwe nieszczęście polegało na tym, że nie wyobrażał sobie już życia bez Genevieve Spenser.

Wieczór był ciepły i Lodowaty Agent najwyraźniej tajał pod tropikalnym niebem. Przerażało go to.

Po powrocie znad basenu powinna na dobrą sprawę zostać już w pokoju. Nie zważając na drzwi i okna pod napięciem, nie zważając na poczucie

uwięzienia, narastającą klaustrofobię. Nieważne, że noc była lepszym czasem do ucieczki. I że w ciemnościach miała większe szanse. Bez względu na wszystko powinna była zostać w pokoju.

Nie została.

Na szczęście w szafie znalazła kilka długich, obszernych sukien domowych. Wspaniałe strój okrywający fałdami materiału całe ciało od ramion po stopy i dobrze ją chroniący przed chłodnym spojrzeniem Jensena.

Pewien problem przedstawiał wybór bielizny. Był jej cały zapas w komodzie, jeszcze z metkami, ale wszystkie staniki zdawały się przeznaczone dla chudziutkich modelek, bardziej zainteresowanych eksponowaniem swoich walorów niż zwykłą wygodą.

W końcu zdecydowała się na któryś, ale czuła się jak dziewczyna z okładki pornograficznego magazynu.

Z majtkami było jeszcze gorzej, same stringi. Nie wiedziała, co z dwojga złego lepsze - wdziąć kilka idiotycznych pasków jedwabiu czy raczej zostać bez majtek. Wybrała stringi, uznawszy, że nawet odrobina materiału lepsza niż nic. Na to włożyła szeroką suknię.

Zapomniała o przenikliwości Jensena. Facet najwyraźniej nie tylko czytał w myślach, ale chyba miał rentgena w tych swoich zimnych błękitnych oczach.

Zastała go w kuchni. Kroił warzywa z zatrwającą szybkością i precyzją. Kiedy weszła, przerwał swoje zajęcie i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Szkoda, że nie znalazłaś kornetu, który pasowałby do tego habitu - stwierdził. - Nalej sobie wina. Świetne. Z prywatnych winnic Harry'ego.

- Nie piję kradzionego.

- Zatem nie powinnaś też ubierać kradzionego - zauważył spokojnie. - Jutro wieczorem wszystko przepadnie w spektakularnej eksplozji. Cieszymy się tym, dopóki możemy.

- Nie jestem w nastroju, żeby się czymkolwiek cieszyć.

- Napij się jednak wina. Zastąpi ci twoją tabletkę. Wiem, że lubisz dobre wino, musiałem cię odprowadzać do kabiny pierwszego wieczoru. Już się bałem, że stracisz przytomność.

- Bałeś się?

- Nie miałbym wtedy żadnej wymówki, żeby cię pocałować.

Spróbowała wina. Miał rację, było doskonałe. Zaczęła się rozglądać po kuchni, szukając drogi ucieczki.

- Nie męcz się, siostrze. O wszystkim pomyślałem. Naprawdę się stąd nie wydostaniesz bez mojej zgody. Pij swoje wino i odpręż się.

- Myślisz, że poddam się bez walki?

- Nie. Ale nie chcę przez następnych kilka godzin uganiać się za tobą po całej willi. Ja naprawdę jestem dokładnym i przewidującym człowiekiem. Nie licz, że trafisz na jakiś słaby punkt. Im wcześniej przyjmiesz to do wiadomości, tym lepiej. Udawajmy, że jesteśmy dwojgiem zupełnie normalnych ludzi, którzy mają spędzić kilka dni na bezludnej wyspie.

- Nie będę nic udawać.

- Spróbuj. - Głos Jensena brzmiał ostro i zimno, ostrze noża błyskało złowrogo.

- A jak nie, to co? Zabijesz mnie?

Odgarnął włosy z czoła i spojrzał na nią przenikliwie.

- Jesteś nierozsądną ryzykantką. Zamiast mnie czarować, robisz wszystko, żebym się na ciebie wściekł.

- Jedno czy drugie... W ostatecznym rachunku nic to nie zmienia.

- Pewnie nie.

- W takim razie mogę się zachowywać, jak chcę, a granie ci na nerwach jest jedną z niewielu przyjemności, jakie mi jeszcze zostały.

- Niekoniecznie. - Spojrzał na nią i tym razem, a stał bardzo blisko, chyba wyczytała coś w jego oczach.

Było to coś, o czym wolą nie myśleć.

- Chciałabym odzyskać moją torebkę. A z nią okulary i zapasowe szkła kontaktowe.

- Lepiej, żebyś nie widziała zbyt dokładnie tego, co nadejdzie.

Odstawiła kieliszek tak gwałtownie, że roztrzaskał się w zetknięciu z granitowym blatem.

- Straciłam apetyt. Wracam do swojego pokoju. Zawołaj mnie, kiedy będzie czas umierać.

Puścił mimo uszu wątpliwy dowcip.

- Skaleczyłaś się.

Spojrzała na rozciętą dłoń, na krople krwi na skórze.

- Przepraszam. To ty miałaś przelać moją krew.

I tę uwagę puścił mimo uszu. Odłożył nóż, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Nie mogła się uwolnić, Jensen był naprawdę silny, znacznie silniejszy od niej.

- Należałoby założyć szwy.

- Szkoda, że w pobliżu nie ma szpitala z ostrym dyżurem. Chyba wykrwawię się na śmierć, tym samym pozbawiając cię całej przyjemności.

Peter uśmiechnął się pod nosem.

- Nie jest tak źle, Genevieve. Przeżyjesz do jutra i zdążysz mi jeszcze kilka razy zdrowo dokopać. Zobaczysz.

„Przeżyjesz do jutra”. Jasne. Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu.

- Wolę, kiedy mówisz do mnie po nazwisku.

- A ja oczywiście muszę się dostosować do tego, co wolisz.

Owinał jej dłoń ścierką i pociągnął za sobą przez hol do jakiejś sypialni, przeszedł obok wielkiego łóżka, jakby w ogóle nie istniało, i wprowadził ją do łazienki. Posadził na sedesie, a sam zaczął otwierać kolejne szafki.

Gene bardziej żałowała niedopitego wina niż siebie i skaleczonej ręki. Jeszcze bardziej żałowała, że nie może się uwolnić, uciec z tej piekielnej willi, z tej piekielnej wyspy.

Nie myśl o niczym, powiedziała sobie. Spojrzała w okno, na karaibskie niebo, na srebrny księżyc. Był piękny wieczór, czas i miejsce na miłość, nie na śmierć.

Tymczasem Peter zdążył opatrzyć jej skaleczoną dłoń.

- Nie jest tak źle, jak wyglądało w pierwszej chwili - stwierdził. - Jak będziesz następnym razem rozbijała kieliszek o granitowy blat, postaraj się zrobić to zgrabniej.

Cofnęła opatrzoną dłoń, podniosła wzrok na Petera i dojrzała w jego oczach wyraz jakiejś niezwyklej łagodności.

- Skończ z tymi kąśliwymi uwagami pod moim adresem, Genny. To nie ma sensu. I wprowadza cię w zły nastrój.

- A ty bardzo się przejmujesz moimi nastrojami.

Nikt od dawna nie nazywał jej Genny, to zdrobnienie było dobre dla kogoś młodszego, szczęśliwszego, pełnego nadziei. Dla kogoś, komu się wydawało, że może coś zdziałać w życiu.

Tej dziewczyny dawno już nie było.

- Owszem, przejmuję się - przytaknął lekkim tonem. - A teraz wracajmy do kuchni i zjedzmy coś. Pójdiesz ze mną czy będę musiał cię związać, zanieść na plecach i nakarmić siłą?

Był gotów to zrobić i pewnie sprawiłoby mu to przyjemność, pomyślała Gene z goryczą. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji.

Wstała. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale on był od niej znacznie wyższy. Nawet w tej ogromnej łazience czuła się przytłoczona jego obecnością. Jego bliskością.

- Wygrałeś. Ale ty zawsze wygrywasz, prawda?

- Nie zawsze - powiedział. Jego lodowate oczy były teraz puste.

Robię, co do mnie należy, mówił sobie, patrząc, jak wiatr wpadający z patio igra z długimi, gęstymi włosami Genevieve. Wykonywał rozkazy i rzadko zdarzało mu się je kwestionować, nawet w czasach twardych rządów Harry'ego Thomasona. Madame Lambert była osobą bardziej pragmatyczną i jeśli przychodziło polecenie zlikwidowania kogoś, mógł być spokojny, że jest to polecenie dobrze przemyślane i wydane w słusznej sprawie.

Peter, doskonale wyszkolony, był prawdziwym artystą w swoim fachu. Koniec Genevieve Spenser w jego wykonaniu mógł być arcydziełem.

Koniec. Idiotyczne określenie na egzekucję. Tym bardziej gdy chodzi o tak zwane straty uboczne. Jak to się mówi? Na wojnie jak na wojnie? To już prędzej.

Genny nie była żołnierzem. Przypadkiem wpadła w poważne tarapaty.

Nie zjadła wiele. Jeszcze kilka tygodni takiej diety i straciłaby te dodatkowe siedem kilogramów, które tak ładnie ją zaokrąglały. Na nieszczęście nie miała już tych tygodni do dyspozycji.

Znał dobrze kobiece ciała. Wiedział dokładnie, ile Genny waży i jak bardzo przeszkadza jej nadwaga. Chciała być anorektycznym wieszakiem, jak modelki, z którymi umawiał się Harry. On też może by wolał, żeby taka była. Może nie podobałaby mu się wtedy tak bardzo. Może.

Nie wiadomo, kiedy zaczął mieć obsesję na punkcie jej ciała. A gdy jeszcze zobaczył ją w tym skąpym kostiumie kąpielowym, sprawy wzięły wręcz fatalny obrót.

Jeszcze bardziej niż ciało, fascynowało go wnętrze Genny. Była pełna zadziwiających sprzeczności. Brała tabletki, żeby stłumić niepożądane emocje. Nie bała się fizycznych zagrożeń. Unieszkodliwiła Renauda i bez wahania stawiała do ćwiczeń, które proponował Peter. Z informacji przesłanych przez madame Lambert wiedział, że nie była obecnie z nikim związana. Od dawna nie była z nikim związana, jeśli chodzi o ścisłość. Całą satysfakcję czerpała z pracy, pochłaniała ją kariera. A jednak kiedy jej dotykał, reagowała niezwykle silnie.

W ogóle nie powinien był jej całować, ale pokusa okazała się silniejsza niż rozsądek. Teraz za to płacił. I znowu miał ochotę ją pocałować.

Nie, nie pocałuje jej. Nie jest już niedowarżonym nastolatkiem, jakim był w czasach szkoły średniej, surowej, elitarnej szkoły z internatem, do której wysiała go matka. Kończyli ją kolejni Wimberleyowie, począwszy od jego pradziadka, zasłużonego dla imperium brytyjskiego doktora Wiltona Wimberleya. Wimberleyowie... Rodzina z tradycjami, dbająca o edukację kolejnych pokoleń, szanująca wartości wyższej klasy średniej, wartości tak drogie jego matce.

Wyszła za mąż za człowieka stojącego od niej niżej w hierarchii społecznej i nigdy nie przestała tego żałować, co dzień okazywała niezadowolenie. Nigdy nie zdołał pojąć, co pociągało tę sztywną i zasadniczą kobietę w kimś takim jak po prostaku porywczy Richard Madsen. Ojciec przynajmniej znajdował ujście dla swojej gwałtownej natury. Kiedy nie bił wiecznie zrzędzącej żony i krnąbrnego syna, tłukł kryminalistów. Był londyńskim policjantem bez żadnych aspiracji. Odrzucał awans za awansem, na złość aspirującej do lepszego życia żonie.

Emily Wimberley Madsen wszystkie ambicje ulokowała w jedynym synu. Nauczyła go mówić z „dobrym” akcentem klas wyższych, chociaż Peter z uporem wracał do akcentu swojego ojca, tylko po to, żeby ją zdenerwować. Miała dość rodzinnych pieniędzy, by posyłać go do najlepszych szkół, nie zdając sobie sprawy, że był tam wytykanym palcami outsiderem, narażonym na okrutne często kpiny ze strony lepiej urodzonych chłopców. Musiał nauczyć się bronić. Kiedy rozpoczął naukę w Kent Hall, wbrew obiekcjom ojca, był już niebezpieczny dla każdego, kto próbował go poniżyć.

Na wszelki wypadek zaczęto omijać go z daleka, a matka nie mogła zrozumieć, dlaczego nigdy nie jest zapraszany do wiejskich dworów swoich kolegów. Nie przyszło jej do głowy, że mieszkańcy, żeby nie powiedzieć kundle, tacy jak Peter Madsen, nie mają kolegów.

Nie zastanawiał się nigdy, jak ułożyłoby się jego życie, gdyby nie zdarzenia w szkole.

Daniel Conley powinien wykazać się większym rozsądkiem, ale jego ojciec był członkiem parlamentu, człowiekiem niezwykle majątnym. Daniela otaczał dwór pochlebców posłusznych jego rozkazom. Był potężnym, grubokościstym chłopakiem, znacznie wyższym od Petera, Peter śmignął w górę dopiero po skończeniu szkoły, i cięższym od niego o dobre dwadzieścia kilogramów. Ale Peter, chudy i gibki, był znacznie niebezpieczniejszy, niż Daniel założył.

Kiedy przygniótł swoim ciężarem Petera do ziemi, zadając mu ostateczne upokorzenie, w czym sekundowało mu dwóch famulusów, Peter nie mógł wiele zdziałać. Spędził potem tydzień w szkolnej izbie szpitalnej. Nikt nie zadawał żadnych pytań, przecież ojciec Daniela łożył hojne sumy na szkołę, a sam Peter nie wniósł skargi.

Kiedy następnym razem Daniel próbował dopaść go w łazience drugiego piętra, Peter przetrącił łajdakowi kark.

Zabiłby go, ale w ostatniej chwili się pohamował. Teraz Daniel Conley był paraplegikiem i wiódł na tyle komfortowe życie, na ile może wieść bogaty człowiek z porażonymi kończynami.

Siłą odciągnięto go od Daniela i gdzieś prowadzono. Nie wiedział, dokąd, wiedział natomiast jedno. Jeśli kundel rzuca się na syna członka parlamentu, kara będzie wyjątkowa. Jego czyn był zbyt zuchwały, zbyt naruszał porządek społeczny, a zachowanie Daniela było aż nazbyt nikczemne i obrzydliwe. Ta sprawa nie mogła wyjść na jaw. Czuł, że gdzieś go zakopią, zagrzebią, ukryją. I miał rację. Nigdy więcej nie zobaczył już Emily i Richarda Madsenów, czego akurat specjalnie nie żałował. W ten sposób trafił do działającej w strefie cienia grupy zwanej Komitetem.

Ludzie Komitetu uznali, że dobrze się zapowiada i uczynili go swoim żołnierzem. Wyszkolili i wykształcili. Peter potrafił posługiwać się różnymi ro-

dzajami broni, mówił biegle w pięciu językach, mógł być hetero lub gejem, mógł być Skandynawem, Niemcem i Brytyjczykiem. Mógł zabić bez skrupulów i żyć w ukryciu kilka lat, czekając na kolejne rozkazy.

Był nawet przez chwilę żonaty. Cóż, nieudany krok w kierunku normalności. Uwierzył, że może mieć rodzinę. Thomason też sądził, że mając kogoś bliskiego, jest się lepszym agentem.

Thomason jeszcze nie zdążył się zorientować, że Peter jest jednym z jego najlepszych ludzi i że w czasie misji nigdy nie myśli o domu i żonie.

Słyszał, że wyszła ponownie za męża, zdaje się za dentystę. Nie chciała być sama, co wcale go nie dziwiło. Mieszkała teraz w miłym domku w Dorking i prawdopodobnie oczekiwała pierwszego dziecka. A on ledwie pamiętał jej twarz.

Nie tęsknił za nią. Tęsknił natomiast za świadomością, że ktoś na niego czeka w jego mocno zaniedbanym wiejskim domu w Wiltshire. Nie powinien był go kupować. Uczynił to wiedziony jakimś kaprysem. Miał za dużo pieniędzy i nie wiedział, na co je wydać. Chciał jakiejś oznaki stabilizacji. Dom tchnął spokojem, a on wiódł niespokojne życie. Do tego domu wkrótce sprowadził żonę. Potrafił oczarować każdą kobietę.

Z wyjątkiem Genevieve Spenser, która była zupełnie nieczuła na jego urok.

Żona nigdy nie zaaklimatyzowała się w Wiltshire. Teraz już była żoną innego. Dom stał zamknięty. Harry Thomason odszedł na emeryturę, jak wielu jego kolegów. Wielu już nie żyło. Spośród agentów, z którymi zaczynał pracę, został tylko on. Jedyne.

Chyba mógłby zniknąć gdzieś w ostępach Ameryki, jak jego stary przyjaciel Bastien. Mógłby odejść, zrezygnować.

Najpierw jednak musi zakończyć misję, znaleźć odpowiedź na liczne pytania. Niewiele wiedzieli o Zasadzie Siódemki Harry'ego, ale to, co ustalili,

było wystarczająco zatrważające. Jeśli ludzie wynajęci przez Harry'ego zdołają wysadzić w powietrze tamę w Indiach, zginą setki tysięcy ludzi. W imię czego?

Niszczenie pól naftowych zdawało się równie bezsensowne. Jedne z najbogatszych złóż... Harry był ich współwłaścicielem i chciał się ich pozbyć tuż przed planowanym podpaleniem. Dlaczego? Żeby zachwiać globalnym rynkiem finansowym i przejąć nad nim kontrolę? Wszystko na to wskazywało. Ale dlaczego tama w Indiach?

Co jeszcze planował?

Był jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Ostatnio nie odniósł żadnych większych strat, sprawdzili to dokładnie. Komitet postanowił zaryzykować i zlikwidować Van Dorna, jeszcze zanim uda im się odkryć wszystkie jego zamierzenia. Liczyli na to, że nikomu nie przekazał żadnych upoważnień, że sam chciał wszystkim kierować. Jego ludzie będą czekać na rozkazy, tymczasem Harry zginie w tragicznym wypadku.

A on, Peter, zatrze starannie wszystkie ślady.

I pozbędzie się dziewczyny, która siedziała naprzeciwko niego, spokojna, niemal pogodna.

Może ludziła się, że nie będzie w stanie jej zlikwidować? Jeśli tak, to nie jest taka bystra, jak sądził. Był w stanie wykonać każdy rozkaz, jeśli tylko musiał. Po prostu.

- Można by pomyśleć, że nie smakuje ci moje jedzenie - zagadnął.

- Nie mam apetytu.

- Nie tknęłaś wina, chociaż jest znakomite.

- Ty też nie piłeś.

- Myślisz, że czegoś do niego dosypałem? Zatrąłem? Zapewniam cię, że nie. Nie piję, bo...

- Bo jesteś na służbie? - podsunęła z kpina. - W takim razie nie będę cię namawiać. Trucizna to byłby nawet niezły pomysł. Trzymam cię za słowo, że nie będzie bolało. Jeśli wcześniej chcesz mnie uspić, też nie mam obiekcji.

- Dlaczego w takim razie nie pijesz? Posłała mu spokojne spojrzenie.

- Bo nie chcę zrobić nic głupiego. Nie chcę, żebyś mnie dotykał.

- Nie lubisz być dotykana?

- Nie przez ciebie.

Kłamała. Sama też o tym wiedziała, bo odwróciła głowę. Nie miał zamiaru jej tego uświadamiać. Nie był ani tak zarozumiały, ani tak okrutny.

Uniósł dłonie.

- Nie dotknę cię - zapewnił. - Chyba że będziesz tego chciała.

- Och, proszę, dotykaj. Płonę z pożądania - kpiła. - Drzę z rozkoszy na myśl, że możesz mnie udusić. Chcę umrzeć, szczytując. Znałam zboczeńców, którzy twierdzili, że nie ma nic wspanialszego niż śmierć w czasie orgazmu.

- Czyja miałyby być to śmierć? I w czasie czyjego orgazmu? - mruknął trzeźwo.

Genevieve zaczerwieniła się lekko, jakby schwytał ją na kłamstwie. Miała piegi. Jak można wpaść w obsesję na punkcie piegowatej dziewczyny? Nie, to nie jest obsesja, powiedział sobie. Raczej... zainteresowanie.

- Miałaś do czynienia ze zboczeńcami?

- Nie zawsze pracowałam dla wielkiej kancelarii na Park Avenue - odparła chłodno. - Zaraz po studiach wydawało mi się, że zbawię świat. Byłam obrońcą z urzędu, potem pracowałam w biurze prokuratora okręgowego na północy stanu Nowy Jork.

- Gdzie raczej nie mogłaś zarobić na pantofle Blahnika i kostiumy Armaniego - stwierdził Peter z lekką kpina. - Chyba że pochodzisz z zamożnej rodziny.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Moja rodzina dawno przestała być zamożna. A ja kiedy byłam młoda, miałam głowę pełną ideałów i nie dbałam o pieniądze.

- Nie wydajesz mi się specjalnie stara.

Cholera. Powinien był wyrzucić ją za burtę od razu pierwszej nocy. Albo by utonąła, albo dopłynęła do brzegu, w każdym razie miałyby szansę przeżycia. Teraz nie miała żadnej.

- Jesteś całkiem atrakcyjna. Widziałem, że Harry miał wielką ochotę przespać się z tobą.

- Nie sypiam z klientami. Nie prostytuuję się. Oddzielam pracę i seks - warknęła. - Jeśli jakimś cudem przeżyjemy to porwanie, Harry będzie miał u mnie duże szanse.

- Zapewne. - Peter nie mógł ukryć rozbawienia.

- Tyle że Harry nie przeżyje.

- Zobaczymy - ucięła. - A ty? Prostytuujesz się?

- Słucham?

- Pytam, czy uprawiasz seks, by tak powiedzieć, służbowo?

- Już ci mówiłem, że używam seksu jako broni.

- Myślałam, że głównym obiektem twoich zainteresowań, nazwijmy to, zawodowych, są mężczyźni - zdziwiła się.

- Jesteś seksistką, Spenser. Wyobraź sobie, że kobiety potrafią prowadzić równie niebezpieczne gry, jak mężczyźni.

- Zabiłeś kiedyś kobietę?

Dzięki Bogu zmieniła temat.

- Tak.

- I jak się czuleś?

- Traktowałem to jako zadanie do wykonania.

- Pieprzyłeś się z nimi przedtem?

Podjęła niebezpieczną grę, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Byli uwięzieni w luksusowej willi Van Dorna, robiło się późno i Peter był gotów podjąć wyzwanie.

- Czasami - przytaknął. - Jeśli zachodziła konieczność.

- Z mężczyznami też się pieprzyłeś?

- Czasami - przytaknął ponownie. - Jeśli zachodziła konieczność.

Potrafiła dobrze ukrywać swoje reakcje, musiał jej to przyznać.

- Spaleś z Harrym Van Dornem?

- Na szczęście nie jestem w jego typie.

Zamilkła na moment. Peter zupełnie nie potrafił odgadnąć, o czym teraz myśli.

- Nie rozumiem cię - powiedziała w końcu. - Nie wiem, po co się wysilam. Nie mam wśród znajomych biseksualnych płatnych morderców.

- Nie jestem biseksualny. Robię to, czego wymagają okoliczności.

- Masz orgazm, kiedy pieprzysz się służbowo?

Z trudem powściągnął uśmiech. Wypowiadanie słowa „pieprzyć” przychodziło jej z niejakim trudem, chociaż starała się, by brzmiało w jej ustach naturalnie. A może po prostu irytował ją swoimi szczerymi odpowiedziami?

- Oczywiście. To chemia i system nerwowy. Następuje naturalna reakcja, której nie możesz wyłączyć. Możesz natomiast wyłączyć emocje.

- Mówiłeś, że jesteś pozbawiony emocji.

- Tak mówiłem? Rzeczywiście, to prawda. Powiedzmy, że seks jest jednym z narzędzi, takim samym jak fałszywe nazwisko. Trzeba nauczyć się na nie reagować, prawda? Seks to umiejętność, to broń. Coś, czego używam, kiedy wiem, że muszę.

- Nie wierzę, że to możliwe - powiedziała. Nierozważna dziewczyna. Czy nie zdaje sobie sprawy, że on tylko czeka na pretekst?

- Owszem, możliwe. Mam ci zademonstrować? Zrobiła taką minę, że omal nie parsknął śmiechem.

Omal.

Zerwała się z fotela.

- Idę spać.

Pozwól jej odejść, powiedział sobie. Zamknij się, nie gadaj, pozwól jej spokojnie odejść.

- Nie jesteś ciekawa? - A jednak nie potrafił się powstrzymać. -
Myślałem, że się nie poddasz, że będziesz walczyć. Spróbuj stopić lód w moim sercu ciepłem swojej miłości.

- Pieprz się.

- To właśnie sugeruję. Chciałbym się pieprzyć.

Powinna uciec, dopóki miała szansę. Jak na mądrą kobietę, była zaskakująco głupia. Chyba że lubiła igrać z ogniem.

- Żartujesz - stwierdziła rzeczowo. Obydwoje wiedzieli, że to nie żarty.
Natomiast

Peter nie wiedział, dlaczego ją prowokuje, dlaczego to robi. Pragnął jej, to oczywiste, ale pragnął w życiu wielu kobiet i nic z tego nie wynikało.

Może on też lubił igrać z ogniem. Może uznał, że w ten sposób uwolni się od obsesji na punkcie Genevieve. Że pójdą razem do łóżka, a potem będzie mógł o wszystkim zapomnieć. A może szukał powodu, żeby ją uratować.

Nawet gdyby chciał, nie mógł jej uratować. Uciekaj, myślał.

- Podejź do mnie - poprosił.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Genevieve stała bez ruchu na środku salonu. Była cicha, spokojna noc. Gdzieś tam na terenie posiadłości leżał Harry, skępowany, odurzony, oczekujący śmierci z rąk Jensena.

Piękny Jensen... Regularne rysy, błękitne oczy. Był piękny, nie mogła zaprzeczyć. Musi być chora, skoro go pragnie i szuka usprawiedliwienia dla swojej słabości do mordercy.

- Masz mnie za kompletną idiotkę? - zapytała, z trudem hamując wściekłość.

- Obydwoje wiemy, że jesteś bardzo inteligentną kobietą. - Peter zaczął rozpinąć koszulę. Dłonie też miał piękne, smukłe, opalone.

Dłonie, które zadają śmierć...

- Masz okazję zyskać nade mną przewagę, fizycznie, emocjonalnie. Nie odmówisz sobie takiej okazji. Nadal nie przyjmujesz do wiadomości, że to bezskuteczne. Jestem pozbawiony emocji, pozostaje ci zatem przewaga fizyczna. Tutaj może ci się udać.

- Twierdzisz, że twoje ciało jest po prostu sprawnie działającym instrumentem, niezależnie od okoliczności. Jak widzisz moje szanse?

- Trochę wyobraźni, Genevieve. Nie wszystko, co ci mówię, musi być prawdą. Bzykanie jest jedną z trzech rzeczy, w których jestem naprawdę dobry. O pozostałych dwóch już wiesz.

Spojrzała na ledwie napoczętą kolację.

- Gotowanie?

- Seks, gotowanie i zabijanie.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda, skoro jesteś takim dobrym kłamcą?

- O moich umiejętnościach zadawania śmierci dowiesz się, by tak rzec, w ostatniej chwili... albo wcale. Mam nadzieję, że nie będziesz świadoma

nadchodzącej śmierci. Jeśli zaś chodzi o seks... - Peter rozłożył ręce. - To już zależy od ciebie.

- Idę spać. Sama. - Ale Gene, wbrew swoim zapowiedziom, nie mogła się ruszyć.

- Już to mówiłaś i ciągle tu jesteś. Wcale nie chcesz iść spać. Jeśli nie uda ci się zmiękczyć mojego serca, zawsze możesz próbować mnie obezwładnić, korzystając z tego, że jestem pochłonięty... czym innym. Może nawet potem usnę? Mężczyźni wszak zwykle zasypiają zaraz po seksie. Prawda?

- Nie moi mężczyźni - oznajmiła wyniośle. Peter uśmiechnął się.

- Ty nie masz mężczyzny, Genevieve. Od trzech lat, od momentu, kiedy przeniosłaś się do Nowego Jorku. Wiem, gdzie chodziłaś do szkoły, jak straciłaś dziewictwo, co jadasz na śniadanie. Wiem, że lubisz filmy akcji z Hongkongu i francuskie piosenki. Skończyłaś prawo na Harvardzie, z trzecią lokatą, i byłaś wściekła, że nie jesteś pierwsza. Wiem, że lubisz kochać się w pozycji jak najbardziej tradycyjnej, i rzadko dochodzisz. Spenser, sprawię, że będziesz krzyczała z rozkoszy.

Była przerażona, że Jensen wie o niej tak dużo. Zbyt dużo. W porównaniu z tym, ile zdobył informacji na jej temat, zdobycie jej ulubionej wody na Kajmanach zdawało się dziecinną fraszką.

- Nie sprawisz - powiedziała, starając się ukryć drżenie w głosie.

Podniósł się i tu popełnił błąd. Dopóki siedział w fotelu, mógł wydawać się w miarę niegroźny, ale kiedy stanął naprzeciwko niej, o tyle wyższy, poczuła się mała i bezbronna.

- Zawsze możesz sięgnąć po ten nóż, który ukryłaś pod materacem i dźgnąć mnie w trakcie orgazmu. Wtedy przekonasz się osobiście, czy to jest rzeczywiście podniecające.

- Wątpię, żeby zadżganie cię mogło być podniecające. Satysfakcjonujące, owszem, ale podniecające... nie.

Wiedział o nożu, wiedział nawet, gdzie go ukryła. Czy było coś, czego nie wiedział?

- Jeśli wolisz, żebyśmy poszli do mojej sypialni, przyniosę ci inny nóż - zaofiarował się. - Próbuję być pomocny.

Podszedł do niej, a Gene zdała sobie sprawę, że już za późno na odwrót. Być może było za późno już w momencie, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Położył jej dłonie na ramionach.

- Zdecyduj się, Spenser - szepnął z kpina w głosie. - Przeżyjesz najwspanialszy orgazm w swoim życiu.

Uniosła twarz i pocałowała go. Wiedziała, że tak musi się stać. To dla ratowania życia, powtarzała sobie, zamykając oczy. Jedyna szansa, żeby uratować siebie i Harry'ego. Ofiara z dziewicy składana na ołtarzu boga śmierci.

Tyle że Genevieve nie była dziewicą i nie było mowy o składaniu ofiar.

Peter chwycił za wycięcie sukni na karku i rozerwał ją. Genevieve poczuła na nagich plecach chłodne nocne powietrze. Peter zaczął powoli ściągać suknię z jej ramion.

Kiedy stała już w samej bieliźnie, wyciągnęła dłoń i dotknęła jego nagiej piersi. Wyczuła spokojne bicie serca. O ile maszyny mają serce.

- Tak, mam serce - przytaknął, znowu odgadując jej myśli.

- Rzeczywiście, masz serce.

Teraz on wykonał ten sam gest, kładąc dłoń na jej piersi.

- Twoje bije jak oszalałe. Dlaczego, Genevieve? Boisz się mnie?

- A nie powinnam?

- Powinnaś, ale twoje serce szaleje z innego powodu.

- Myślisz, że z pożądania? Nie jestem taka łatwa.

- Wystarczy cię dotknąć - szepnął jej na ucho.

- Musiałeś dać mi jakiś narkotyk - powiedziała oskarżycielskim tonem, kiedy zaczął całować jej szyję. Ciągłe trzymała dłoń na jego piersi i ciągle czuła pod dłonią równy, spokojny rytm serca. - Dość tego - zaprotestowała, kiedy

rozpiął jej stanik. - Wierzę ci. Potrafisz mnie podniecić wbrew mojej woli, a sam ciągle jesteś nieporuszony. Może nawet dałbyś mi tysiąc orgazmów, chociaż szczerze w to wątpię. Nie zamierzam sprawdzać. A teraz pozwól mi odejść.

Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Zanim zorientowała się, co robi, wsunął sobie jej dłoń w spodnie, by mogła się przekonać, jaki jest podniecony. Próbowwała cofnąć dłoń, ale trzymał mocno, a był znacznie silniejszy od niej.

- Przestań. Jesteś chorym sukinsynem.

- Potrafię być taki - przyznał. - Postaraj się znaleźć moje słabe punkty.

- Nie masz słabych punktów - wykrztusiła zdławionym głosem.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział i pocałował ją, ciągle nie pozwalając cofnąć tkwiącej w spodniach dłoni. A potem odsunął się i zaproponował: - Pójdziemy do twojego pokoju.

Kiedy weszli do sypialni Genevieve, Peter zdjął koszulę i zarzucił na figurkę baletnicy.

- Nie lubię kamer.

- W tej rzeźbie jest kamera? Więc to jednak nie oryginalny Degas?

- Być może oryginalny.

Harry nie miał obiekcji i nie zawahałby się przed zniszczeniem dzieła sztuki. W całym domu są kamery, wszędzie. Harry lubił wiedzieć, co się dzieje wokół, a jemu samemu publiczność nie przeszkadzała.

- Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? Nie żyje już?

- Myślę, że jeszcze żyje. Renaud dostał wyraźne rozkazy. Nie sądzę, by zrobił coś wbrew mojej woli. Kładź się.

Peter był tak piękny, jak się obawiała. Opalony i świetnie zbudowany.

- Teraz już wiem, dlaczego używasz seksu, kiedy inna broń zawiedzie. Jesteś bardzo atrakcyjny. Kobiecie trudno się oprzeć takiej urodzie.

- To nie jest moja ostateczna broń, Genevieve. Kładź się - powtórzył.

Genevieve podeszła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę.

- Nie. - Peter ściągnął z niej kołdrę i odrzucił na podłogę. - Kładź się na plecach.

Co by się stało, gdyby teraz spróbowała uciec? Rzuciłby się w pogoń? Użył przemocy?

Pochylił się, wyjął nóż spod materaca i położył obok Genevieve.

- Na wypadek, gdybyś doszła do wniosku, że jest ci potrzebny.

- To cię podnieca? - zapytała ze złością.

- Nie udawaj niewiniątka. Ty mnie podniecasz i doskonale o tym wiesz.

- Mogę cię zadźgać.

- Możesz próbować, ale za chwilę zapomnisz, że masz nóż pod ręką.

Ujęła drewnianą rękojeść noża. Szwedzka stal.

Weszłyby w ciało jak w masło. W piękne ciało Petera Jensena.

- Udowodnij mi to.

- Taki mam zamiar.

Genevieve czuła się, jakby wracała z bardzo dalekiej podróży. Powoli dochodziła do siebie, łapiąc oddech. Odwróciła się do Petera i położyła mu dłoń na piersi, tam, gdzie powinno być serce. Nawet teraz wyczuwała spokojny, równomierny rytm. Ich spojrzenia spotkały się i Peter wzruszył ramionami, uśmiechnął się przy tym niemal przepraszająco.

- Uprzedzałem cię.

- Owszem, uprzedzałeś - przytaknęła, patrząc na niego. Podobno oczy są oknami duszy. W jego wypadku to się nie potwierdzało.

Usiadła niepewnie w pościeli, ciągle jeszcze oszołomiona. Chciała znaleźć się jak najdalej od Petera, nawet jeśli musiałaby się czołgać po podłodze. Przeżył orgazm, tego była pewna, ale nadal miał wzwód. Nie pozwolił sobie na spełnienie do końca, skąd. Dowiódł jej prawdziwości swoich słów. Doprowadził ją do niebywałego orgazmu, a sam do końca panował nad własnym ciałem. Nie miała ochoty na powtórkę.

- Idę do łazienki.

- Nie zmyjesz mnie, Genny - powiedział cichym głosem. - Żebyś nie wiem jak bardzo się starała, nie zmyjesz mnie.

Nie odpowiedziała. Nic nie mogła odpowiedzieć. Wiedziała doskonale, że Peter ma rację. Peter zawsze miał rację.

Owinęła się prześcieradłem. Peter nie ruszał się, nie reagował, chyba usnął. W szarym świetle przedświt ruszyła przez pusty dom nad basen, myśląc o tym, że dzisiaj umrze. Weszła do chłodnej wody i zanurzyła się z głową.

Dziewczyna zapewne już nie żyje, pomyślała madame Lambert, sięgając po kanapkę z jajkiem. Oczywiście o ile Peter postąpił zgodnie z rozkazami. Była to okrutna, odstręczająca decyzja, ale jednak konieczna. Jeden z tych straszliwych wyborów, których musi dokonywać każdy dowódca w imię wyższego dobra. Madame Lambert nigdy wcześniej nie stawała przed podobnymi wyborami i teraz dręczyło ją sumienie.

Może Peter nie otrzymał jej polecenia, a może po prostu nie zastosował się do niego. Dotąd mu się to nie zdarzyło. Wykonywał rozkazy z precyzją maszyny, nie okazując ani żalu, ani zadowolenia. Był człowiekiem z zamrożoną duszą i uśpionym sumieniem. Nie na darmo nazywano go Lodowatym.

Oby tym razem zdobył się na niesubordynację. Isobel nie miała wyboru, musiała wydać taki rozkaz. Jeśli Peter nie zabił dziewczyny, będzie czas przekonać się, czy jest naprawdę niegroźna.

Czas. Mieli go coraz mniej. Zdobyli kolejną informację na temat Zasady Siódemki. Takashi O'Brien wpadł na trop planowanej eksplozji w południowoafrykańskiej kopalni diamentów, w której pracowały tysiące ludzi. Kopalnia, podobnie jak pola naftowe, należała do Harry'ego, ale jej nie próbował się pozbyć.

Gdyby eksplozja doszła do skutku, oznaczałoby to prawdziwą masakrę wśród pracowników i nikt nie podejrzewałby Harry'ego.

Dlaczego to robił? Z nudów? Dla zabawy? Był jak zepsute dziecko, które podnieca się efektami pirotechnicznymi?

Isobel przeszedł zimny dreszcz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Peter Jensen nie spał. Sen jest dobry dla ludzi słabych. On wyśpi się, kiedy zadanie dobiegnie końca. Odpoczywał z zamkniętymi oczami i napawał się uczuciem fizycznego zaspokojenia. Nie chciał o niczym myśleć. Nigdy nie rozważał popełnionych błędów, nigdy niczego nie żałował. Pójście do łóżka z Genevieve Spenser było bez wątpienia błędem. Błędem, którego ani przez chwilę nie żałował.

Chyba nikt jeszcze nie dał jej takiej satysfakcji i nie dostarczył takich doznań, jak on dzisiaj. Co nie było wielkim wyczynem, zważywszy, że życie seksualne Genevieve w ostatnich latach sprowadzało się właściwie do zera.

Trudno się dziwić, że nie była najlepszą kochanką, jaką zdarzyło mu się mieć. Sypiał z kobietami, które specjalizowały się w najbardziej wyrafinowanym seksie, sypiał z takimi, które po prostu kochały seks, cudownie się czuły we własnych ciałach i umiały się cieszyć i seksem, i cielesnością. Sypiał z kobietami zakochanymi w nim bez pamięci i z takimi, które go nienawidziły. Zastanawiał się, czy Genevieve należy do tej ostatniej kategorii. Prawdopodobnie tak.

Kiedyś nawet nie tyle uprawiał seks, co kochał się z kobietą. Helena była delikatną, wielkooką dziewczyną, którą wywiózł z nękanego wojną Sarajewa. Zanim dotarli do Anglii, był w niej zakochany. Okazała się cudowną, czułą kochanką. Był gotów oddać za nią życie. I omal nie oddał.

W całym swoim prawie czterdziestoletnim życiu raz jeden pozwolił sobie na podobną słabość. Ciągle miał bliznę od noża, którym go zraniła. Nikt w Komitecie nie wiedział, że pod słodką, niewinną powłoką kryje się zabójczym. Agentka niemal dorównująca mu umiejętnościami. Niemal.

Genevieve Spenser miała w sobie gniew, czuła do niego niechęć, a właściwie wstręt, i była niedoświadczona. Niczym go nie zaskoczyła. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidział. Żadnych niespodzianek. Nie, niezupełnie tak. Była jedna niespodzianka.

Jego własna reakcja.

Miał wprawę w blokowaniu niechcianych myśli i teraz też to uczynił. Nie może pozwolić sobie na to, by wzdychać do młodej, zamkniętej w sobie prawniczki z Nowego Jorku, która za kilka godzin umrze.

Zbyt długo nie wraca. Tknięty złym przeczuciem ocknął się z rozważań i wyskoczył z łóżka. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie zdjęło go takie lodowate zimno.

Unosiła się na powierzchni basenu, twarzą do dołu. Długie jasne włosy ułożyły się wokół głowy niby złocista aureola. Wskoczył do wody, wyciągnął ją na brzeg.

Była bezwładna, blada... Wściekły zaczął nią potrząsać, klnąc przy tym na czym świat stoi.

- Ty idiotko! Ty pieprzona kretynko! Co ty do jasnej cholery wyprawiasz?

Odkaslnęła, wypluwając wodę, otworzyła oczy.

- Chciałam ci oszczędzić kłopotu - oznajmiła spokojnie.

Potrząsnął nią raz jeszcze, tym razem mocniej. Nie przejmował się tym, że może zadać jej ból, że ją posiniaczy. Był tak wściekły, że nie myślał o niczym. Ogarnęła go furia.

- Dlaczego? Bo poszłaś ze mną do łóżka? To powód, żeby odgrywać Ofelię? Na litość boską, Genevieve, to był tylko seks.

W jej oczach zobaczył ból. Te oczy, które przez ostatnie dwa dni rzucały mu gniewne spojrzenia, teraz wypełniły się łzami.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - szepnęła. - Zabrałeś mi wszystko. Jak mogłeś?

Nie miał wyboru. Wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Złamał ją. Najmądrzejsza rzecz, jaką mógł zrobić. W tym był najlepszy. Powinien czuć satysfakcję. Zadanie wykonane. Tymczasem on też czuł się tak, jakby wszystko stracił.

Nie walczyła z nim. Nie miała już sił. Oparła mu głowę na piersi i leżała biernie w jego objęciach.

- Serce ci wali - szepnęła po chwili. - Dlaczego?

Wolał się nie zastanawiać nad odpowiedzią. Trząśł się, chociaż nie było przecież zimno.

- Nie rób tego więcej - mruknął szorstko.

- Nie mam żadnej szansy, prawda?

Ujął ją pod brodę i uniósł lekko głowę. Zamknął oczy, dotknął czołem jej czoła i trwał tak przez chwilę. A potem ją pocałował.

Był to poważniejszy błąd niż pójście z nią do łóżka. Skorupa pękła i teraz już nie miał żadnej ochrony. Całował bez żadnych zahamowań, dając wszystko, całował tak, jakby ją kochał. Całował ją, jak nie całował jeszcze nikogo.

Gdyby był innym człowiekiem, zapłakałby, ale nie umiał płakać, więc całował jej usta, policzki, powieki, szyję. Oddawała pocałunki, tuląc się mocno do niego. A potem zaczęli się kochać na brzegu basenu i Peter wiedział, że jest zgubiony. Zatracił się bez reszty w Genevieve, ciałem i duszą.

Przeraził się.

Pocałował ją, krótko, szorstko i ten pocałunek powinien powiedzieć jej wszystko.

- Idź spać. - Podniósł prześcieradło leżące obok, owinał ją i wziął na ręce.

Udał, że nie widzi jej zaskoczenia. Była lżejsza, niż się spodziewał. Bez trudu zaniósł ją do domu.

Nie chciał nieść Genevieve do jej sypialni i nie mógł zanieść jej do swojej. Położył ją po prostu na kanapie w salonie.

- Śpij - powtórzył.

Spojrzała jeszcze na jego nagie ciało, zamknęła oczy i po chwili spała głęboko.

Nie mogła udawać. Z pewnością nie udawała. W ogóle nie potrafiła udawać. Była wyczerpana, odurzona seksem i zbyt silnymi emocjami. Mógł teraz nachylić się nad nią i zabić: szybko, bezboleśnie, czysto.

Nie zabije jej. Wiedział to od dawna, chyba od samego początku. Wiedział, chociaż nie chciał powiedzieć sobie tego jasno i wyraźnie. Był zimnym, pozbawionym zasad sukinsynem, ale pewnych granic nigdy nie przekroczył. Nie potrafiłby zabić niewinnego człowieka, który przypadkiem wszedł mu w drogę.

Jasne, Genevieve jest dla mnie wyłącznie człowiekiem, który wszedł mi w drogę, pomyślał z ironią. Jest kimś więcej, ale mogłaby być kimkolwiek, a podjąłby taką samą decyzję.

To nieważne, że z nią spał. Powtarzał to sobie z uporem, chciał w to wierzyć. Chciał wierzyć, że robi to wyłącznie dla zasady i nie czuje nic szczególnego do Genevieve. Bo przecież służył po dobrej stronie i miał zabijać tych złych. To był jego fach, a nie mordowanie niewinnych ludzi. I tu miał rację, oczywiście. I gdyby na miejscu Genevieve znalazł się ktokolwiek inny, postąpiłby tak samo. Kłopot stanowiła dla niego sama Genevieve, kłopot natury emocjonalnej, z tym nie potrafił się jeszcze uporać.

Za kilka godzin miał zlikwidować Harry'ego. Zrobi to. Wykona kolejne zadanie. Najpierw jednak będzie musiał zatroszczyć się o Genevieve.

Nie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwa, zbyt wiele by ryzykował, mógł jednak udzielić jej kilku cennych wskazówek. Jest mądra, poradzi sobie. I jeśli wszystko się uda, Genny nigdy się nie domyśli, że pozwolił jej uciec.

Niech myśli, że ocalała życie dzięki własnemu sprytowi. W ten sposób przynajmniej częściowo zwróci jej to, co zabrał. Nie powinno go to obchodzić, a jednak obchodziło.

Działał jak zwykle sprawnie, precyzyjnie. Kiedy kładł przy śpiącej dziewczynie kartkę, zawahał się przez moment. Naruszał podstawową zasadę - nic na papierze, żadnych śladów. Niewiele sobie z tego robił. Mała kartka spłonie w eksplozji, a on dokładnie zatrze po sobie ślady. Genevieve Spenser nigdy go nie odnajdzie.

Przykucnął obok niej. Miał ochotę odgarnąć jej włosy z twarzy, pocałować ją po raz ostatni.

Nie zrobił tego. Bał się, że ją obudzi. I bał się, że poprzez ten pocałunek wyrazi wszystko, czego tak bardzo się bał.

A przecież on nie powinien bać się niczego. Przez moment trzymał dłoń zawieszoną nad jej głową, walcząc z pokusą.

A potem odwrócił się i odszedł. Na zawsze.

Słońce stało wysoko, kiedy Genevieve obudziła się na kanapie w salonie owinięta jak mumia w prześcieradło. Dobry moment trwało, zanim się wyplątała z płótna. Omal nie przeoczyła kartki leżącej na marmurowym stoliku obok kanapy. „Nie wchodź do mojego pokoju”. Tylko tyle. Trudno o bardziej lakoniczną notatkę.

Nie wiedziała nawet, który pokój Peter zajął w ogromnej willi, jak więc miała go omijać?

Zarzuciła prześcieradło na ramiona i wstała. Przez wielkie okna widać było ocean. Przez te same wielkie okna każdy mógł zajrzeć do wnętrza domu. Ilu ludzi było na wyspie? Trzech. Peter, brutal Renaud i Hans. Reszta zaangażowanych w operację odpłynęła na jachcie.

Był jeszcze oczywiście Harry, żywy czy martwy, ofiara tajemniczej organizacji, tak samo jak ona. Może Peter uprawia z nim teraz seks. Uprawiał przecież seks, gdy wymagało tego dobro misji, mówił jej o tym.

Z drugiej strony nie miał żadnych powodów, by uprawiać seks z Harrym.

Nie miał również powodów, by uprawiać seks z nią, a jednak stało się. Czula, jak Peter drży w jej ramionach, a jego serce bije przyspieszonym rytmem. Z jej powodu.

Czy był to w ostatecznym rozrachunku jej triumf, czy raczej porażka? Nieważne. Czas uciekał i nie zamierzała marnować ani minuty na podobne rozmyślenia. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Bielizna zalegająca stosami w komodzie była bezużyteczna. Podobnie długie domowe suknie. W czymś takim nie mogłaby biec.

Jej własne rzeczy zniknęły, o co postarał się zapewne Peter. Nóż kuchenny leżał na podłodze obok łóżka, niesplamiony krwią. Wielka szkoda.

Poprawiła prześcieradło, w które była owinięta. Nie może przecież uciekać w prześcieradle. Muszą być tu inne ubrania, choćby sportowe rzeczy Harry'ego. Posłużyły już jej na jachcie, powinna i tu znaleźć coś podobnego.

Ostrożnie nacisnęła klamkę przy drzwiach do sąsiedniego pokoju, spodziewając się porażenia, ale nie stało się nic złego, drzwi ustąpiły bez trudu.

Podobnie jak prowadzące do trzech kolejnych pokoi. Zostały jeszcze dwa, mały pokój i główna sypialnia, na co wskazywały bardziej okazałe, dwuskrzydłowe drzwi. Zapewne tutaj zainstalował się Peter. Postanowiła zostawić ją sobie na koniec i weszła do ostatniego z mniejszych pokoi. Usytuowany tuż obok kuchni, był zapewne przeznaczony dla kogoś ze służby.

O dziwo ten właśnie pokój wybrał Peter, a nie wielką sypialnię pana domu. Przesuwane szklane drzwi były szeroko otwarte, a tuż za drzwiami znajdowała się ścieżka biegnąca między zaroślami. Czyżby ucieczka z luksusowego więzienia była aż taka łatwa?

Odwróciła się i zamarła. Na stole leżał dokładny plan całej wyspy narysowany ręką człowieka dbałego o każdy detal. Dom z systemem alarmowym... Jensen przygotował sobie własny wariant ewakuacji, zapewne sporządzał podobne w czasie każdego zadania. Zaznaczył miejsce, gdzie ukryta była żywność, flary oraz radio. Jeśli uda się jej tam dotrzeć i przeczekać do

chwili, aż odpłyną, będzie mogła wezwać pomoc. Zakładając oczywiście, że potrafi nawiązać łączność. Miała szansę ocalić skórę. Jensen jej nie docenił.

A może przeciwnie?

Obok planu leżał pistolet, luger, kaliber dziewięć, z pełnym magazynkiem. Identyczny jak ten, z którego uczyła się strzelać po napadzie w Auburn. Nigdy nie była dobrym strzelcem, ale wiedziała przynajmniej, jak się posługiwać bronią. To powinno wystarczyć. Miała nadzieję, że wystarczy.

Czyżby Peter nagle stał się aż taki niedbały? A może zmienił zdanie i nie chciał jej zabić?

Nieważne. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Musi myśleć o sobie, o ucieczce, o tym, żeby jak najprędzej wydostać się z willi i dotrzeć na drugi koniec wyspy.

W szufladzie komody znalazła gruby biały T-shirt i obszerne spodnie khaki, identyczne jak te, które dostała na jachcie i przerobiła na szorty. A więc jednak to były jego rzeczy, nie Harry'ego.

Ubrała się, nie troszcząc się o bieliznę, zakładanie koronkowego stanika i stringów wydało się jej absurdalne, zatknęła pistolet za pasek spodni ukryty pod T-shirtem. Nie miała niestety żadnych butów. Trudno. Będzie musiała radzić sobie na bosaka.

Stała długo nad planem, starając się zapamiętać każdy szczegół. Jeśli nie zabierze planu, być może Peter nie od razu zorientuje się, że jednak była w jego pokoju, aczkolwiek to mało prawdopodobne. Szybko odkryje brak pistoletu. Wszystko jedno. Na szczęście miała niemal fotograficzną pamięć. Musiała tylko zapamiętać drogę do bunkra po drugiej stronie wyspy. A gdyby tak spróbowała ustalić, gdzie przetrzymywali Harry'ego?

Była idiotką, licząc, że go uratuje. Jakie miała szanse przeciwko trzem uzbrojonym facetom? Nieważne, czy stali po stronie dobra. Zresztą w ostatnich latach Genevieve coraz trudniej rozpoznawała, kto jest dobry, a kto zły.

Ludzie, którzy zabijają z zimną krwią, nie mogą służyć dobru. Ludzie, którzy wykonują rozkazy, nie zadając sobie żadnych pytań, są źli.

Gdyby nie znalazła pistoletu, nie pomyślałaby o ratowaniu Harry'ego. Teraz wydawało się to bardziej realne. Musiała spróbować, bo potem nie mogłaby sobie spojrzeć w oczy.

Wyprostowała się, odrzuciła włosy na plecy i ruszyła do drzwi. Peter uprzedził ją, że wszystkie drzwi, wszystkie okna w domu są pod napięciem. Zaznaczył na planie system alarmowy, całkowicie konwencjonalny. Może po prostu chciał ją nastraszyć?

Pozostawało tylko wyjść na zewnątrz, uczynić krok ku wolności. Jeśli zginie, trudno. W tej chwili nic już nie ryzykowała.

Na wszelki wypadek przeskoczyła przez próg, uważając, by nie dotknąć framugi drzwi. Poczula pod stopami miękką ziemię. Poczula ciężki zapach tropikalnych roślin. Zapach gnicia, rozkładu.

Miała dość jachtów, oceanu, egzotycznych wysp. Jeśli uda się jej wrócić szczęśliwie do domu, długo nie opuści Nowego Jorku. Manhattan też był wyspą, ale nie czuło się tego. Dawał poczucie bezpieczeństwa i pewności. Nie, Manhattan też nie był bezpieczny. Bezpieczeństwo jest złudzeniem.

To nie pora na takie dywagacje. Teraz musi odnaleźć Harry'ego, sprawdzić, czy biedak jeszcze żyje. Jeśli nie, będzie mogła z czystym sumieniem zająć się sobą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Genevieve przedzierała się przez dżunglę i wyobrażała sobie, że jest wielkim, bezszelestnie poruszającym się kotem, ale w głębi duszy obawiała się, że bardziej przypomina słonia w składzie porcelany. Po pierwsze nie powinna była zakładać białego T-shirtu, tylko poszukać czegoś ciemniejszego, mniej rzucającego się w oczy, co pomogłoby jej wtopić się w tło. Jedyne podstępny, jakie znała, to te stosowane na sali sądowej. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że będzie walczyć o życie na tropikalnej wyspie, z pistoletem zatknętym za pas. A jeśli rzeczywiście przyjdzie jej kogoś zabić? Jak się zachowa?

Jeśli przyjdzie jej zabić Petera?

Zrobi to. Nie zawaha się. Na refleksje pozwoli sobie później, kiedy będzie już po wszystkim.

Nie dojdzie do tego, myślała ponuro. Życie stawiało ją przed trudnymi wyborami, ale zabić Petera? To byłoby zbyt okrutne, nawet w tym najokrutniejszym ze światów.

Nie miała czasu na gdybanie. W ogóle nie miała czasu. Musi się spieszyć.

Kiedy zobaczyła przed sobą szopę, wyciągnęła pistolet. Jeśli wierzyć planowi, który sporządził Peter, tutaj właśnie przetrzymywali Harry'ego. Wokół panowała absolutna cisza. Gene podeszła do szopy od tyłu, stanęła przy ścianie z desek i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Żadnego dźwięku. Czyżby zjawiała się za późno?

Wyrzała ostrożnie zza węgła. W bocznej ścianie było niewielkie okienko, szczelnie zasłonięte papierem. Czekwała kilka długich chwil. Mimowiednie wróciło wspomnienie sprzed dwóch dni, kiedy to ukrywała się w ciasnej komórce na jachcie, by wreszcie wyjść i natknąć się na swoje nemezis.

Czy mogła tak nazwać Petera? Został jej kochankiem, a mogła tak powiedzieć, bo bardzo wiele zdarzyło się między nimi i w sensie fizycznym, i

emocjonalnym. Nie, poprawka, Peter był pozbawiony emocji. Wszystkie emocje płynęły od niej.

A jednak serce było mu przyspieszonym rytmem, drżał, kiedy się z nią kochał. To nie miało sensu. Nie rozumiała go. Dość tego. Jeśli przeżyje, będzie mogła do woli zagłębiać się w zdarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

Nie może tu czekać w nieskończoność. W szopie panowała absolutna cisza. Genevieve westchnęła i zrobiła kilka kroków. Zobaczyła szeroko otwarte drzwi, opustoszałe wnętrze. Ani śladu Harry'ego Van Dorna, ani śladu egzekutorów.

Tylko ślady na ziemi wskazujące, że ktoś musiał ciągnąć bezwładne ciało w stronę willi. Harry albo nadal był zbyt odurzony narkotykami, by iść o własnych siłach, albo...

W szopie nie zauważyła krwi, na ziemi też nie, ale to niczego nie dowodziło. Można zabić człowieka bez rozlewu krwi. Peter znał wiele sposobów, był w końcu specjalistą od zabijania.

Genevieve obejrzała się przez ramię. Dobrze zapamiętała wyrysowaną na planie drogę do bunkra na drugim końcu wyspy.

Powinna tam się kierować, ale Harry'ego jego prześladowcy zabrali do willi, a zatem pójdzie tam, czy jej się to podoba, czy nie.

Usłyszała jakieś pomruki, stękanie kogoś, kto zмага się ze zbyt wielkim ciężarem. Tak to przynajmniej brzmiało.

Było ich dwóch. Teraz słyszała ich głosy. Odetchnęła z ulgą, bo żaden z tych głosów nie należał do Petera.

Byli zbyt pochłonięci sprzeczką, by zauważyć, że ktoś się zbliża.

- Mówiłeś, że moja robota na tym się skończy. Znaczy, jak podłożę ładunki. - To musiał być głos Hansa. - Dość już miałem harówki przy tym zadaniu. Dziękuję bardzo.

- Dałeś mu za dużą dawkę, durniu - odpowiedział Renaud. - Jego lordowska mość nie będzie przecież tachał Harry'ego, nie? Jaśnie pan jest tu od myślenia. I lepiej róbmy, co każe.

- Nie podoba mi się, że wczoraj cały dzień przesiedział w tym wypasionym domu z niezłą laseczką, a my musieliśmy koczować w dżungli. Pocięły mnie moskity czy inne robale.

Dotarli do granicy posesji. Jeśli rzeczywiście był tu zainstalowany system alarmowy pod napięciem, to musiał zostać wyłączony. Bez przeszkód przeciągnęli Harry'ego przez bramę.

- Dlatego zgarnia taką kasę - zauważył kwaśno Renaud. - Teraz siedzi sobie na pokładzie jachtu, popija dzin z tonikiem i czeka na nasz powrót. Pomyśl, jakiego masz farta. Nie jesteśmy niezastąpieni, dobrze o tym wiesz. Nikt by nas nie szukał, gdyby nas zostawił na tej cholерnej wyspie. Moglibyśmy wylecieć w powietrze razem z chałupą i nikogo by to nie obeszło. Ale Jensen dba o swoich ludzi, nigdy nikogo nie zostawił swojemu losowi, nawet ciężko rannych. Przynajmniej tyle dobrego. Nie można narzekać.

- Spróbowaliby tylko nas zostawić. - Hans, dysząc ciężko, wciągnął Harry'ego na taras i tu go rzucił, twarzą do ziemi. Harry się nie poruszył. - Ja podłożyłem ładunki i tylko ja wiem, jak odpalić tak, żeby wyglądało na eksplozję instalacji gazowej. Za sprytny jest i za dokładny, żeby ryzykować.

Renaud przesunął jeden z ciężkich foteli ogrodowych z kutego żelaza.

- Ruszaj się. Zróbmy swoje i wynośmy się. Nie podoba mi się to miejsce. Ciary mnie przechodzą.

Wspólnymi siłami ulokowali Harry'ego w fotelu. Głowa poleciała mu bezwładnie do tyłu, ale z całą pewnością żył. Wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i Hans parsknął śmiechem.

- Oto dowód, że za pieniądze nie kupisz wszystkiego, żabojadzie - stwierdził Hans sentencjonalnie, przywiązując Harry'ego do fotela.

Renaud cofnął się o krok i obserwował kompana. Stał teraz plecami do ukrytej w krzakach Genevieve.

- Wszystkiego może nie, ale wiele - zauważył z filozoficzną niemal zadumą.

- Jak myślisz, co zrobił z dziewczyną? - zaciekawił się Hans, zerkając do wnętrza domu. - Myślisz, że coś z niej zostało, żeby się zabawić?

- Nie. Zabił ją wczoraj wieczorem. Mówił, że zaczęła pyskować, to ją uciszył raz na zawsze. Nie było powodów dłużej zwlekać.

- Ja bym tam znalazł powód. Przynajmniej jeden, ale może Peter nie czuje bluesa. Powinien był załatwić ją już na jachcie i wyrzucić za burtę - stwierdził Hans z wyraźną dezaprobatą. - Podobno jest najlepszy. Skoro jest taki dobry, jak mówią, to nie rozumiem, po kiego ciągnął ją na wyspę?

- Że niby z jej powodu Harry przyplłynął tutaj bez zapowiedzi i odesłał służbę. Rozumiesz, figo-fago, bara-bara pod palmami i raptem wielkie bum, oboje giną w wypadku.

- Miał być wytrysk, zrobił się wyciek. - Hans popisał się poczuciem humoru.

- Pieprz się, prostaku. - Renaud najwyraźniej nie docenił dowcipu. Hans odwrócił się do kompana i Genevieve zobaczyła zdumienie malujące się na jego twarzy.

- Ty, zabojad, co ty robisz? Weź, nie wygłupiaj się, człowieku.

- Wszystkiego nie można kupić, ale można kupić wiele - powtórzył Renaud. - Na przykład mnie.

Usłyszała cichy odgłos, jakby korek wyskoczył z butelki, i w tej samej chwili zobaczyła niewielką dziurkę w czole Hansa. Przez chwilę wszystko działo się jak na zwolnionym filmie, a potem zwaliste ciało Hansa osunęło się na posadzkę tarasu.

- Biedny, głupi szwab - mruknął Renaud, spiesząc rozwiązać Harry'ego. - Nigdy nie nazywaj Francuza zabojadem.

Genevieve wpatrywała się w taras jak sparaliżowana. Zrobiło się jej niedobrze, miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Na jej oczach został zabity człowiek. Zginął jak mucha. Jakby jego życie było pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Oddychała głęboko, próbując się uspokoić. Hans nie żył, Harry tak. Renaud został przekupiony. Przez Harry'ego. Hans nie odpali ładunków, nie będzie wybuchu gazu. Skoro Renaud uratował Harry'ego, ona może zająć się sobą, ratować własne życie.

Peter był już na jachcie, czekał tylko na swoich ludzi, żeby odpłynąć. Jeśli wróci na wyspę, znajdzie ciało Hansa, przerwie zadanie. Czy sam ponownie podłoży ładunki i wysadzi willę w powietrze? Po co? Jak? Powrót na wyspę oznaczałby konfrontację z Harrym. Wszystko strasznie się skomplikowało.

Dlaczego skłamał i powiedział, że ją zabił poprzedniego wieczoru? Czy dla Renauda ta informacja miała jakiegokolwiek znaczenie? Dlaczego Peter darował jej życie? To podstawowe pytanie.

Zaczęła się wycofywać głębiej w zarośla, gdy usłyszała głos Renauda.

- Rusz tyłek i chodź tutaj, panienko. Nie dam sobie sam rady z Harrym.

Mogła uciec. Nie trafiłby jej między zaroślami, a Harry był dla niego w tej chwili znacznie ważniejszy niż ona.

Z drugiej strony ten człowiek uratował Harry'ego, zrobił to, co ona chciała zrobić.

- I odłóż pistolet. Pewnie nie wiesz, jak się nim posługiwać, ale nie lubię uzbrojonych kobiet. Nie ociągaj się. Zabiję cię, jeśli mi nie pomożesz. Nie będę się z tobą patyczkował.

Wyszła z zarośli i położyła pistolet na płytkach tarasu, omijając wzrokiem ciało Hansa. Kiedy była dzieckiem i domowe koty przynosiły jej ptaki i myszy, odwracała głowę i przykrywała kocie trofea kawałkiem papierowego ręcznika. Dopiero potem ktoś z rodziny je usuwał. Ona nie była w stanie tego zrobić.

Tam chodziło o wróbelki z odgryzionymi łebkami, tutaj leżał człowiek. Trudno to porównywać. Poczula, że znowu robi się jej niedobrze. Skupiła całą uwagę na Renaudzie, który też nie przedstawiał sobą zbyt apetycznego widoku.

- Muszę go przetransportować na drugi koniec wyspy. Stamtąd zabierze nas hydroplan. Harry wszystko mi wytłumaczył, jak się trochę ocknął. Też możesz z nami lecieć, jak będziesz robiła, co każe. To jak, pomożesz mi?

- Oczywiście. Ale ktoś z jachtu pojawi się przecież na wyspie, jeśli nie wrócisz na pokład i nie będzie wybuchu. Co będzie, jeśli ten twój samolot nie zjawi się na czas?

- Mówisz „ktoś”, znaczy się, masz na myśli Petera? Nie będzie czekał tylko na mnie. Takie obowiązują u nas zasady. Eksplozja będzie, nie martw się. Jacht odpłynie zaraz potem. Wszyscy będą myśleli, że zadanie zostało wykonane. Peterowi nie spodoba się, że jego ludzie nie wrócili na pokład, ale nie będzie płakał, bądź spokojna.

- No nie wiem. Jensen zrobił na mnie wrażenie człowieka, który bardzo dba o to, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem - nie ustępowała Genevieve.

- Zdążyłaś go nieźle poznać przez te dwa dni. Ciekaw jestem, czemu kłamał, że cię zabił.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zamierzał mnie zabić.

Renaud wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno. Masz rację, Jensen jest dokładny, precyzyjny w swojej robocie. Dbą o każdy drobiazg. Prawdziwy profesjonalista. Artysta, powiedziałbym nawet. Widziałem go kilka razy w akcji. Ale ma jedną wadę, wie, że jest bardzo dobry, wobec czego nie przyjdzie mu do głowy, że jeden z jego ludzi go przechytrzył.

- A jeśli jednak wróci, żeby sprawdzić, co się dzieje?

- To go zabiję. Według mnie nie zejdzie już z jachtu dla jakiegoś widzimi się. Za dwadzieścia minut połowa tej wyspy wyleci w powietrze. Jeśli

będziemy tu stać i gadać, to my też wylecimy w powietrze, razem z naszym złotym chłopcem. Nie uśmiecha mi się to. Chcę przeżyć, zgarnąć ładną kasę, zaszyć się gdzieś w bezpiecznym miejscu i niech cały pieprzony Komitet mnie potem szuka.

- Hans powiedział, że tylko on wie, jak odpalić ładunki. Słyszałam.

- Tak długo stałaś w krzakach? Jesteś lepsza, niż myślałem. - Potarł nieogoloną brodę. Ciągle jeszcze miał siniak w miejscu, gdzie go kopnęła. - Hans nie jest jedynym specem od demolki. Ja też coś tam umiem. Ładunki założone, gotowe do odpalenia. Mamy dwadzieścia minut, panienko. Komu w drogę...

- Był.

- Że jak?

- Hans nie był jedynym specem od demolki. Czas przeszły. Ten człowiek nie żyje.

- Fakt - przytaknął Renaud. - Ciągle ktoś poprawia mój angielski. Jestem tym zmęczony. Rusz tyłek, bo zrobię to, co Peter powinien był zrobić.

Ominęła ciało rozciągnięte na tarasie i razem z Renaudem usiłowała podnieść Harry'ego. Otworzył na moment oczy, spróbował się uśmiechnąć tym swoim chłopcym, zniewalającym uśmiechem i ponownie zapadł w narkotyczny letarg.

- Cholera - zaklął Renaud, uginając się pod ciężarem Harry'ego. - Myślałem, że do tej pory już się ocknie. Zmniejszyłem mu od wczoraj dawki, ale nie pomyślałem, że głupi Hans przesadzi. Z Harrym nie wiadomo, ile mu dać. Jest silny jak byk. Dostawał taką dawkę, że połowa zabiłaby normalnego człowieka, a dla niego to był dopiero początek zabawy.

- Poprawił chwyt. - Chwyć go z drugiej strony, zarzuć sobie jego rękę na ramię i idziemy. Chyba że wolisz zostać i wylecieć w powietrze.

Odurzony narkotykami Harry ważył chyba tonę. Na wpół go nieśli, na wpół ciągnęli, oddalając się od domu w żółwym tempie.

- Dokąd właściwie idziemy? - wysapała w jakimś momencie Genevieve.
- Nie będziesz wiedziała, nawet jak ci powiem - odpowiedział nie mniej zasapany Renaud. - Idziemy na plażę po drugiej stronie wyspy.

Genevieve przywołała na pamięć plan pozostawiony przez Petera. Plaża po drugiej stronie wyspy... Skalisty brzeg i trochę piachu. Wystarczająco daleko od willi, by uchronić się przed skutkami eksplozji. Taką przynajmniej miała nadzieję. Wszystko zależało od tego, jak spektakularną detonację przygotował Hans.

Nie na tyle spektakularną, żeby uszkodziła jacht, to pewne, a ten zakotwiczył chyba tam, gdzie podpłynęli wczoraj rano, czyli stosunkowo niedaleko willi. Teraz najważniejsza rzecz to oddalić się na bezpieczną odległość.

Bunkier znajdował się niedaleko plaży. Dawał poczucie bezpieczeństwa, gdyby coś poszło nie tak. Genevieve była w tej chwili przygotowana na każdą komplikację, zgodnie z zasadą, że jeśli coś może pójść źle, to na pewno tak się stanie.

Potknęła się o wystający korzeń i wyłożyła jak długa. Harry upadł na nią, przygniatając do ziemi całym ciężarem bezwładnego ciała, a Renaud zaklął szpetnie po francusku.

Przez moment nie mogła złapać oddechu. Harry był potwornie ciężki.

W chwilę później została uwolniona od ciężaru Harry'ego. Nie zdążyła odetchnąć z ulgą, gdy poczuła zimną lufę pistoletu na skroni.

- Zrób to jeszcze raz, panienko, a będzie po tobie - zagroził Renaud.

Chciała wyjaśnić, że to niekoniecznie jej wina, ale uznała, że lepiej milczeć. W dyskusje mogła wchodzić z Peterem, Renaud rzeczywiście gotów nacisnąć spust.

Podniosła się, nie zwracając uwagi na zdartą skórę na kolanie, i pomogła Renaudowi dźwignąć Harry'ego. Jego drogie sportowe ciuchy od Versacego

nadawały się już tylko do prania. Chyba powoli, bardzo powoli wracała mu świadomość, bo spojrzał na Genevieve nieprzytomnym wzrokiem i mruknął coś.

- Ruszaj nogami, Harry - poprosiła. - Chcemy uratować ci życie.

Nie wydawał się specjalnie poruszony tą perspektywą, ale rzeczywiście próbował iść. Posuwali się powoli wąską ścieżką niby upiorny dwuosobowy kondukt pogrzebowy z żywym trupem zawieszonym na ich ramionach.

To zawsze jest najtrudniejsza część nawet najprostszych operacji, myślał Peter, spoglądając na wyspę z pokładu odmienionego w ciągu jednej doby jachtu, obsadzonego załogą z Komitetu. „Siedem Grzechów” został przemianowany na „Pogańską Boginę”, ktoś wykazał się poczuciem humoru. Nie zmienia się nazw statkom, to przynosi pecha. Przesądny Harry będzie się niedługo przewracał w grobie.

Przed opuszczeniem wyspy Peter sprawdził jeszcze na wszelki wypadek robotę wykonaną przez Hansa. Jak zwykle okazała się perfekcyjna, Hans był prawdziwym fachowcem. Teraz Renaud i Hans muszą tylko przenieść nieprzytomnego Harry'ego do willi i wrócić na pokład, zanim na wyspie nastąpi eksplozja.

Nie chciał myśleć o Genevieve. Dał jej wszystko, co mógł, teraz powinien o niej zapomnieć. A ona... Albo sobie poradzi, albo nie. Teraz wszystko zależało już tylko od niej.

Była inteligentna i waleczna. Intuicja mówiła mu, że dotrze bezpiecznie do bunkra. On zaś postara się wysłać kogoś, kto zabierze ją z wyspy. Wszystko odbędzie się cicho, dyskretnie. Żadnych śladów. Genevieve nigdy go nie odnajdzie. Nikt nie wiedział o Komitecie i jego działalności. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się centrala tej głęboko zakonspirowanej organizacji.

Być może on też nigdy się nie dowie, czy przeżyła. Jakoś będzie musiał sobie z tym poradzić. Radził już sobie ze znacznie gorszymi rzeczami. W końcu kim ona była? Zabłąkaną kobietą, która na kilka dni pojawiła się w jego życiu.

Tak, zabłąkaną kobietą, nikim więcej...

W rozważania Petera wdarła się potężna eksplozja. Wyspa stanęła w płomieniach.

Siła eksplozji była tak potężna, że ziemia się zatrzęsała. Gwałtowny powiew gorącego powietrza rzucił Genevieve na ziemię. Nie wiedziała nawet, co stało się z Harrym.

Straciła oddech, a w chwilę później straciła też świadomość. Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna, w każdym razie kiedy otworzyła oczy, leżała na ziemi w kałuży krwi. Harry i Renaud zniknęli.

W powietrzu unosił się ciężki zapach płonących chemikaliów. W niebo były gęste kłęby ciemnego dymu. Usiadła i spojrzała na pobrudzony krwią T-shirt. To jej krew.

Muszę być w szoku, pomyślała mgliście i zaczęła sprawdzać: ręce, nogi, palce u rąk, palce u stóp... Była chyba cała. Dotknęła głowy i spojrzała na umazaną krwią dłoń. Albo doznała jakiegoś urazu mózgu i zaraz umrze, albo po prostu rozcięła skórę na głowie. Rany głowy mają to do siebie, że krew leje się z nich obficie, przypominała sobie. Zaczęła niezdarnie wstawać. Może to nic poważnego. Powinna iść dalej. Nie będzie przecież leżeć na ścieżce i broczyć krwią.

Słyszała szum ognia, dym był coraz gęstszy. W tropikalnej dżungli pożar nie rozprzestrzenia się chyba zbyt szybko, ale im dalej się znajdzie od miejsca eksplozji, tym lepiej.

Straciła zupełnie poczucie kierunku i przez chwilę bała się już, że wraca w stronę willi. Zobaczyła w końcu dobrze widoczne ślady, które zostawiał w gęstych zaroślach Renaud ciągnący, Harry'ego, i ruszyła po nich, ocierając co chwilę krew zalewającą oczy.

Omali ich nie przeoczyła. Kiedy wyszła z zielonego gąszczu, hydroplan z pomarańczowo-czarnym logo Van Dorn Enterprises siedział już na wodzie. Harry leżał na noszach, koło niego krzątało się kilku mocno zaaferowanych ludzi.

Próbowała krzyczeć, ale wiatr znosił i tłumił wołanie. Zrobiła kilka kroków po plaży, siły ją opuściły, nie mogła iść dalej. Osunęła się na kolana w gorący piasek.

Renaud, a stał z boku, zobaczył ją pierwszy. Trzymał w dłoni pistolet i przemknęło jej przez myśl, że zaraz ją zabije.

Powiedział coś do jednego z ludzi Harry'ego, wtedy wszyscy spojrzeli w jej stronę, po czym przestali zwracać na nią uwagę, była po prostu dla nich nieważna.

Miała ochotę podejść, chwycić pierwszego z brzegu człowieka za kłapy i solidnie mu przyłożyć. A przynajmniej powiedzieć w kilku słowach, co o nich wszystkich myśli.

Chyba nic już nie myślała. Nie mogła nawet zachować równowagi, przewróciła się na piasek. Teraz piasek dostanie się do rany, nie będzie można jej oczyścić, przemknęło jej przez głowę. Ale być może nie ma to już żadnego znaczenia...

Poczuła, że unoszą ją czyjeś silne, szorstkie ręce. Nie miała siły się opierać. Ktoś ciągnął ją po plaży. Chciała, żeby położono ją na noszach, jak Harry'ego, ale nie mogła dobyć głosu. Ktoś wrzucił ją do hydroplanu, posadził na fotelu, po czym wszyscy na powrót zajęli się na wpół przytomnym szefem.

Oparła głowę o okno, nie zwracając uwagi na to, że brudzi krwią wnętrze samolotu Harry'ego i zamknęła oczy. Po chwili usłyszała odgłos silników, hydroplan startował. Próbowała wydobyć się z mgły, która ją otaczała, chciała spojrzeć przez okno. Drzwi hydroplanu były ciągle otwarte, co wydało się jej niedorzeczne. Chciała o tym powiedzieć, ale zapomniała o wszystkim, gdy zobaczyła, co dzieje się w dole.

Wyspa płonęła. W niebo bił czarny, gęsty dym. Jacht Harry'ego powoli odpływał od brzegów, tnąc szmaragdowe fale Morza Karaibskiego. Hydroplan znalazł się nad samym jachtem, coś poleciało w dół i jacht w jednej chwili przestał istnieć. Zniknął z powierzchni wody.

Musiała chyba krzyknąć, dobieła jakiś ochryply dźwięk z podrażnionego dymem gardła. Tam, na dole, zginął właśnie Peter Jensen.

Na jej krzyk podniósł głowę mężczyzna klęczący obok noszy Harry'ego. Lekarz, pomyślała. Powinna poczuć w tej chwili ulgę, ale nie czuła zupełnie nic.

- Kiepsko z tobą? - odezwał się starszy pan raczej stwierdzając, niż pytając. Mówił z wyraźnym niemieckim akcentem. - Wygląda na to, że masz wstrząśnienie mózgu. Powinniśmy byli cię zostawić na plaży z kulką między oczami, jak tego gnojka, ale pan Van Dorn kazał cię zabrać.

O kim on mówi? O Renaudzie? Zabili go? Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, kiedy poczuła lekkie ukłucie w ramię.

- Albo cię to zabije, albo postawi na nogi.

I to były ostatnie słowa, które słyszała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Straszne sny zdawały się nie mieć końca. Genevieve nie mogła wydobyć się z trawionego ogniem świata krwawych koszmarów. Dławił ją dym. Krwa-
wiła i nie mogła się ruszyć. Zewsząd otaczały ją płomienie, przejmujący ból oślepił. Tuż, tuż czaiła się śmierć, przenikała przez skórę, chwytając boleśnie za gardło.

Hans powoli osuwał się na posadzkę tarasu, znowu i znowu, po wielokroć, w zwolnionym tempie. Pojawiał się Peter, wyciągała do niego dłoń, a kiedy chciała go dotknąć, rozpływał się w powietrzu, znikał, zostawiając po sobie pył, złote drobinki tańcząca w promieniach słońca.

Widziała Harry'ego. Leżał na ławce obracającej się leniwie karuzeli, szeroko uśmiechnięty. Oto Renaud, z czarną dziurą między oczami... Znowu Peter rozpływający się w powietrzu, odchodzący w nicość. Zjawy przesuwały się przed nią powoli, w rytmie jakiegoś makabrycznego tańca.

Chciała trwać w wypełnionych bólem ciemnościach, czepiała się ich uparcie jeszcze wtedy, kiedy do snów zaczęło wdzierać się światło. Wołała głęboką noc z jej koszmarami. Walczyła z całych sił, by trwać w mroku. W końcu jednak poddała się, otworzyła oczy. Była w jakimś nieznanym pokoju.

Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Musiało być późne popołudnie. Nie była sama, ktoś krzątał się po pokoju. Przez chwilę zdawało się jej, że znowu jest w willi Harry'ego Van Dorna.

Nie, niemożliwe. Willa przestała istnieć. Genevieve zamknęła oczy, próbując wrócić w ciemności, z których przed chwilą się wynurzyła.

- Panienska nie śpi? - Miękki, pełen wahania głos. Chciała go zignorować, udać, że nie słyszy, ale wbrew sobie otworzyła oczy i zobaczyła nachyloną nad sobą twarz Azjatki w średnim wieku. Kobieta ubrana była w rodzaj prostego sarongu.

- Nie śpię - przytaknęła. - Gdzie jestem?

W odpowiedzi usłyszała długie wyjaśnienie w języku, którego nie była w stanie zidentyfikować.

- Gdzie jestem? - powtórzyła, tym razem wolniej i wyraźniej.

Kobieta bezradnie pokręciła głową.

- Ty czeka - powiedziała, jakby sądziła, że Genevieve podniesie się z łóżka i wyjdzie z pokoju o własnych siłach.

- Czekam - westchnęła ciężko Gene i opadła na poduszki.

Wracała do rzeczywistości, do której wcale nie chciała wracać.

Pierwsze, co zauważyła, to pościel. Bawełna najwyższej jakości, delikatna, gładka jak jedwab. Taka sama pościel była na wyspie. Ostatniej nocy spała na kanapie w salonie owinięta w takie prześcieradło. Na takiej pościeli leżała, gdy Peter...

Krzyknęła i usiadła na łóżku, a potem jęknęła, bo poczuła przeszywający ból w czaszce. Pościel Harry'ego. Dom Harry'ego.

Gdzie? Jak? Dlaczego?

Pamięć odmawiała posłuszeństwa, wszystko się gmatwało, zlewało... Widzi siebie, klęczy na gorącym piasku nad oceanem. I nie może sobie przypomnieć, jak się tam znalazła.

Siedzi w małym samolocie, który startuje tak gwałtownie, że robi się jej na moment niedobrze. W samolocie nie ma Renauda. Powinna pamiętać, co się z nim stało. Nie pamięta.

Pamięta natomiast coś, o czym chciałaby za wszelką cenę zapomnieć. Wielki jacht tonący na jej oczach, znikający pod wodą w ułamku sekundy. Na pokładzie jachtu był Peter Jensen.

Rozpłakała się.

Kiedy już zaczęła płakać, nie mogła przestać. Łkanie wstrząsało ciałem. Drżała, trzęsła się. Im bardziej próbowała powstrzymać szlochanie, tym bardziej się zanosila. Leżała bezsilna i łzy spływały jej po twarzy. Włożyła pięść do ust, ale i to niewiele pomogło. W końcu się poddała, obróciła na brzuch i ukryła twarz w poduszce.

Kobieta gdzieś znikła i szczęśliwie długo nie wracała. Genevieve powoli zaczęła się uspokajać.

Przestała płakać. Znowu napływały fragmentaryczne wspomnienia, pojedyncze obrazy, z których usiłowała złożyć sensowną całość.

Płakała nad Peterem Jensenem.

Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Jensen codziennie ocierał się o śmierć, igrał z nią. W końcu po niego przyszła. Musiało tak się skończyć.

Nie miała powodów opłakiwać Petera. Ten płacz to normalna reakcja po napięciu, w jakim żyła przez kilka ostatnich dni. Równie dobrze mogłaby opłakiwać Hansa. Widziała przecież na własne oczy, jak ginie od kuli. To było znacznie gorsze niż abstrakcyjna niemal śmierć Petera.

Tylko że z Hansem nie spała. Nie otworzyła przed nim ramion, ciała i Bóg wie czego jeszcze, pozwalając, by brał do woli.

Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie ogołocił jej tak całkowicie, nie sprawił, że poczuła się tak bez reszty zagubiona. I żaden już nie ogołoci. Powinna być zachwycona, że Peter nie żyje. Powinna triumfować. Oto godny rewanż za to, co jej uczynił.

Znowu wybuchnęła płaczem.

- Daj spokój, maleńka - doszedł ją ciepły głos Harry'ego Van Dorna. - Nie trzeba płakać nad rozlanym mlekiem. Co złe, za tobą. Koniec koszmaru. Uspokój się. Jesteś już bezpieczna. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Jakby ktoś chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody. Dziwne, bo przecież głos brzmiał tak ciepło, tak kojąco. Otarła łzy i podniosła wzrok na Harry'ego.

Wyglądał zupełnie tak samo jak pierwszego dnia na jachcie: opalony, dobrze ubrany, na twarzy szeroki, przyjacielski uśmiech. Ani śladu ostatnich przeżyć, podczas gdy ona miała całe ciało pokryte siniakami, zadrapaniami i otarciami po wędrówce przez dżunglę. Albo był wyjątkowo odporny, albo poddał się serii cudownych zabiegów regeneracyjnych.

Przełknęła ostatnie łzy.

- Jak się czujesz?

- Świetnie, Genevieve. Jestem silny jak koń. Kilka dni na środkach odurzających to dla mnie bułka z masłem. To raczej o ciebie powinniśmy się martwić. Doktor założył ci szwy. Miałaś solidnie rozciętą głowę. I stwierdził wstrząśnienie mózgu.

- Gdzie jestem? Od jak dawna? Co się właściwie stało? - Jej głos brzmiał niemal histerycznie. Chciała cofnąć te pytania, zadać je raz jeszcze, rzeczowym, spokojnym tonem.

- O nic się nie martw. Jesteś bezpieczna. Nikt cię tutaj nie znajdzie.

- Nie znajdzie? Kto miałby mnie szukać? - Wstrząśnienie mózgu...

Dlatego tak strasznie boli ją głowa. Dlatego nie może myśleć jasno.

- Ludzie, którzy na mnie polują, to bardzo dobrze zorganizowana, bardzo niebezpieczna grupa terrorystyczna. Bardzo długo planowali tę akcję, a kiedy w końcu uderzyli, ty pokrzyżowałaś im plany. Dzięki tobie wiemy już, kim są.

- Dzięki mnie?

- Moi ludzie znaleźli zmiętą kartkę w kieszeni twoich spodni. Doszli, kto ją napisał. Człowiek używający nazwiska Jensen. Naprawdę nazywa się Madsen. Pracuje dla organizacji zwanej się Komitetem. Niezbyt to oryginalne, prawda? Obrali mnie sobie za cel ataku, chociaż nie potrafię powiedzieć dlaczego. Może chodziło im o moje pieniądze, może o moją działalność humanitarną. Jakikolwiek był powód, chcieli mojej śmierci, a ty im przeszkodziłaś. Za-wdzięczam ci życie. Nie wiem, jak spłacam ten dług. Genevieve nic nie rozumiała.

- Terrorysty? - powtórzyła. Ona też uważała Petera za terrorystę, choć on twierdził, że stoi po stronie dobra. A może każdy łotr i fanatyk wierzy, że walczy o dobro?

A jednak wyjaśnienia Harry'ego jej nie przekonywały. Brzmiały fałszywie. Coś tu się nie zgadzało.

- Niczym się już nie przejmuj. Jensen nie żyje. Nie dosięgnie cię. Ani ciebie, ani mnie. Szkoda tylko, że nie może odpowiedzieć przed sądem za swoje czyny.

Wstrząśnienie mózgu musiało rzeczywiście mocno zmącić jej umysł. Harry Van Dorn wypowiadał jak najbardziej właściwe słowa, słowa brzmiące szlachetnie, wzniośle, heroicznie, a ona myślała jedynie o tym, że wykradł z jej spodni kartkę, jedyną pamiątkę po Jensenie. Madsenie. Kimkolwiek on jest.

Kimkolwiek był.

Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Potrząsnęła głową, walcząc z przygniatającą ją rozpaczą.

Harry jakby tego nie widział. Usiadł na krawędzi łóżka. Genevieve chciała się odsunąć, to był niekontrolowany odruch, reakcja na niepożądaną bliskość.

Dziwne. Był przecież całkowicie niegroźny. Był ofiarą, jak ona.

- Co prawda Madsen nie żyje, ale obawiam się, że masz teraz groźnych wrogów w ludziach Komitetu. Zrobię wszystko, żebyś nie ucierpiała.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała ponownie, ignorując uspokajające zapewnienia,

- W miejscu, w którym nigdy cię nie znajdą - padła enigmatyczna odpowiedź.

- To znaczy gdzie? Gdzieś w Azji? - Spojrzała na azjatyckiego służącego, który cały czas stał nieruchomo za plecami Harry'ego.

- Nie bój się, nie grozi nam tsunami - zaśmiał się Harry beztrosko.

- Nie myślałam o tsunami. Chociaż, jeśli rzeczywiście jesteśmy w Azji, blisko oceanu...

- Och, wy prawnicy musicie być zawsze tacy skrupulatni - westchnął Harry z rozbrajającym uśmiechem. - I tacy dosłowni. Powiedzmy, że żadna fala nie dosięgnie tego domu.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie poddajesz się łatwo, prawda, Genevieve? Genevieve... Po przygodzie, przez którą razem przeszliśmy, to chyba normalne, że będziemy mówić' sobie po imieniu...

Nie nazwałaby tych kilku dni śmiertelnego zagrożenia przygodą.

Przez cały czas był nieprzytomny, odurzony narkotykami.

- Gdzie jesteśmy, Harry? - ponowiła pytanie, próbując zachować resztki cierpliwości.

- Naprawdę nie mogę ci powiedzieć. - W jego głosie zabrzmiał szczery żal. Tak szczery, że Genevieve niemal uwierzyła. - Im mniej wiesz, tym lepiej.

Kiedy wszystko się uspokoi i będziesz mogła opuścić bezpiecznie to miejsce, lepiej, żebyś nie wiedziała, gdzie byłaś. Uwierz mi.

- Inaczej mówiąc, gdybyś mi powiedział, musiałbyś mnie zabić?

Uśmiechnął się czarująco, a Genevieve jeszcze bardziej się zdenerwowała.

- A ty masz oczywiście jakieś bardzo istotne powody, by nie powiedzieć mi, jak długo tu jestem.

- Trzydzieści dni - odpowiedział uprzejmie, jakby nie słyszał zgryźliwego tonu.

- Co takiego? - krzyknęła i ból przeszył czaszkę. - To niemożliwe. Spałam przez trzydzieści dni?

- Niezupełnie. Nie zapominaj, że miałaś wstrząśnienie mózgu. Doktor Schmidt postanowił wprowadzić cię w stan śpiączki, bo to najlepszy sposób leczenia. Nie rób takiej przerażonej miny. Służba zajmowała się tobą bardzo troskliwie, kiedy byłaś nieprzytomna.

- Dawaliście mi środki usypiające? Obszedłeś się ze mną dokładnie tak samo, jak te sukinsyny potraktowały ciebie. - Genevieve nie posiadała się z wściekłości. Zapomniała o dobrych manierach, o zawodowym opanowaniu. Nie dbała już o nic.

- Chcieliśmy ci pomóc, a nie odurzyć, żeby potem zabić - wyjaśnił Harry cierpliwie. - Byłaś cały czas pod opieką lekarza. Doktor Schmidt się tobą zajmował. Niepotrzebnie tak się unosisz.

Genevieve była przeciwnego zdania. Uważała, że ma wszelkie podstawy do oburzenia, ale zatrzymała tę refleksję dla siebie.

- Jak długo jeszcze mam pozostać w tym tajemniczym miejscu?

- Do momentu aż całkiem wydobrzejesz albo do momentu, aż minie zagrożenie. Ten sukinsyn mógł wylecieć w powietrze razem z jachtem, ale zostali jego sympatyczni koledzy. Komitet, czy jak tam oni się nazywają, nie zrezygnuje tak łatwo.

- Ale...

- Jack, dopilnujesz, żeby pani miała wszystko, co jej potrzebne. - Harry podniósł się. Nie zamierzał wysłuchiwać obiekcji zgłaszanych przez Genevieve.

- To jest Jack O'Brien, jeden z moich asystentów - przedstawił Azjatę, który cały czas stał za jego plecami.

- Jak Peter Jensen? Harry skrzywił się.

- Jack pracuje dla mnie zbyt długo, bym mógł wątpić w jego lojalność. Jack nigdy by mnie nie zdradził, prawda, chłopcze? Za dobrze znam jego różne grzeszki.

Asystent postąpił krok do przodu i uklonił się lekko.

- Jestem do pani dyspozycji - powiedział łagodnie.

- Widzisz? - Harry był ogromnie zadowolony z siebie. - Nie mogłabyś być w lepszych rękach. Jack to świetny chłopak. Jeden z moich najlepszych pracowników. Wiem, co myślisz. Dlaczego ktoś o orientalnych rysach nazywa się Jack O'Brien. Jego ojciec był biały, matka Japonką. Naprawdę ma na imię inaczej, strasznie dziwnie, nie do wymówienia. Nigdy nie mogę zapamiętać, więc wołam na niego Jack.

Mężczyzna skinął głową, puszczając mimo uszu rasistowski komentarz.

- Jest tu pani absolutnie bezpieczna - zapewnił.

Dlaczego oni bez przerwy podkreślają, że jest bezpieczna? Robili to z takim uporem, że zaczęła odczuwać niepokój.

- Zostawiam cię w rękach Jacka, Genevieve. Sam mam mnóstwo spraw do załatwienia. Muszę nadrobić zaległości, które się nagromadziły pod moją nieobecność. Jack jest człowiekiem godnym zaufania.

Genevieve jakoś nie uspokoiły te zapewnienia. Drzwi za Harrym zamknęły się i została sam na sam z kolejnym podobnym do zjawy asystentem Van Dorna. Nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny energii. Środki odurzające i trzynaście dni śpiączki zrobiły swoje. Znowu chciało się jej płakać. Płakać nad kimś, kto zasłużył na śmierć.

Mężczyzna patrzył na nią z pełnym spokojem i zrozumieniem.

- Czym mógłbym pani służyć, panienko? Obawiam się, że jestem jedyną osobą w całym domu, która mówi po angielsku. Chętnie we wszystkim pomogę. Proszę pamiętać, że możliwości finansowe pana Van Dorna są praktycznie nieograniczone.

- Potrafi pan wskrzeszać zmarłych? - zapytała i zasłoniła usta dłonią, przerażona absurdalnością swojego pytania. Nie będzie opłakiwała Petera Jensena. Nie знаła nawet jego prawdziwego nazwiska.

Mężczyzna nie okazał wielkiego zaskoczenia, jednak w jego ciemnych oczach odmalowało się coś dziwnego, czego Genevieve nie potrafiła rozgryźć.

- Dotąd nie próbowałem - odpowiedział niezwykle uprzejmie.

- Nieważne. Chyba się wygłupiłam. - Uśmiechnęła się, co musiało wypaść dość żałośnie, ale Jack O'Brien udał, że nic nie dostrzega.

- Chciałabym... - Spojrzała w jego spokojną, pozbawioną wyrazu twarz. - Jak naprawdę ma pan na imię? - zapytała. - Harry jest widać zbyt leniwy, żeby zapamiętać, ale ja się postaram.

Wahał się przez moment.

- Takashi - powiedział w końcu. - Lubię imię Jack, zdążyłem się już do niego przyzwyczaić.

- I nazywa się pan O'Brien? - upewniała się Genevieve.

Była niemal pewna, że uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak jest. Mój ojciec nie był Anglikiem, jak mówił pan Van Dorn, tylko Irlandczykiem. Wiele cech odziedziczyłem po matce. - Zachmurzył się, jakby doszedł do wniosku, że powiedział zbyt wiele. - Wrócę do swoich zajęć, jeśli pani mnie już nie potrzebuje.

- Mógłby pan pomóc mi opuścić ten dom? - zapytała.

- To niemal tak trudne jak wskrzeszanie zmarłych, ale zobaczę, co da się zrobić. Niedługo przyniosę pani coś do jedzenia. Jeśli nie będzie pani miała

ochoty pić herbaty, proszę ją po prostu wylać tak, żeby nikt nie widział. Nikt nie poczuje się urażony.

Albo nadal znajdowała się pod działaniem narkotyków, albo ten człowiek powiedział właśnie coś bardzo dziwnego. Spojrzała na niego uważnie, ale z jego twarzy nie była w stanie nic wyczytać.

- To zrozumiałe, że nie chciałabym nikogo urazić - powiedziała w końcu.

Takashi skinął głową.

- Tak będzie lepiej - przytaknął. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę komuś ze służby rzucić tylko moje imię, a zaraz się pojawię.

- Które?

Tym razem się nie uśmiechnął.

- Wszystko jedno. To nie ma znaczenia. Zawołają mnie. Zastanowię się, czy potrafię sprawić cuda, o które pani prosiła.

Powinna poprosić o swoją ulubioną wodę, skoro już byli przy cudach. Zdobyć ją byłoby pewnie równie trudno, jak przywrócić Petera do życia.

Chyba że...

Myśl ta uderzyła ją z gwałtowną siłą. Peter nie zginął. Nie potrafiła powiedzieć, skąd zrodziła się w niej ta pewność, ale wiedziała, że Peter żyje. Nie było go na jachcie, kiedy ten eksplodował, obracając się w nicość. Czowała to całym swoim jestestwem. Peter Jensen, czy jak się tam nazywał, nie zginął.

Ciągle pewnie odczuwała skutki środków odurzających, którymi ja szpikowali.

Wszystko jedno. Jeśli to tylko złudzenie, narkotyczna wizja, niech i tak będzie. Wołała takie iluzje od bolesnej prawdy. Tak czy inaczej nigdy w życiu nie zobaczy już Petera Jensena.

Po prostu była szczęśliwsza ze świadomością, że on żyje. I dręczy jakąś inną nieszczęsną kobietę, która weszła mu w drogę.

Dość łez. Musi patrzeć w przyszłość, musi wydostać się z tego luksusowego więzienia i wrócić do Stanów. W twojej chwili powinna zająć się przede wszystkim sobą, myśleć o sobie.

Uroczy uśmiech zniknął z twarzy Harry'ego, gdy tylko Jack wyszedł z gabinetu. Tak, nawet przed Jackiem powinien mieć się na baczności i zachowywać pozory. Zdarzało się już, że kazał Jackowi zabić kogoś, i Jack wykonywał zlecenie, ale nawet przed nim powinien się strzec.

Teraz, kiedy został sam i nie musiał już udawać, zaczął krążyć niespokojnie po gabinecie niczym wielki kot w klatce. Spodobało mu się to porównanie. Widział siebie jako wielkiego, groźnego lamparta. Był groźny, owszem. A przy tym na tyle przebiegły, by nie okazywać, jak bardzo jest niebezpieczny.

Pieprzyła się z nim. Ta mała dziwka z nowojorskiej kancelarii pieprzyła się z Jensenem. Widział to po niej. Czuł. Pierwszego wieczoru na jachcie uciekła zaraz po kolacji, trzymała Harry'ego na dystans, ale z tym cholernym zdrajcą, łajdakiem, kłamcą Jensenem poszła do łóżka. Zapłaci mu za to. Żadna kobieta nie może bezkarnie upokarzać Van Dorna.

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby spełniła swój obowiązek i przespała się z nim tamtej pierwszej nocy. Tego w końcu słusznie oczekiwał po kobietach, które przysyłała doń w różnych sprawach jego nowojorska kancelaria. Genevieve Spenser nie stanowiła tutaj żadnego wyjątku.

Ale ona trzymała się na dystans. Kiedy po niego przyszli, był sam. Gdyby spała wtedy w jego kabinie, pewnie by ich to powstrzymało. Nie odważyliby się uderzyć. A gdyby się odważyli, użyłby jej jako tarczy i nie mogliby go obezwładnić.

Była tak samo winna jak Peter Jensen i cały pomyłony Komitet, który koniecznie chciał naprawiać świat. Harry zamierzał coś z tym zrobić. Rozprawi się z nimi wszystkimi.

Jak tylko naprawi szkody wyrządzone jego zniknięciem. Wysadzenie w powietrze tamy w Mysore nie wchodziło już w rachubę. Wzmocniono środki ostrożności, ludzie, których wynajął do wykonania zadania, zdążyli się rozpierzchnąć. Podobnie rzecz się miała z polami naftowymi. I tutaj akcja musiała zostać wstrzymana. Dokumenty przekazania, które miał podpisać, przepadły razem z jego wspianiałym jachtem, nadal więc był właścicielem szybów. To mogło co prawda zapewnić mu świetne alibi - oto płoną jego własne szyby naftowe - ale nie potrafił zdobyć się na aż takie poświęcenie. Nie pozostawało zatem nic innego jak zrezygnować także z tego punktu planu.

Harry ze złością kopnął w biurko. Wszystko starannie przygotował, przemyślał, a oni pomieszczyli mu szyki. Miała być Zasada Siódemki. Siedem, magiczna cyfra. Siedem, jak siedem plag egipskich i siedem grzechów głównych. A piątka? Na co mu piątka? Nie stworzy przecież Zasady Piątki.

Do dziewiętnastego kwietnia zostały jeszcze cztery dni. Początek końca. Cztery dni, żeby wymyślić dwie spektakularne akcje, które pogrążą świat finansów w chaosie. Na szczęście zostawił wrogów daleko w tyle. Zidentyfikowali dwa cele, ale nie mieli pojęcia o epidemii ptasiej grypy, która zaatakuje Chiny, ani o kopalni diamentów w Afryce Południowej, ani o obozie w Auschwitz, który miał wylecieć w powietrze wraz z tłumem zwiedzających.

Zasada Siódemki była prosta. Obejmowała świat, zaczynając od wschodu i sunąc na zachód. A więc najpierw epidemia ptasiej grypy w Chinach, potem tama w Mysore, potem kopalnie w Południowej Afryce, pola naftowe w Arabii Saudyjskiej. Obóz zagłady na terenie Polski, londyńskie gmachy Parlamentu i trzy tragedie w Stanach, w miejscach gdzie wcześniej już doszło do masakry. A więc Waco w Teksasie, gdzie policja zastrzeliła kilkudziesięciu niewinnych wyznawców jednej z licznych w Stanach sekt, Oklahoma City, gdzie kiedyś została podłożona bomba pod budynek federalny i wreszcie Littleton w Kolorado, gdzie znajdowała się szkoła Columbine, w której doszło do tragicznej strzelaniny zakończonej licznymi ofiarami wśród uczniów.

Jeden z najlepszych, najbardziej sprzyjających dni, dziewiętnasty kwietnia, a właściwie noc z dziewiętnastego na dwudziesty. Doskonała data na rozpętanie globalnego chaosu. Świat będzie zbierał, co zasiał.

Peter Jensen wydawał się idealnym asystentem, zważywszy, że urodził się tego samego dnia co Hitler. Dla Harry'ego był to znak, że Peter będzie przy nim, będzie doglądał realizacji planów.

Wystrychnęli go na dudka, a on nie lubił, kiedy ktoś robił z niego idiotę.

Drań już nie żyje, nie poniesie kary. Na myśl o tym, że Jensen mu uciekł, Harry trząsł się z wściekłości. Odbije sobie całe rozczarowanie na Genevieve Spenser. Na niej wyładowuje swoją złość, a Jack po nim posprząta ze zwykłą sobie skrupulatnością.

A jednak ta perspektywa nie przynosiła spodziewanego ukojenia. Nalał sobie szklaneczkę burbona, stwierdził, że dłoń mu drży, i rąbnął szklaneczką o ciemną, dębową boazerię.

Znowu zawładnęła nim ślepa furia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Peter Madsen zatrzymał samochód na zarośniętym chwastami podejździe. Rozejrzał się, szukając ewentualnych śladów włamania. Robił to odruchowo, za każdym razem, kiedy wracał do starego domu.

Stary dom... owszem, ale nie dom w takim sensie, w jakim używamy tego słowa, mówiąc „Jestem w domu” i myśląc „to jest moje miejsce na ziemi”. Peter nie miał domu. Była połowa kwietnia, ogród powinien budzić się do życia, tymczasem, zaniedbany, przedstawiał sobą opłakany widok. Zupełnie jak jego właściciel, pomyślał Peter ponuro i wysiadł z samochodu.

Wyłączył skomplikowany, trudny do odnalezienia przez obcych system alarmowy i wszedł do środka. W bardzo skromnie urządzonej domu nie miał nic szczególnie wartościowego. Nie przywiązywał żadnego znaczenia do rzeczy i poza biurkiem, które kiedyś należało do dziadka, nic tu nie przyciągało uwagi.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie kupił to biurko. Zobaczył ogłoszenie zawiadamiające o aukcji przedmiotów należących do doktora Wimberleya i poszedł na nią wiedziony impulsem, chociaż nigdy nie kierował się impulsami.

Nie musiał się obawiać, że spotka na aukcji kogoś z rodziny. Rodzice dawno nie żyli, a jego matka była jedynaczką. Dochód z aukcji miał zasilić jedną z katedr uniwersytetu w Oksfordzie, która nosiła imię dziadka. Osamotniony na starość doktor zapisał wszystko, co miał, uniwersytetowi.

Peter ucieszyłby się, gdyby ktoś włamał się do domu i ukradł cholerne biurko, ale mebel ważył chyba tonę. Nie potrzebował biurka, wyznawał przecież zasadę: nic na papierze.

Nie, nie zainstalował systemu alarmowego, żeby zabezpieczyć dom i to, co się w nim znajduje. Chciał po prostu mieć pewność, że kiedy pojawi się w Wiltshire, nie będą tu na niego czekać żadne niespodzianki. Każdy dobry

włamywacz poradziłby sobie z systemem, ale musiałyby zostawić widoczny ślad swojej wizyty.

Niemal żałował, że nikt nie zastawił na niego pułapki, przynajmniej miałby czym zająć myśli. A jeśli, po tylu latach, szczęście by go opuściło, to trudno, przyjąłby takie zrządzenie losu z fatalistycznym spokojem.

Prawdę mówiąc, szczęście chyba go opuściło. Harry Van Dorn wydostał się z pułapki i była to pierwsza misja Petera zakończona niepowodzeniem. Nigdy wcześniej coś podobnego mu się nie zdarzyło.

Nic dziwnego, że teraz czuł się fatalnie. Ucierpiała jego zawodowa duma. Wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno. Zginął nie ten człowiek, który powinien był zginąć.

Zrobił dla niej wszystko, co w jego mocy. Dał jej narzędzia i wskazówki, zostawił mapę, pistolet... Jeśli nie udało się jej wydostać z potrzasku, to już nie jego wina. Cała ta misja, tak starannie przygotowana, była jednym wielkim niepowodzeniem.

W domu panował zaduch charakterystyczny dla długo niewietrzonych wnętrz. Pachniało myszami. Jeśli zdecyduje się sprzedać to miejsce, będzie musiał zamówić ekipę profesjonalnych sprzątaczy.

Tak, powinien wystawić chałupę na sprzedaż. Z pewnością znajdzie się sentymentalny głupiec, którego zachwyci czerwona dachówka, fasetowe szybki w oknach, malowniczy, pogmatwany, tak ukochany przez Anglików plan wnętrz, efekt trzystu lat przeróbek, dobudówek, ulepszeń, kiedy to dom niejako rósł z kolejnymi pokoleniami właścicieli.

Jego żona zawsze utyskiwała, że dom jest zbyt staroświecki, nienawidziła zajmować się ogrodem. Nigdy nie zabrał jej do swojego supernowoczesnego mieszkania w zachodnim Londynie, w którym spędzał większość czasu. Zapewne zachwyciłaby się, ale nie miała pojęcia o jego istnieniu.

Zabawne, ale myśląc o żonie, nigdy nie przywoływał jej imienia, zawsze nazywał ją „żoną”. Na tym właśnie polegał problem. Wybrał sobie doskonałą „żonę”, która w gruncie rzeczy nic go nie obchodziła.

Annabella. Annabella Lawson, jak mógł zapomnieć? Z drugiej strony, z jakiej racji miał niby pamiętać? Kobiety pojawiały się w jego życiu i znikwały. Niektóre żyły, inne już odeszły. Ich postacie zacierały się w pamięci. Nigdy nie wracał do nich we wspomnieniach i nie zamierzał tego zmieniać.

Powinien włączyć ogrzewanie, bo w domu było chłodno, w powietrzu czuło się wilgoć. Zszedł dwa stopnie do starej kuchni. W kącie rozpierała się okazałych rozmiarów kuchenka gazowa, było też wielkie kamienne palenisko, w którym kiedyś gotowało się jedzenie, zawieszając saganki nad ogniem. Usiadł przy starym dębowym stole, który jego żona usiłowała zastąpić bardziej nowoczesnym i zapatrzył się w ciemność gęstniejącą za oknem.

Usłyszał ją. A ona wiedziała, że on wie. Że rozpozna ją, zanim zobaczy. Madame Lambert, jego szefowa, pani stojąca na czele Komitetu, zdawała się wiedzieć wszystko, także to, że nie będzie próbował jej zabić, biorąc za wroga.

- Przygnębienie? - zapytała, zatrzymując się w drzwiach kuchni.

Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałby, że było to teatralne wejście, ale znał dobrze madame Lambert i wiedział, że takie efekty nie są w jej stylu.

Odchylił się w krześle.

- Widziałaś mnie kiedyś przygnębianego? - zapytał spokojnie.

- Nie, ale też nigdy dotąd nie zdarzyło ci się ponieść porażki.

- O to chodzi? Złożyłem wyczerpujący raport.

Nie wyjechałbym z Londynu, gdybym wiedział, że masz jeszcze jakieś pytania.

- Twój raport jest rzeczywiście wyczerpujący i absolutnie przejrzysty. Nie mam żadnych zastrzeżeń. - Madame Lambert weszła do kuchni. Była niezwykłą kobietą. Równie dobrze mogła mieć trzydzieści pięć lat, jak i sześćdziesiąt. Była

cudownie zadbane i ta doskonała prezencja stanowiła rodzaj nieprzenikalnej zbroi. Peter Madsen nie lękał się nikogo i niczego, ale madame Lambert czasami przyprawiała go o lęk.

- Co cię zatem sprowadza?

- Chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku. To pierwsza misja, która ci się nie powiodła i jestem trochę... zmartwiona.

- Myślisz, że skończę z sobą, bo nie udało mi się skończyć z Harrym Van Dornem? Daj spokój. Nie wpadłem w aż taką desperację.

- Bałam się, że może zechcesz się wycofać.

- Jestem wzruszony.

- Nie sądzisz chyba, że przemawiają przeze mnie względy osobiste?

Oboje jesteśmy wystarczająco długo w tym biznesie i wiemy, jak wyglądają statystyki, ilu naszych ginie. Muszę dbać o to, żeby mieć w Komitecie naprawdę dobrych ludzi. Po odejściu Bastiena ty jesteś jednym z naszym najlepszych agentów.

Peter uniósł brew i madame Lambert zaśmiała się srebrzyście.

- Wybacz, nie to chciałam powiedzieć. Jesteś najlepszy.

- Nie zamierzam wycofywać się z pracy - powiedział Peter po chwili milczenia. - Wiesz doskonale, że nie potrafię robić nic innego. Potrafię zabijać, a na tę specjalność w Komitecie zawsze będzie zapotrzebowanie, czy nie tak, Isobel?

- Każdemu zdarza się od czasu do czasu nie wykonać zadania, Peter. Teraz już wiesz, że może ci się nie udać. Moim zdaniem to zdrowa świadomość.

- Mówisz, jakbyś usiłowała pocieszać faceta, któremu nie stanął. Nie przejmuj się, kochanie, to może się zdarzyć każdemu - powiedział ze złością, naśladowując kojący kobiecy głos.

- Metaforycznie rzecz ujmując, właśnie coś takiego się zdarzyło, nie sądzisz?

- Metaforycznie rzecz ujmując, to spieprzyłem robotę. Nie zorientowałem się w porę, że Renaud zdradził. Za późno zszedłem na ląd, żeby sprawdzić, czy Van Dorn nie żyje. - Czekał do ostatniej chwili, bo nie chciał natknąć się na Genevieve Spenser, to był prawdziwy powód zwłoki. Bał się stwierdzić, że zginęła, bał się spotkać ją żywą, bo wtedy musiałby decydować, co dalej. Zostawił ją własnemu losowi, bo tak było lepiej.

Madame Lambert wzruszyła ramionami.

- Każdemu zdarza się spieprzyć robotę. Jakoś wolę widzieć w tobie omylnego człowieka niż niezawodnego robota.

- Zatem zrobiłem to dla ciebie - rzucił lekkim tonem.

- Poza tym naprawdę nie musisz czynić sobie wyrzutów. Mamy Harry'ego Van Dorna w garści. To zbyt poważne zadanie, żebyśmy mogli poprzestać na jednym wariancie planu. Jeden z naszych ludzi jest przy nim. Zajmiemy się Harrym we właściwym momencie, a ty potraktuj swoje niepowodzenie jako rodzaj nowego doświadczenia zawodowego.

Peter miał ochotę prychnąć, ale nie zrobił tego. Madame Lambert nie była osobą, przy której wypadało prychnąć.

- Uspokoiłś mnie - stwierdził z przekąsem. - A teraz może wreszcie mi powiesz, co naprawdę cię tu sprowadza?

Isobel uśmiechnęła się swoim pięknym uśmiechem kobiety pozbawionej wieku. Na jej idealnie gładkiej, porcelanowej twarzy nie było ani jednej zmarszczki, śladu przeżytych doświadczeń, żadnego piętna charakteru. Peter ciekaw był, ile przeszła operacji plastycznych. Ale tak właśnie jest w naszym zawodzie, pomyślał. To twarz profesjonalistki, twarz, która nic nie ujawnia. Piękna, doskonała maska.

- Przyjechałam powiedzieć ci, żebyś wziął sobie dwa miesiące wolnego. Od 2001 roku nie miałeś wolnego, powinieneś odpocząć.

- Nie czuję szczególnej potrzeby.

- Żona od ciebie odeszła.

- To akurat wiem. Zostawiła mnie dwa lata temu. Nie pasowaliśmy do siebie. Wyszła po raz drugi za mąż i pewnie jest szczęśliwa.

- Nigdy się nie domyśliła, czym naprawdę się zajmujesz?

Być może coś podejrzewała, ale wolał nie informować o tym madame Lambert. Annabella była osobą całkowicie pozbawioną wyobraźni, ale miała swój rozum. Odeszła od niego, zanim zdążyła poznać fakty, o których wolała nie wiedzieć.

- Nie miała pojęcia.

- Nawet gdyby się domyślała, to zapewniam cię, że nie zamierzam wydawać na nią wyroku śmierci, Peter - powiedziała madame Lambert z lekką ironią. - Nie jestem Harrym Thomasonem.

Być może nie jesteś, pomyślał. Thomason był bezwzględny, stetryczałym starcem, który miał na sumieniu wiele niepotrzebnych ofiar, a jednak odszedł na emeryturę ze wszystkimi honorami. Absolutna władza demoralizuje w sposób absolutny. To samo mogło dotyczyć madame Lambert. Peter wolał nie wystawiać na próbę bezpieczeństwa Annabelli.

- Biedna dziewczyna - westchnęła madame Lambert. - Trzeba naprawdę silnej kobiety, żeby potrafiła stawić ci czoła.

Peter mimo woli pomyślał o Genevieve. Genevieve, która rzucała mu wściekłe spojrzenia, piorunowała go wzrokiem i znęcała się nad nim w każdym wypowiedzianym zdaniu, chociaż wiedziała, że jest skazana, że nie wyjdzie z tego starcia cało.

I co z tego zostało? Być może miałyby teraz poczucie satysfakcji, wiedząc, że on nie jest w stanie wymazać jej z pamięci. Ale chyba by z tego powodu nie triumfowała... A może?

- Ona żyje.

Peter poderwał głowę i napotkał spokojne spojrzenie madame Lambert.

- Oczywiście, że żyje. Wyszła za mąż za jakiegoś dentystę i mieszka teraz w Dorking.

- Mówię o Genevieve Spenser. Razem z Renaudem pomagała Harry'emu Van Dornowi wydostać się z Little Fox Island. Van Dorn zabrał ją z sobą. Renaud miał znacznie mniej szczęścia.

- Van Dorn ją dorwał? - Peter nie próbował udawać, że nie obchodzi go los Genevieve. - Z dwojga złego lepiej, żeby nie żyła.

- Być może. Ale na to nie masz żadnego wpływu. To już nie twoja misja. Nawet ja mam ludzi, przed którymi muszę odpowiadać. Nie pozwolę ci nic zrobić w tej sprawie. Osobiste zaangażowanie to pierwszy krok do katastrofy. Masz się trzymać z daleka od Genevieve. Dlatego wysyłam cię na dwumiesięczny urlop. Płatny, ma się rozumieć.

- Pieprzę płatne urlopy - rzucił Peter ze złością. - Gdzie ona jest?

- Chcesz ruszyć jej na ratunek, niby rycerz w lśniącej zbroi? Nie poznaję cię. Nigdy nie przejmowałeś się nikim ani niczym.

Peter szybko się opanował.

- Myślisz, że nagle obudziło się we mnie sumienie, Isobel. Muszę cię rozczarować. To kwestia dumy zawodowej i osobistej odpowiedzialności. Spenser miała umrzeć, to ja miałem ją zlikwidować, szybko i bezboleśnie.

- Ach, i zapomniałeś?

Peter puścił mimo uszu jawną kpinę.

- Wiesz, jakim człowiekiem jest Harry Van Dorn.

Nie mamy prawa pozostawiać nikogo w jego rękach, na jego łasce i niełasce.

- Ale też nie mamy żadnego obowiązku ratować przed nim Spenser.

- Zostawisz ją tam, gdzie jest?

- Nie możemy narażać powodzenia misji. Nasz człowiek i bez tego ma ciężkie zadanie. Zapomnij o całej sprawie i odpocznij przez najbliższe dwa miesiące. Zrób remont, dom wygląda koszmarnie. Przydałaby się tu kobieca ręka.

Peter nigdy nie miał kłopotów z wychwytywaniem najsubtelniejszych nawet aluzji i niedopowiedzeń, a madame Lambert była mistrzynią niedopowiedzeń. Patrzyła teraz na niego tym swoim spokojnym, nieprzeniknionym wzrokiem.

- Ciągłe zapominam, że nie jesteś Thomasonem - powiedział po chwili.

- Staram się. Miłego urlopu. Zdajesz sobie sprawę, że od dzisiaj nie pracujesz, a dopóki jesteś na urlopie, Komitet nie może nic dla ciebie zrobić. Musisz liczyć wyłącznie na siebie.

Omal się nie uśmiechnął. Po raz pierwszy od wielu dni.

- Oczywiście. Mam tego pełną świadomość.

- Udanego urlopu. Za dwa miesiące chce cię zobaczyć wypoczętego, w doskonałej formie. - Omiotła jeszcze raz spojrzeniem kuchnię. - Zdecydowanie potrzebna jest tu kobieca ręka.

Genevieve słyszała głosy. Nie była z pewnością Joanną D'Arc i nie chodziło o posłanie od Boga. Silny teksański akcent, współczujący, ciepły ton... Głos diabła... Potężna, obleśna postać tchnąca zapachem śmierci i burbona.

Wypiła herbatę. Próbowala się wymigać, ale Ahn stała nad nią i cierpliwie powtarzała:

- Ty pije.

I Genevieve musiała wypić, nie miała wyboru. Mogła mieć tylko nadzieję, że źle zrozumiała wyraźne ostrzeżenie Takashiego O'Briena. Efekt był niemal natychmiastowy. Szepnęła tylko:

- O cholera. - Ahn chwyciła filiżankę, która wypadła jej z ręki.

Próbowala zachować jasność umysłu, ale była to z góry przegrana walka, jak poruszanie się w kleistej, gęstej mazi, która lepiała się do ciała. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Mogła tylko leżeć bezradnie, niczym mumia, jak tamtego ranka, kiedy obudziła się na kanapie w salonie Willi na wyspie. Wiele by dała, żeby znaleźć się tam teraz, cofnąć czas i bieg wydarzeń.

Głosy mówiły jej jednak coś innego. Oto znajomy głos Harry'ego Van Dorna wypowiadający dziwne, okropne słowa:

- Pieprzyła się z nim. Czuję to, widzę. Ona nim śmierdzi. Pozbądź się jej. Nie jestem już nią zainteresowany.

- Jak pan sobie życzy. - Łagodny głos asystenta, Takashiego O'Briena, który ostrzegał ją, żeby nie piła herbaty.

- Poczekaj, rozmyśliłem się. - Znowu dziwnie brzmiący głos Harry'ego. - Może być jednak zabawna. Dawno nie miałem żadnej białej kobiety. W ogóle staram się ich wystrzegać. To niebezpieczne. Ludzie zadają zbyt wiele pytań, kiedy taka znika. Z nią jest inaczej, została już uznana za zmarłą. Mogę z nią zrobić wszystko, co mi się żywnie podoba. Trzymać ją tutaj tak długo, jak zechcę. Nie muszę się martwić o konsekwencje. Utrzymaj ją w takim stanie, dopóki nie wrócę.

- Oczywiście - przytaknął Takashi O'Brien, posłuszny sługa. - O ile nie będzie panu przeszkadzał fakt, że to resztki po Madsenie.

Madsen? Kim jest Madsen? - zastanawiała się Genevieve. Wie. Przypomniała sobie. Powinna otworzyć oczy, powiedzieć im, że wszystko słyszy, ale ktoś zaszył jej powieki i położył na nich coś ciężkiego.

Stali koło łóżka. Stali tuż nad nią. Bardzo blisko. Nie musiała ich widzieć, żeby wiedzieć. Harry odchrząknął z niesmakiem.

- Masz rację, Jack - przytaknął. - Zawsze masz rację. Nie chcę resztek. Co ja bym bez ciebie zrobił, Jack? Ratujesz mnie przed tyloma pomyłkami. Gdyby nie ty, nie bawiłbym się tak dobrze. Kto wie, może w ogóle już nic by mnie nie bawiło.

I znowu nie musiała widzieć, by wiedzieć, że w tym momencie O'Brien uklonił się z należną rewerencją, co Harry przyjął ze śmiechem.

- Za to was Japończyków właśnie lubię. Bez przerwy się kłaniacie, nie dyskutujecie bez potrzeby i wiecie, co to lojalność. Wiesz, kto tutaj jest panem i gotów byłbyś oddać za mnie życie, gdyby zaszła potrzeba.

- Oczywiście.

- Zajmij się nią. Możesz się zabawić, jeśli nie jesteś zbyt wybredny, tylko pamiętaj, pozbądź się potem ciała. Żadnych śladów. Nie mogą jej znaleźć. Mam teraz mnóstwo spraw na głowie, nie chcę żadnych dodatkowych kłopotów. Zainwestowałem mnóstwo pieniędzy w swoje ostatnie przedsięwzięcie, nie mogę pozwolić sobie na niespodzianki. Jeden fałszywy ruch i cała koncepcja runie, stracę miliony dolarów. A ja bardzo lubię pieniądze, Jack.

- Tak jest, sir.

Genevieve wiele by dała, by otworzyć oczy i móc zobaczyć jego twarz, ale spowijała ją gęsta mgła. Wszystko mi jedno, pomyślała w końcu z rezygnacją. Jeśli Takashi O'Brien zamierza mnie zabić, to zabije. Nic nie mogła zrobić, co najwyżej ukryć się pod łóżkiem. Śmieszne, żalosne. Nie miała nawet siły otworzyć oczu, co dopiero walczyć o życie.

Ktoś nachylił się nad nią i poklepał delikatnie po ramieniu.

- Mówiłem ci, żebyś nie piła herbaty - powiedział cicho i jego głos zabrzmiał wyjątkowo kojąco po koszmarnych monologach Harry'ego.

Kiedy Takashi odszedł, zapadła w ciężki, narkotyczny sen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Musiała być północ, chociaż Gene nie potrafiła powiedzieć, skąd ta pewność. W luksusowej sypialni nie było żadnego zegara, a jej patek zniknął razem ze wszystkimi rzeczami, które miała na sobie. Zniknęła również znaleziona przez Harry'ego kartka, którą zostawił jej Peter przed opuszczeniem wyspy.

Nie powinno jej to martwić. Ot, krótki, pospiesznie nagryzmołony liścik, bez podpisu, bez jednego ciepłego słowa, ale stanowił pamiątkę po Jensenie.

Usiadła na łóżku. Narkotyk podany w herbacie przestał działać, pozostawiając ją w stanie lekkiego oszołomienia. Zsunęła się z łóżka i stanęła niepewnie na nogach.

Spojrzała na siebie. Koronki... Harry zaopatrywał wszystkich swoich gości w koronki. Wszystkie kobiety, które przewijały się przez jego dom, dobrowolnie i nie... W komodzie znalazłaby zapewne podobną kolekcję bielizny jak ta, wśród której przyszło jej wybierać na wyspie. Skąpe staniki, jedwabne stringi.

Przeszła przez mroczny pokój, stawiając coraz pewniej kroki i zatrzymała się przy oknie.

Dom stał na skale nad oceanem, nie wiedziała tylko, nad którym. Widziała jakieś statki, ale bez okularów ich sylwetki zacierały się przed oczami. Nie było mowy, żeby dojrzała bandery na rufach. Zresztą co powiedziałyby jej bandery? Statki, jak wiadomo, mają to do siebie, że przemieszczają się swobodnie po całym świecie. Odwróciła się od okna. Poczowała nieprzyjemne pieczenie i ucisk w żołądku. Zapewne jeszcze jeden efekt narkotycznego odurzenia.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to głód. Okropny, dojmujący głód. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła. Harry twierdził, że utrzymywali ją w

śpiącze trzynaście dni, co oznaczało, że odżywiano ją wyłącznie przy pomocy kroplówek. Dotknęła włosów. Były świeżo umyte. W ogóle musiała być starannie myta i pielęgnowana, kiedy leżała nieprzytomna. Czyżby Takashi się nią opiekował? Nie, skąd ta absurdalna myśl? W domu była przecież służba. W każdym razie źle by się czuła, wiedząc, że kiedy była nieprzytomna, zajmował się nią mężczyzna.

Ani w pokoju, ani w łazience nie było żadnego lustra. Widać nie sypiały tu dbałe o wygląd modelki, które Harry zwykł gościć.

Nie miało to większego znaczenia. Dopóki mogła zadbać o czystość, nie musiała mieć lustra.

Usłyszała czyjeś kroki i położyła się szybko do łóżka, przykryła szczelnie i zamknęła oczy. Instynktownie wiedziała, że to nie Harry. Od Harry'ego na odległość czuło się zło. Pomyśleć, że chciała go ratować, narażając własne życie. A on teraz skazywał ją na śmierć. Chory, zwyrodniały człowiek, psychopata, którego należałoby izolować.

Dlaczego do diabła wszyscy chcą ją zabić? Najpierw ten napad w Auburn, potem Peter Jensen, dalej Renaud. Przynajmniej Peter nie angażował się osobiście, dla niego była to wyłącznie pewna procedura, rozkaz do wypełnienia. Uprzejmy profesjonalista, niech go szlag trafi. W końcu tego nie zrobił, mimo że rzecz wydawała się dziecinnie prosta.

A teraz stary, poczciwy Harry Van Dorn uparł się usunąć ją z tego świata. Jego fagas zapewne nie cofnie się przed wykonaniem polecenia szybko i sprawnie, ponieważ...

A może popełniła błąd? Może powinna rozegrać z Harrym Van Dornem jakąś grę? Ale w Harrym było coś odstręczającego, śliskiego, czuła to instynktownie, chociaż nie potrafiła racjonalnie wytłumaczyć. Miała wrażenie, że posuwa się na oślep. O ile w ogóle się posuwała. Należałoby raczej powiedzieć, że tkwi w potrzasku, bez żadnej drogi wyjścia.

Podjęła dla tego śmierdzącego sukinsyna najwyższe ryzyko, nie mogąc pogodzić się z tym, że jakiś samozwańczy wymiar sprawiedliwości uosabiany przez tajemniczy Komitet wydał na niego wyrok śmierci. Nikt nie ma prawa zabijać innych, choćby byli najgorsi. Znalazła się wybawicielka uciśnionych, pomyślała z goryczą i mocniej zacisnęła powieki.

Popelniła wielki błąd. Czyżby miała zginąć? Jeśli tak, będzie walczyła. Nie należała do ludzi, którzy łatwo się poddają. Nie ustępowała pola, nawet kiedy rozsądek podpowiadał jej, że należy zrezygnować.

Rozpoznała stłumione głosy. To Takashi rozmawiał z Ahn w języku, którego nie potrafiła zidentyfikować. W pewnym momencie Takashi zwrócił się bezpośrednio do niej:

- Nie śpi pani?

W pierwszej chwili chciała udąć, że owszem, śpi, ale Takashi był zbyt spostrzegawczy. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty pozwolić, żeby poderznął jej gardło, kiedy ona leży spokojnie z zamkniętymi oczami.

Nie, O'Brien tego nie zrobi. Harry wyraźnie powiedział: żadnych śladów. Poderżnięcie gardła to brudna i krwawa robota.

Jak długo żyje człowiek, któremu przetną tętnicę szyjną? Biega jeszcze w kółko, niczym kurczak bez głowy, brocząc krwią? Czy zasypia spokojnie i odchodzi w niebyt?

Nie zamierzała tego sprawdzać osobiście. Otworzyła oczy, udając, że nie może na niczym skupić spojrzenia, że ciągle jest na wpół przytomna, ale doskonale widziała Takashiego i Ahn, nie dostrzegła tylko noża... ani żadnej innej broni.

Pojawiła się natomiast kolejna filiżanka herbaty. Czy Takashi naprawdę ją ostrzegał, czy tylko to sobie uroiła? Dziw prawdziwy, że w ogóle jeszcze potrafiła myśleć po tej ilości środków odurzających, jaką jej zaaplikowali w ciągu ostatnich dwóch tygodni. A teraz herbata...

- Ty pije - powiedziała Ahn.

Genevieve chciała uniknąć za wszelką cenę piekielnej herbaty, która na kilka godzin zbijała skutecznie z nóg. Zamknęła oczy i mruknęła bardzo przekonująco:

- Spać.

Ahn była mała, szczuplutka, ale, jak się okazało, niezwykle silna. Wsunęła rękę pod plecy Genevieve i uniosła ją do pozycji siedzącej.

- Ty pije - powtórzyła z uporem.

Nie chcąc pozwolić, żeby Ahn poila ją siłą, Gene wzięła od niej filiżankę. Ahn stanęła nad nią i wbiła w nią przenikliwe spojrzenie. Czekala. I wtedy Takashi zagadał coś do niej i odciągnął na bok, dając Genevieve bezcenną chwilę swobody.

Tego właśnie było jej trzeba. Nachyliła się i szybko wylała zawartość filiżanki za łóżko, na grubą wykładzinę. Kiedy Ahn odwróciła się do niej, udawała, że dopija ostatni łyk herbaty, niby to wstrząsając się lekko na jej gorzki, ziołowy smak.

Ahn się nie zorientowała, ale Takashi widział wszystko i nie zareagował. Oto chwila prawdy, pomyślała Genevieve, oddając filiżankę Ahn i osuwając się na poduszki.

Takashi powiedział coś do Ahn, ta skinęła głową, wyraźnie zadowolona. Genevieve usiłowała sobie przypomnieć, jak szybko narkotyk zaczął działać ostatnim razem, ale wszystko spowijała mgła, pamięć zawodziła. Reakcja organizmu była chyba dość szybka, niemal natychmiastowa. Gene zamknęła oczy i leżała spokojnie, usiłując odprężyć wszystkie mięśnie. Takashi podszedł do łóżka.

- Panno Spenser? - Nie zareagowała. Czula, że zbliża dłoń do jej twarzy, ale nadal leżała spokojnie. Nie drgnęła nawet, kiedy dotknął policzka, a potem uniósł na moment powiekę.

- Śpi pani, to dobrze - stwierdził. - Będzie pani spała przez następnych dwanaście godzin, a ja tymczasem zdecyduję, jak się pani pozbyć. Nikt nie będzie tutaj zaglądał. Zostawiamy panią samą.

Kolejne ostrzeżenie, sformułowane jasno i czytelnie. Genevieve posłusznie udawała, że śpi.

Słyszała jeszcze, jak Takashi wydaje Ahn cały szereg poleceń. Kobieta protestowała, sądząc z tonu jej głosu, ale Takashi ucinał jej obiekcje surowym głosem. Po chwili oboje wyszli, zostawiając Genevieve samą.

Otworzyła oczy i usiadła w pościeli. Takashi, który miał wykonać egzekucję, najwyraźniej był po jej stronie, starał się pomóc. Może jednak nie wszystko stracone i uda się jej wydostać z pułapki...

Jeśli się uda, czy Takashi zapłaci głową za jej ucieczkę?

Podeszła do drzwi i ostrożnie nacisnęła klamkę, niepewna, czy Ahn nie waruje przypadkiem na korytarzu. Tak jak mogła się spodziewać, drzwi były zamknięte na klucz. Okien też nie dało się otworzyć, a w pokoju działała klimatyzacja. Żadnej drogi ucieczki. Nie pozostawało jej nic innego jak pokładać nadzieję w asystencie Harry'ego Van Dorna. I wierzyć, że Harry popełnił błąd, zatrudniając Takashiego O'Briena, tak jak pomylił się w przypadku Petera Jensena.

Nie, to niemożliwe. Harry mówił przecież, że Takashi O'Brien pracuje u niego od kilku lat, dokładnie od trzech, to zbyt długo jak na kogoś, kto wykonuje tajne zadanie.

Musiała mu zaufać, nie miała innego wyboru. Uwięziona w tym szczelnie zamkniętym pokoju mogła liczyć tylko na Takashiego.

Drepczyło ją paskudne przeczucie, że może się straszliwie zawieść na swojej naiwnej wierze w tajemniczego asystenta.

Peter Madsen nigdy jeszcze nie występował w roli rycerza na białym koniu i czuł się w niej mocno nieswojo. Owszem, byli w Komitecie tacy, którzy specjalizowali się w ratowaniu różnych znaczących osób z najgorszych opresji,

ale on akurat nigdy nie wykonywał tego rodzaju zadań. Nie ratował życia, tylko był posłańcem śmierci. Likwidował ludzi, którzy na to zasłużyli. Taką przynajmniej miał nadzieję.

I oto teraz zamierzał postawić wszystko na jedną kartę dla niemądrej dziewczyny, która miała wyjątkowy talent do pakowania się w kłopoty. Gdyby trzymała się ściśle jego wskazówek i wykorzystała szansę, którą stworzył jej na wyspie Harry'ego Van Dorna, teraz byłaby w Nowym Jorku, spacerowała spokojnie po Manhattanie i może nawet nie pamiętałaby już o karaibskim koszmarze. Zafundowałaby sobie wygodną amnezję wspomaganą najdroższymi lekami, zbijałaby pieniądze w swojej kancelarii adwokackiej i kupowała kolejne kostiumy Armatniego oraz pantofle Blahnika. Być może nikt by jej nawet nie zapytał, jak spędziła urlop.

Spieprzył robotę, bo zapomniał o priorytetach. Kiedy pojawiła się na horyzoncie, powinien ją zignorować, nie zawracać sobie nią głowy. Tymczasem, nawet jeśli niechętnie się do tego przyznawał, Genevieve wysunęła się na pierwszy plan. Stała się ważniejsza niż zadanie, które miał wykonać, ważniejsza niż Harry Van Dorn, ważniejsza w końcu niż jego własne bezpieczeństwo. W efekcie całą akcję diabli wzięli.

Trzydzieści osiem lat to trochę za wcześnie, żeby przeżywać kryzys wieku średniego. Z drugiej strony, w tego rodzaju robocie człowiek szybko się starzeje. Zgłupiał kompletnie, a powinien zachować czujność i przenikliwość.

Teraz będzie musiał posprzątać. Naprawić błędy, które popełnił.

Harry Van Dorn nic go już nie obchodził. Miał gdzieś Harry'ego i jego chore plany. Ktoś inny zajmie się draniem. Ktoś, komu nie zawróci w głowie pyskata prawniczka z Nowego Jorku.

A on? Będzie zdany na siebie. Tak jak powiedziała madame Lambert, Komitet mu nie pomoże. Zdawał sobie z tego sprawę, nie musiała go ostrzegać. To jego prywatne zadanie. Wolał się nie zastanawiać, czy rzeczywiście chce tylko naprawić popełnione błędy, czy też kierują nim bardziej osobiste pobudki.

Schodził do podziemi zejściem o wilgotnych ścianach, pod nogami czuł śliskie, nierówne kamienne stopnie. Byłoby zabawnie, gdyby teraz się potknął i skrzył sobie kark. Slapstickowe zakończenie ponurego żartu, jaki zgotowało mu życie.

Rycerz na białym koniu spieszący na ratunek damie w opresji, pomyślał. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać ponownie Genevieve Spenser. A jednak go tu przyniosło, na drugi kraniec świata.

Thomason wysłałby go za dziewczyną z rozkazem zabicia jej. Isobel Lambert pozostawiła decyzję Peterowi. Wszystko w tej sprawie było nietypowe. Nietypowe dla niego, nietypowe dla Komitetu, nietypowe dla ludzi, z którymi pracował. Renaud był ostatnim człowiekiem, którego podejrzewałby o zdradę, a jednak Van Dornowi udało się go kupić.

Zszedł na sam dół, zgasił latarkę, schował ją do kieszeni i oparł się o zimną, wilgotną ścianę. Czekał na swoją damę w opresji.

Co on tu do diabła robi? Działa wbrew instynktowi, wbrew zdrowemu rozsądkowi, porywa się na szaleństwo, a wszystko dla kogoś, kto tak naprawdę nic go nie obchodził. Gdyby nie był w takim paskudnym nastroju, śmiałyby się z siebie, z absurdałnej sytuacji.

Cóż, w tej chwili pozostawało mu tylko czekać. I przeklinać własną głupotę.

Kiedy zapadł zmrok, nie zapaliła światła. To byłby błąd. Trudno przecież, żeby osoba znajdująca się pod wpływem środków odurzających zapalała światło w swoim pokoju.

Nie mogła dłużej uleżeć w łóżku. Wstała, ale bacznie nasłuchiwała, co dzieje się za drzwiami, gotowa na pierwszy odgłos kroków wskoczyć z powrotem pod kołdrę i udąć, że śpi.

Jeśli ma się stąd wydostać, jeśli w ogóle się to uda, to dzisiaj. Jakoś nie mogła uwierzyć, że tak się stanie i że za kilka godzin, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie siedziała w samolocie lecącym do Stanów. To nie takie proste.

Prędzej czy później Harry zażąda dowodów, że Genevieve Spenser rzeczywiście nie żyje.

A może O'Brien zakpił z niej okrutnie, może to jakiś sadystyczny, starannie obmyślany, koszmarny żart. Jest przekonana, że wreszcie wydostanie się na wolność, tymczasem czeka ją śmierć.

Zaczynam wpadać w paranoję, pomyślała. Doprawdy śmiechu warte, tyle tylko że nie ma nic śmiesznego w świadomości, że ktoś naprawdę chce cię zabić. W pewnym momencie, żyjąc w ustawicznym zagrożeniu, człowiek traci poczucie rzeczywistości. Nawet jeśli Takashi O'Brien chciał ją zwieść, nie miała żadnego wyboru, musiała zdać się na niego i ufać, że asystent Van Dorna działa w dobrej wierze.

Położyła się z powrotem do łóżka. Po chwili drzwi się otworzyły i ktoś wślizgnął się do pokoju. Poczowała na twarzy coś miękkiego, jedwabistego. Przez chwilę myślała, że przyszedł ją udusić.

- Załóż to - doszedł ją ledwie słyszalny szept O'Briena. Zdjęła z twarzy miękki materiał i usiadła na łóżku.

- Ale... - zaczęła.

- Nic nie mów! - Znowu ledwie słyszalny szept. Zamilkła posłusznie.

O'Brien cofnął się. Dojrzała pomimo mroku, że odwrócił się plecami. Najwyraźniej czekał, aż się przebierze. Nie oponowała. Jakie to miało znaczenie? Musiał widzieć ją przecież prawie naga, kiedy leżała nieprzytomna.

Przyniósł jej czarną jedwabną piżamę. Dziwny strój, z drugiej strony całkiem rozsądnie wybrany, bo uczyni ją niewidoczną w mroku. Z ulgą pozbyła się koronek, w które ją wystroili. Nigdy nie lubiła koronek i falbanek. W domu sypiała zwykle w ogromnym T-shircie.

Piżama musiała należeć do Harry'ego. Jedwab był tak delikatny, że ledwie go czuła na ciele. Rękawy i nogawki były za długie, ale w tej chwili nic nie mogła na to poradzić. Zapięła górę piżamy pod samą szyję i O'Brien odwrócił się, jakby wyczuł instynktownie, że już się przebrała.

Przypominał jej Petera. Ta sama spokojna czujność, równie wyostrzone zmysły. Czyżby też był agentem tajemniczego Komitetu? Stał po stronie dobra czy zła?

Skoro postanowił ją ratować, to chyba był po dobrej stronie.

Pchnął ją na łóżko i związał jej dłonie. Nie pytała dlaczego. Nie musiała pytać. Rzecz wydawała się oczywista. Gdyby po drodze natknęli się na kogoś ze służby, ich widok nie obudziłby żadnych podejrzeń. Ot, sekretarz prowadzi gdzieś przetrzymywaną przez pana Van Dorna kobietę.

Siedziała spokojnie, gdy zaplatał zręcznie jej włosy w gruby warkocz. Wzwał jej jakieś pantofle na nogi i pociągnął, by wstała.

Zobaczyła w jego ręku kawałek materiału. Miał zamiar ją zakneblować. Cofnęła się, kręcąc zawzięcie głową, ale O'Brien był szybszy. Nie zwracając uwagi na jej protesty, związał jej chustkę na twarzy.

Brakuje tylko smyczy, na której by mnie poprowadził jak psa, pomyślała ze złością. Gdyby nie knebel na ustach, pewnie rzuciłaby pod jego adresem kilka obelżywych komentarzy.

Wyszli z pokoju, w którym przetrzymywano ją tak długo, i ruszyli powoli wąskim i mrocznym korytarzem.

Szli tak długo, że straciła zupełnie poczucie kierunku. Nie potrafiłaby już wrócić do swojego pokoju. Mijali kolejne drzwi, których nie potrafiła zliczyć, pokonywali schody i znowu zagłębiali się w jakieś korytarze. W końcu znaleźli się gdzieś, gdzie pachniało oceanem i wilgocią.

O'Brien pchnął ją do środka i zamknął drzwi. Zdążyła jeszcze w smudze światła zobaczyć wiodące w dół schody i pograżyli się w zupełnych ciemnościach, niczym w zimnym grobowcu. Zawsze bała się zamkniętych przestrzeni, ale siłą woli powstrzymała atak paniki. Nie mogła sobie teraz pozwolić na histerię, tym bardziej z kneblem na ustach. Wciągnęła głęboko powietrze przez nos i oparła związane dłonie na ramieniu O'Briena. Zaczęli powoli schodzić do podziemi.

Pomyślała, że powinna liczyć stopnie, cokolwiek, byle tylko nie myśleć o otaczających ją atramentowych ciemnościach.

Dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie wykute w skale. Liczyła je skrupulatnie, starając się zapomnieć o wszystkim innym i skupić wyłącznie na schodzeniu w głąb ziemi. Być może szła jednak na śmierć... Lepiej liczyć stopnie niż myśleć o swoim losie. Dwieście siedemdziesiąt trzy...

Straciła poczucie czasu, poczucie przestrzeni, poczucie rzeczywistości. Były tylko wiodące w dół, kręte schody. I był O'Brien, który wyprowadzał ją na wolność. Albo wiódł na stracenie.

Kiedy stanęli na dole, kręciło się jej w głowie. Zachwiała się. Zabłysła zapalka i Genevieve spojrzała prosto w lodowate oczy Petera Jensena. A potem zobaczyła, wszystko to działo się w ułamku sekundy, że Peter podchodzi do niej z nożem w dłoni.

A więc jednak przyjdzie jej zginąć z rąk człowieka, który parł się zawodowo zadawaniem śmierci. Przeżył i zamierzał wykonać zadanie, którego nie wykonał na karaibskiej wyspie.

Nie miała już siły walczyć. Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na ziemię.

Harry Van Dorn rzadko pozwalał sobie na wybuchy wściekłości, ale tym razem był gotów ciskać pioruny. Wziął głęboki oddech, upił łyk starego, szlachetnego burbona i powiedział sobie, że chyba przesadza. Miał wrażenie, że wszystkie jego plany się sypią, ale przecież to nieprawda. Tak mogło się wydawać, owszem, ale patrząc na sytuację chłodno i obiektywnie, musiał przyznać uczciwie, że to tylko drobne utrudnienia. Kilku pieprzonych inspektorów przysłanych przez ministerstwo i dwa oddziały do zadań specjalnych nie są przecież w stanie pokrzyżować mu planów.

Zamknęli mu kopalnię diamentów w Południowej Afryce i wysłali robotników na trzytygodniowy urlop. Powód? Kontrola warunków pracy. Bzdura. Doskonale wiedział, że nikogo nie obchodzą warunki pracy w

kopalniach. Nikt nigdy nie interesował się bezpieczeństwem górników. Ludzie ginęli, a na miejsce każdego, który nie miał szczęścia, czekało dziesiątki innych. Wydawanie pieniędzy na poprawę bezpieczeństwa oznaczało zmniejszenie dochodów, to oczywiste. Tak czy inaczej było już jasne, że kopalnia nie wyleci w powietrze. -

Mógł skreślić ze swojej listy siedmiu katastrof trzecią z nich, a czas uciekał. Nie należał do tych, którzy potrafią zmieniać plany stosownie do okoliczności. Gdy natrafiał na przeszkody, parł przed siebie z siłą buldożera. Jeśli chciał rozpocząć swój spektakl nieszczęść w oznaczonym terminie, nie miał wielkiego wyboru.

Realizacja Zasady Siódemki stawała pod znakiem zapytania. Nie mógł do tego dopuścić. Nie pójdzie na żadne kompromisy. Za pieniądze można kupić absolutnie wszystko. Nie, nic nie będzie zmieniał. Za późno już na zmiany.

Zasada Siódemki była prosta: ptasia grypa w Chinach, zapora w Mysore, kopalnia diamentów w Południowej Afryce, pola naftowe w Arabii Saudyjskiej, obóz Auschwitz w Polsce, londyński Parlament, Waco, Columbine i Oklahoma City w Stanach.

Ciągle jeszcze istniała nadzieja. Musiał zrezygnować z zapory, z kopalni i z pól naftowych, ale o pozostałych czterech projektach nikt nie wiedział i Harry robił w tej chwili wszystko, by nikt się nie dowiedział. Akcje w Stanach, liczone dotąd jako jedna, można było równie dobrze uznać za trzy odrębne akcje, co oznaczało, że ma szansę zrealizować sześć katastrof, sześć spektakli śmierci.

Nie mógł jednak poprzestać na szóstce. Siedem to siedem. Musi być siódemka, to jego ulubiona liczba. A plan był taki piękny, klarowny, poświęcił tyle czasu, układając go, pozyskując ludzi do jego realizacji w każdym z wybranych miejsc. Jakiegokolwiek zmiany będą oznaczać zwłokę, zamieszanie, a on nienawidził chaosu. Było też za późno, żeby szukać nowych ludzi, tworzyć nową siatkę wykonawców. To on miał ostatecznie decydować o wszystkim, panować nad całością, wydawać polecenia. Ci dranie z Komitetu pokrzyżowali

mu plany, przeszkodzili w ich realizacji. I co teraz? Miałby zrezygnować? Pogodzić się z przegraną?

Los jednak mu sprzyjał, pomimo wszystko. Jak zawsze. Los uosobiony w nieżyjącym już Renaudzie i mającej wkrótce umrzeć Genevieve Spenser. Zabiłby ją chętnie sam, ale Jack miał rację, sugerując inne rozwiązanie. Tak będzie lepiej. On za bardzo się podniecał, kiedy zadawał ból i śmierć. Niech Jack go wyręczy.

Potrzebował jeszcze jednej wspaniałej katastrofy, żeby odzyskać swoją magiczną Siódemkę i pogrążyć świat w chaosie. Wybrał Waco, Columbine i Oklahoma City ze względu na daty nieszczęść, do których tam doszło. Rocznicowe daty. Jedenasty września nie interesował go z tych właśnie powodów. Z tych i z jeszcze innych. Nie, nic co byłoby aluzją do ataku na WTC, nie wchodziło w rachubę.

Waszyngton był zbyt dobrze strzeżonym miastem, by Harry w krótkim czasie mógł coś zaaranżować. Zamach na prezydenta? Bez sensu. Harry wyłożył na jego kampanię mnóstwo pieniędzy, miał do niego łatwy dostęp, ale stary kumpel z Teksasu bardziej był mu przydatny żywy niż martwy.

Jeszcze jedna katastrofa, jeden atak terrorystyczny, akt sabotażu, który dopełniłby całości.

Jakaś elektrownia atomowa w Rosji? Pominął w swoim pierwotnym planie Amerykę Południową... Może tam należałoby czegoś poszukać?

A może coś niewielkiego, osobistego i wystarczająco obrzydliwego. Amerykanie są bardzo czuli na punkcie wszelkich krzywd zadawanych dzieciom. Chore dzieci? To niezły pomysł...

Nalał sobie kolejną szklaneczkę burbona.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Peter Jensen dźwignął Genevieve i postawił na nogi. Wyglądała strasznie: podkrążone oczy, blada cera, wymizerowana twarz.

- Wygląda koszmarnie - powiedział, rozcinając więzy kępujące nadgarstki. - Co wyście do cholery z nią zrobili? Myślałem, że uda ci się chronić ją przed Van Dornem.

- Harry jej nie tknął. Może dotąd nie zauważyłeś, ale to wyjątkowo uparta kobieta. Z trudem przyjmuje do wiadomości wskazówki, których jej człowiek w najlepszej wierze udziela.

- To prawda - przyznał Peter i raptem się zachnął: - Po co knebel? - Chciał go zdjąć, ale słowa Takashiego go powstrzymały.

- Ostrzegałeś mnie, że jest strasznie pyskata. Uznałem, że będzie mi łatwiej doprowadzić ją tutaj, jeśli nie będę musiał słuchać przez całą drogę jej narzekań i złośliwości.

Peter zawahał się. Genevieve posłała mu wściekłe spojrzenie i nie wiedział, czy powinien się cieszyć, że doszła do siebie po krótkim omdleniu.

- Słusznie. Może jednak lepiej nie zdejmować tego knebla.

Genevieve cofnęła się i zaczęła sama rozwiązywać knebel. Znowu zaczynała walczyć, wściekać się, stawiać opór i przysparzać kłopotów.

Takashi dobrze zawiązał knebel i byle prawniczka z Nowego Jorku nie miała prawa sobie z nim poradzić. To oczywiste.

- Opuść ręce, bo obetnę ci palec - powiedział Peter, przecinając węzeł. Rzucił wymowne spojrzenie Takashiemu. Jedwabne chustki, którymi Takashi skrępował ręce i zakneblował usta Genevieve, musiały pochodzić z bogatej kolekcji Harry'ego Van Dorna. Jedwab był cienki, delikatny, ale niezwykle mocny. Ofiara w żaden sposób nie mogła uwolnić się z więzów. Wszelkie wysiłki z jej strony sprawiały, że węzły zaciskały się jeszcze bardziej.

Knebel opadł na podłogę i Genevieve natychmiast otworzyła usta.

- Ty sukinsynu! - zaczęła.

- Ja też cieszę się niewymownie, że żyjesz oraz jesteś cała i zdrowa - warknął Peter. - A teraz zamknij się z łaski swojej i pozwól się stąd wyprowadzić. Będę zobowiązany.

- Zostawiam ją w twoich rękach - mruknął Takashi O'Brien.

- Van Dorn nie będzie cię podejrzewał? Przepraszam, głupie pytanie. Na pewno zadbałeś o wszystko. Dzięki za pomoc z tym tutaj.

- Mnie nazywasz „tym tutaj”? - Genevieve poczuła, że gotuje się z wściekłości. Protekcyjność, lekceważenie, niewybredne dowcipy na jej temat... Miała tego serdecznie dość. To, że Jensen pofatygował się ją ratować, nie oznaczało, że może ją obrażać niczym pierwszy lepszy prostak.

- Zamknij się - warknął ponownie. - Jeśli chcesz się stąd wydostać, nie odzywaj się. Takashi i ja nadstawiamy dla ciebie karku.

- Jakoś nieszczególnie obchodzi mnie twój kark ani to, że zechciałeś uprzejmię go nadstawić - oznajmiła wyniośle i pełnym godności ruchem poprawiła zbyt obszerną piżamę z czarnego jedwabiu. - Panu O'Brienowi natomiast należy się moja najgłębsza wdzięczność.

- Ależ nie! - wykrzyknął Takashi i na jego twarzy odmalowało się coś na kształt przerażenia. - Wyświadczyłem tylko przysługę przyjacielowi. To naprawdę nic wielkiego.

- Nadal nie jesteśmy bezpieczni - odezwał się Peter. - Zamknij się w końcu, proszę, i słuchaj moich poleceń, a może uda się nam przeżyć.

Dobry agent to agent, który w każdej sytuacji potrafi zachować kamienną twarz, Takashi był bardzo dobrym agentem, jednym z najlepszych, a jednak Peter miał wrażenie, że widzi w jego oczach iskiereki autentycznego rozbawienia.

- I kto by to pomyślał... - mruknął.

- Kto by co pomyślał? - zapytał natychmiast Peter, a w jego głosie zabrzmiała uraza.

Ale Takashi już zniknął, odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, zostawiając go sam na sam z wrzącą gniewem Genevieve Spenser.

On też nie miał szczególnych powodów do zadowolenia, był tylko znacznie powściągliwszy od damy, którą postanowił ratować.

- Uspokoisz się wreszcie i będziesz mnie słuchała, czy mam cię tu zostawić na pastwę goryli słodkiego Van Dorna?

- Nie jestem pewna, co lepsze.

- Jeśli do tej pory nie potrafiłaś odpowiedzieć sobie na to podstawowe pytanie, to znaczy, że mocno przeceniłem twoją inteligencję. Chcesz, idź ze mną, nie chcesz, zostań. Rób, co ci się podoba, ja w każdym razie wychodzę.

Poszła z nim, oczywiście. Ani przez chwilę w to nie wątpił, ale przekłeta duma kazała się jej opierać, przynajmniej zachować pozory oporu.

Po tygodniach leżenia w łóżku zejście do podziemi było dla Gene ogromnym wysiłkiem. Teraz musiała wspinać się po śliskich, stromych stopniach w górę. Peter z największą trudnością dostosowywał swoje tempo do jej kroków. Nie mógł pozwolić, żeby się wlekli. Powinni jak najszybciej znaleźć się na powierzchni, jak najdalej od domu. Musiał kompletnie zwariować, postanawiając wyrwać ją z łap Van Dorna. Nigdy w życiu nie zrobił nic równie idiotycznego.

Genevieve była bardzo zmęczona i nie starczało jej energii, żeby mu docinać. Przynajmniej miał spokój, co nie znaczyło, że opuściła ją zwykła hardość, po prostu była zbyt wyczerpana na utarczki. Lubił, kiedy się złościła, kiedy nie pozwalała sobą dyrygować. To były cechy, które chyba najbardziej w niej cenił - upór, niezależność i wola walki.

Gdyby była cichą i potulną kobietką, pewnie nie zawracałby sobie nią głowy, nie prosiłby O'Briena o pomoc i zostawił ją własnemu losowi. W końcu

sama sobie była winna, wpakowała się w tarapaty, bo nie skorzystała z szansy ratunku, którą jej podsunął, opuszczając wyspę.

Takashi wyświadczył mu ogromną przysługę. Mógł wykonać polecenie Harry'ego. Nikt nie miał obowiązku troszczyć się o Genevieve Spenser. Z wyjątkiem jego, Petera Jensena, smutnego idioty, który spieprzył zadanie.

Mam teraz, na co zasłużyłem, pomyślał, zwalniając po raz kolejny. Genevieve ledwie za nim nadażała, nie miała już sił. Po prostu płaci za swoje błędy. Po dwudziestu latach pracy powinien wiedzieć, że w czasie wykonywania zadania nic nie może go rozpraszać.

Ba, łatwo powiedzieć. Ani wieloletnie doświadczenie, ani profesjonalne wykształcenie nie przygotowały go przecież na spotkanie z kimś takim jak Genevieve Spenser, najniebezpieczniejsza kobieta, jaką zdarzyło mu się kiedykolwiek poznać. Groźna nawet bez broni. W każdym razie groźna dla niego. Takashi okazał jej serdeczne współczucie, Bastien zapewne by ją zignorował, a on wyszedł ze spotkania z nią emocjonalnie poharatany.

Zachwiała się na śliskim stopniu, ale chwycił ją błyskawicznie, wyrzucając rękę za siebie, zanim zdążyła stoczyć się w dół i skrócić kark. Pomimo panującego wokół mroku mógł dojrzeć jej oczy, pełne bólu, ale i złości.

To dobrze, pomyślał. Dopóki ma wolę walki, ma też szansę przeżyć.

Dotarli wreszcie na szczyt schodów i stanęli na niewielkim podeście.

- Trzymaj głowę opuszczoną, nie podnoś głosu i dobrze uważaj na moje znaki, jeśli nie chcesz, żebyśmy oboje marnie zginęli. Miejsce jest co prawda dobrze zamaskowane, ale w pobliżu mieszka zbyt wielu ludzi, żeby można czuć się zupełnie bezpiecznie.

- Nie ubierzesz mnie w burkę i czarczaf? A może założysz mi knebel? Na wszelki wypadek? - wycodziła szeptem.

Jak dobrze znał ten ton.

- Ufam ci.

Zaskoczona zamilkła. Na moment, bo po chwili znowu nabrała ochoty do kłótni.

- Nie mogę powiedzieć tego samego. Nie ufam ani tobie, ani twoim przyjaciółom. Nie ufam samozwańczym strażnikom ładu. To jakaś groźna bzdura. Wsadź mnie w samolot lecący do Nowego Jorku i zniknij na zawsze z mojego życia.

W jej słowach nie było nic śmiesznego, a jednak Peter się zaśmiał.

- Niczego bardziej nie pragnę, ale ty ciągle ładujesz się w kłopoty. Zdecydowanie utrudniasz mi zniknięcie. Nie możesz w tej chwili wrócić do domu. Takashi jest świetnym agentem, ale Harry będzie go sprawdzał, będzie chciał dowodu, że nie żyjesz. Jak wiadomo, dowodu nie ma. Kto wie, co Harry'emu może wpaść do głowy. Niewykluczone, że każe obserwować twoje mieszkanie.

- Ukryję się, nie będę wychodziła z domu. Nikt się nie domyśli, że wróciłam. - W jej głosie brzmiała błagalna nuta. - Będę zamawiać jedzenie przez telefon. Nikt się nie zorientuje... - powtarzała.

- Jasne, nikt się nie zorientuje, poza portierem, ludźmi, którzy będą dostarczali jedzenie oraz tymi, którzy będą obserwowali budynek. A będą obserwowali, możesz mi wierzyć. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce, gdzie przeczekaasz jakiś czas. Nie kłóć się ze mną i nie utrudniaj, bardzo cię proszę.

- Komu mam nie utrudniać? Tobie?

- Komu? - powtórzył, tłumiąc śmiech. Precyzyjna na swój prawniczy sposób nawet w najtrudniejszych sytuacjach. - Sobie masz nie utrudniać - wyjaśnił cierpliwie. - Zamknij się, bo naprawdę zrobię ci w końcu krzywdę.

- Grozisz mi śmiercią od chwili, kiedy mnie zobaczyłeś. To zaczyna być trochę męczące.

- Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, byłem dyskretnym asystentem Van Dorna, szarą zjawą, jak to sama określiłaś. Nie groziłem ci wtedy śmiercią, chociaż miałem ochotę cię zabić.

- Zabierz mnie stąd. Zabierz mnie w jakieś bezpieczne miejsce i zostaw samą. Marzę, żeby wreszcie się od ciebie uwolnić. Nie powiem już ani słowa, tylko zniknij jak najszybciej.

- Nie mogę się doczekać. A teraz bądź cicho i idź za mną, rozumiesz?

- Tak jest, mój panie i władco.

Ta kobieta jest naprawdę nie do wytrzymania, pomyślał Peter markotnie i otworzył ostrożnie ciężkie metalowe drzwi prowadzące do wielkiego pomieszczenia wykutego w skale, służącego Harry'emu za sekretny garaż. Pusto, cicho, mroczno...

- Połóż się pod ścianą i nie ruszaj, ja tymczasem sprawdzę, czy nikt nie zostawił nam jakiejś niemiłej niespodzianki.

Genevieve posłusznie zastosowała się do polecenia i przywarła do ziemi. Przykucnął obok niej, ujął jej twarz w dłonie. Odwróciła szybko wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy.

- Zostawiam drzwi otwarte. Jeśli coś zacznie się dziać, usłyszysz strzały, cokolwiek, natychmiast wycofaj się i zatrzasknij drzwi. Zanim ktoś poradzi sobie z systemem alarmowym i pokona te drzwi, będziesz miała szansę odwrotu. O'Brien, jak go znam, będzie na ciebie czekał, zdasz się na niego. Jest niezawodny, możesz mu ufać. Gdybym wypadł z gry, on wymyśli jakiś alternatywny plan.

Wbrew własnej woli spojrzała na Petera, zaniepokojona jego słowami.

- Gdybyś wypadł z gry? - powtórzyła. - Co to ma do diabła znaczyć?

- Doskonale wiesz, co to znaczy. Spełni się twoje największe marzenie. A teraz leż spokojnie i czekaj. - Peter podniósł się i odszedł. Kiedy ujął jej twarz w dłonie, myślała pewnie, że chce ją pocałować. Zwariowana Genevieve Spenser. Oczywiście, że miał ochotę ją pocałować. Nie, już nigdy jej nie pocałuje. Nie popełni więcej tego głupstwa.

Harry zawsze miał skłonność do pewnej teatralności, dlatego kazał wykuć w skale to tajne przejście. To była jego droga ewakuacyjna w razie jakiegokol-

wiek zagrożenia. Peter pochwalał takie pomysły. Od Takashiego dostał kod otwierający zewnętrzne drzwi do skalnego garażu i zaparkował swój samochód obok porsche Harry'ego. Garażu pilnował strażnik, a jakże, ale Peter się nim zajął. Ciało ułożył na tylnym siedzeniu porsche. Schludnie. Nie należy zostawiać po sobie bałaganu. Z systemem alarmowym poradził sobie bez trudu, po czym zszedł na dół po Genevieve. I tyle. Teraz tylko musiał upewnić się, czy droga wolna, wsadzić Genevieve do nie rzucającego się w oczy forda i wywieźć ją stąd jak najdalej.

Czarna piżama była trafionym wyborem. Genevieve stawiała się niewidoczna w mroku. Jasne włosy miała zebrane w warkocz. O'Brien pomyślał o wszystkim. Wielu mężczyznom musiała się podobać, ale Peter nie zaliczał się do tego grona. Ubrana w czarną jedwabną piżamę Genevieve Spenser nie robiła na nim absolutnie żadnego wrażenia...

Rozległ się strzał i Peter poczuł piekący ból w ramieniu. Padł natychmiast na ziemię, wyciągnął broń i przeturlał się pomiędzy samochody. Pierwszy strażnik z całą pewnością nie żył. Musiał pojawić się następny, może nawet kilku.

Dotknął ramienia i zaklął bezgłośnie. Krwawił. Będzie zostawiał ślady. Niedobrze.

Atakujący na razie nie mógł wiedzieć, czy zabił Petera, czy tylko go ranił. Skradał się, rozglądał po wielkim garażu.

Peter był od niego znacznie lepszy, wiedział, jak go przechytrzyć. Przeturlał się pod forda i ukrył pod nim. Na odgłos zatrzasnkanych drzwi odechnął z ulgą. Przynajmniej Genevieve udało się umknąć. Być może człowiek, który strzelał, pomyśli, że to on uciekł z powrotem na dół. Przy odrobinie szczęścia Peter będzie mógł uderzyć z zaskoczenia.

Strażnik, jeśli był to strażnik, poświecił latarką i Peter widział teraz wyraźnie drzwi wiodące na dół. Ukrył się głębiej pod samochodem, ale zostawił na betonowej podłodze ślady krwi, które mógł dostrzec nawet niezbyt bystry człowiek. Czuł w dłoni zimną kolbę pistoletu. Sprężył się, był gotów. Jak tyle

razy wcześniej w podobnych sytuacjach. Powinien podnieść się i strzelić, celując starannie. Nigdy nie spudłował, ale też nigdy dotąd nie spieprzył roboty, a teraz niestety popełniał błąd za błędem. Jeśli to ma być jego koniec, trudno. Przynajmniej Genevieve zdążyła uciec. Takashi się nią zajmie.

Latarka zgasła i Peter słyszał teraz kroki, które miały pozostać niesłyszalne, ale niosły się po przestronnym, prawie pustym wnętrzu garażu. Jest ich dwóch, uświadomił sobie. Dlaczego dopiero teraz? Obchodzili garaż, szukając go.

Wysunął się bezszelestnie spod samochodu i usiadł na betonie. Świetnie widział w ciemnościach, mógł trafić przynajmniej jednego. Co do drugiego nie miał już tej pewności, ale był doskonałym snajperem, chyba jednym z najlepszych na świecie, przewaga była zdecydowanie po jego stronie.

Podciągnął kolana pod brodę, znieruchomiał i czekał... czekał...

Wszystko zdarzyło się równocześnie, jak na filmie w zwolnionym tempie. Latarka zabłysła znowu, światło padało mu prosto w twarz. Nie był aż tak oślepiony, by nie widzieć lufy wycelowanej prosto w niego. Ktoś rzucił się ku niemu, zasłonił go.

- Nie! - rozległ się rozdzierający krzyk. Genevieve, zdał sobie sprawę w ułamku sekundy.

Ona była tą drugą osobą. Nie uciekła do podziemi. Postanowiła go ratować. Był tak wściekły, że nie wzruszyła go jej decyzja. Odsunął ją gwałtownym gestem i wpakował kulkę w głowę człowieka, który do niego mierzył, zanim tamten zorientował się i zdążył strzelić.

Mężczyzna osunął się na ziemię, latarka upadła i potoczyła się po posadzce. Peter podszedł do strażnika, by sprawdzić, czy go zabił. Chociaż był oślepiony światłem latarki, oddał pewny strzał i trafił dokładnie między oczy.

Czuł, że Genevieve idzie za nim, i z trudem powściągał wściekłość. Podniósł latarkę i skierował snop światła na twarz zabitego. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, może po to, żeby ukarać Gene. Słyszał, jak gwałtownie

wciągnęła powietrze. Miałby za swoje, gdyby teraz zwymiotowała prosto na niego.

- Dobry strzał - wykrztusiła, usiłując nadać głosowi zwykle brzmienie. -
Dlaczego ludzie zawsze strzelają swoim ofiarom między oczy?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Udawała spokojną, ale była blada, wręcz szara na twarzy, jakby zaraz miała zemdleć.

- Jeśli strzelasz z broni małego kalibru, tak jest najłatwiej, najprościej. Przy większym kalibrze rozwalilibym mu czaszkę. Obrzydliwy widok. A to czysta robota. Czy znowu zamierzasz zemdleć i paść mi do stóp?

Szara jak popiół twarz zaróżowiła się lekko na to pytanie.

- Ja nie mdleję - oznajmiła hardo.

- Nie słuchasz także poleceń. Dlaczego, do cholery, zostałeś w garażu?
Mówiłem ci przecież wyraźnie, że masz uciekać.

Nie odpowiedziała, ale też nie oczekiwał żadnej odpowiedzi.

- Wsiadaj do samochodu - powiedział zmęczonym głosem. Napięcie opadło, czuł się teraz pusty, jakby uszła z niego cała energia.

- Do którego? Zaśmiał się.

- Na pewno nie do porsche, moja droga. To wóz Harry'ego, za bardzo rzuca się w oczy. Poza tym na tylnym siedzeniu jest trup.

Genevieve była na skraju załamania, doszła do kresu wytrzymałości, on zresztą też. Bez słowa obeszła samochód, otworzyła drzwi od strony pasażera i wsiadła. Kiedy on siadał za kierownicą, zapinała pas bezpieczeństwa. Nie wiedzieć czemu wydało mu się to strasznie zabawne.

- Jeśli jeszcze raz zdarzy ci się nie posłuchać moich rozkazów, zabiję cię własnoręcznie.

Nie odezwała się ani słowem, odwróciła tylko twarz do szyby. Peter wyjechał z garażu, zostawiając w nim dwa trupy.

Powiedział „Jeśli jeszcze raz zdarzy ci się nie posłuchać moich rozkazów, zabiję cię własnoręcznie”. Nie odezwała się ani słowem. Zbyt wiele pogrózek,

zbyt wiele śmierci pograżyło ją w stanie kompletnego odrętwienia. Była zmęczona, nie miała już siły ani ochoty walczyć. Reflektory rozświetliły wnętrze garażu, samochód ruszył i Genevieve raptem naszła nedorzeczna myśl, że Peter wywozi ją z piekła. Zabawne. Oto diabeł, który zabiera ją z piekła... Dokądkolwiek ją zawiezie, będzie niósł śmierć.

- Chcę wrócić do Stanów - powiedziała, odzyskując wreszcie głos. Nie patrzyła na niego, nie była w stanie spojrzeć na dłonie, które jej dotykały i które dla niej zabijały.

Wyśmiał ją.

- Naprawdę?

- Nie obchodzi mnie, że gdzieś na zadupiu może być bezpieczniej. Gwiżdże na to, słyszysz? Chcę wracać. Jeśli nie do Nowego Jorku, to przynajmniej do Stanów.

Peter wyjął z kieszeni niewielkiego, przypominającego telefon komórkowy pilota z wyświetlaczem, nacisnął kilka guzików. Osadzone w skale drzwi garażu powoli się rozsunęły.

- Co powiesz na Kalifornię? - zapytał, wyjeżdżając na zewnątrz.

Milczała przez chwilę, kompletnie zdezorientowana. Poczula się jak idiotka.

- Gdzie my jesteśmy?

- Niedaleko Santa Barbara. A ty myślałaś, że gdzie? Jak to określiłaś? Na zadupiu? Za tydzień mogę cię wysłać w najdalszy kąt Azji i będziesz mogła użalać się nad sobą, ile dusza zapragnie.

- Dlaczego dopiero za tydzień? Po co czekać? Wyślij mnie od razu.

- Za tydzień Harry już nie będzie żył. A ty pojedziesz, dokąd zechcesz. I nigdy więcej nie będziesz musiała oglądać mojej twarzy.

- Obiecanki - szepnęła, opierając głowę o zagłówek fotela. Wreszcie zdecydowała się spojrzeć na Petera i omal nie wybuchnęła śmiechem. Wyglądał jak przeciętny, niczym się nie wyróżniający Amerykanin z klasy średniej,

spokojnie przemierzający kalifornijską autostradę swoim równie przeciętnym, niczym nie wyróżniającym się fordem.

Tak, mógł uchodzić za zupełnie przeciętnego obywatela, gdyby nie to, że właśnie zabił dwóch ludzi. I miał zakrwawione od postrzału lewe ramię.

Isobel Lambert zmagala się z myślą, że będzie zmuszona prosić o pomoc. Była to bardzo niemila perspektywa, bo Isobel zawsze dotrzymywała słowa, a kiedy ktoś raz odszedł z Komitetu, był wolny, o ile, oczywiście, potrafił milczeć. W zasadzie nie miała prawa zwracać się z prośbami do byłych podwładnych.

Sytuacja była jednak wyjątkowa. Wszyscy jej ludzie pracowali nad planem Harry'ego Van Dorna, a czas uciekał. Udało się odkryć dwa kolejne elementy łamigłówki. Otóż okazało się, po wielu tygodniach żmudnych dochodzeń, że Harry opłacił neonazistów, którzy mieli zniszczyć znajdujący się w Oświęcimiu obóz koncentracyjny Auschwitz. Kolejnym celem ataku miały być gmachy Parlamentu w Londynie. Wierzył, że wysadzi je w powietrze, chociaż angielskie służby wywiadowcze należą do najlepszych na świecie.

Przeliczył się, bo nie wziął pod uwagę działań Komitetu, który przecież specjalizował się w rzeczach niemożliwych. Udało się wyłapać wynajętych przez Harry'ego zamachowców, a pracownicy Parlamentu uprzejmie zgodzili się ogłosić strajk dziewiętnastego i dwudziestego kwietnia. Problem został rozwiązany, katastrofa zażegnana.

Peter tymczasem utknął w Stanach z kłopotliwą towarzyszką, chwilowo bez najmniejszych szans uwolnienia się od niej i powrotu do kraju.

Był tylko jeden człowiek, do którego Isobel mogła się zwrócić. Jej zapewne by nie pomógł, ale gotów był uczynić wszystko dla Petera. Wiedziała, że będzie protestował, sarkał i psioczył, ale w końcu się zgodzi. Zawsze w końcu się godził. Nie potrafiła zliczyć, ile razy wyciągali siebie z opresji, kiedy jeszcze pracowali razem. Ile razy jeden drugiemu uratował skórę. Nadeszła pora, by Bastien Toussaint ponownie wkroczył do akcji.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Jestem głodna - oznajmiła Genevieve.

- Miło słyszeć, że akty przemocy, których byłaś świadkiem, nie popsęły ci apetytu.

Miała ochotę przyłożyć draniowi, ale była zbyt zmęczona. Żołądek skręcał się z głodu, czuła się osłabiona, kompletnie rozbita. Nie wspomniała ani razu o jego ranie postrzałowej, jakby jej nie widziała. Jeśli o nią chodzi, mógł wykrwawić się na śmierć. Samochód z martwym Jensenem za kierownicą być może zderzyłby się czołowo z jakąś wielką ciężarówką, a ona już nigdy więcej nie musiałaby się o nic martwić, już nigdy nie umierałaby z głodu.

- Postrzelił cię - mruknęła i zabrzmiało to tak, jakby miała pretensję, że zapomniał przebrać się do kolacji.

- Miło, że zauważyłaś. Nie przejmuj się, to tylko draśnięcie. Swędzi i kłuje jak diabli, ale już nie krwawi. Wystarczy przemyć i opatrzyć.

- Nie oczekuj, że się tym zajmę. I jeśli chcesz wiedzieć, wcale się nie przejmuję. Wolałabym tylko mieć pewność, że dowiesz nas bezpiecznie na miejsce.

Uśmiechnął się, łajdak jeden, a ona przypomniała sobie jego pocałunki. Szybko odwróciła głowę i zamknęła na wszelki wypadek oczy. Był późny wieczór, na drodze tłok, mnóstwo samochodów. Szum mknących maszyn, feeria kolorów i powódź świateł, wszystko to drażniło pobudzone zmysły. Miała ochotę schować się w mysiej norze i tam poczekać na lepsze czasy.

- Co byś zjadła?

- Cheeseburgera - powiedziała rozmarzonym głosem. - Wielkiego, ociekającego tłuszczem i serem cheeseburgera. Do tego frytki i cola light.

- Nie tab?

- Trudno go kupić. Cola w zupełności wystarczy. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Peter przeciął cztery pasy, zmuszając innych kierowców do gwałtownego hamowania. Żegnany gniewnym porykiwaniem klaksonów znalazł się na zjeździe z autostrady. Genevieve wypuściła powietrze z płuc i posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Chcesz nas zabić?

- Tę sprawę chyba już sobie wyjaśniliśmy - oznajmił bez troski.

- Mnie możesz wykluczyć. Nie mam ochoty umierać.

Znowu ten denerwujący uśmiešek.

- Miło mi to słyszeć. Inaczej nie byłoby sensu wydawać pieniędzy na jedzenie.

Podjechał do przydrożnego baru należącego do popularnej za Zachodnim Wybrzeżem sieci i ustawił samochód w kolejce do okienka, gdzie mogli kupić hamburgery bez wysiadania z wozu.

Genevieve spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie pojedziemy do McDonalda?

- Tutaj mają znacznie lepsze hamburgery. Możesz mi wierzyć.

- Ja miałabym ci wierzyć? Chyba żartujesz.

Nie odpowiedział. Podjechał do okienka, złożył zamówienie, odebrał cheeseburgera, frytki, colę, położył je to wszystko na kolanach i ruszył bez słowa w dalszą drogę.

Zajęta pochłanianiem swojego hamburgera z serem nie zwracała uwagi, dokąd jadą. Nie wrócili już na autostradę. Jechali prawie pustą szosą, od czasu do czasu napotykając tylko jakiś samochód zmierzający w przeciwnym kierunku. Włożyła do ust ostatnią frytkę i dopiero teraz rozejrzała się wokół. Znaleźli się na zupełnie pustej polnej drodze. Nie było widać żadnych samochodów, żadnych zabudowań jak okiem sięgnąć.

Peter zatrzymał się na poboczu, wyłączył światła, zgasił silnik i odwrócił się do Genevieve.

- O co chodzi? - zapytała. - Nie zadałeś sobie chyba tyle trudu tylko po to, żeby teraz mnie zabić?

- Muszę przyznać, że mam na to wielką ochotę, ale nie, nie zabiję cię.

Odepnij pas.

- Zamierzasz zostawić mnie w lesie?

- Nie. - Ponieważ Genevieve nie wykonała żadnego ruchu, nachylił się i sam odpiął jej pas.

Dała mu po łapach, ale Peter chwycił ją zręcznie jedną dłonią za nadgarstki, drugą uwolnił z pasa bezpieczeństwa. Był tak blisko, że czuła zapach jego skóry i mydła. Zakręciło się jej w głowie i wstrzymała na moment oddech.

Otworzył drzwi, po czym odchylił się i puścił jej dłonie.

- Co my tu, na litość boską, robimy? - Zawrót głowy nie ustępował, przeciwnie, stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Żołądek podchodził jej do gardła. Zrobiło się jej niedobrze. Czuła się obrzydliwie.

- Zaraz się dowiesz.

Genevieve wyskoczyła z samochodu, osunęła się na kolana i zwróciła wszystko, co przed chwilą z takim apetytem pochłonęła.

On też wysiadł, niech go jasna cholera! Podszedł do niej, odgarnął jej warkocz na plecy i chwycił za głowę. Przytrzymał ją, czekając, aż szarpiący wnętrzości atak minie. Nie była w stanie go odepchnąć. Na nic nie miała siły. Zwymiotowała całe jedzenie, ale ciałem jeszcze przez chwilę wstrząsały torsje. Miała ochotę umrzeć, wymęczona i upokorzona.

- Skończyłaś? - zapytał suchym, rzeczowym tonem, wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł jej twarz i spojrzał na nią zimno. - Wsiadaj z powrotem do samochodu. Musimy znaleźć jakiś nocleg. Mogłem cię uprzedzić, że śmierć i jedzenie nie idą w parze, ale na pewno byś mnie nie posłuchała.

Chciała zaprotestować, ale była zbyt osłabiona. Pozwoliła, żeby wsadził ją do samochodu i zapiął pas.

Trzęsła się cała z wyczerpania. Odchyliła głowę, zamknęła oczy i zdusiła jęk podchodzący do gardła. Kiedy w polu widzenia pojawiły się jakieś zabudowania, zapytała słabym głosem:

- Dokąd jedziemy?

- Do najtańszego, najpodlejszego motelu, jaki uda się nam znaleźć. Oboje potrzebujemy snu.

- Nie będę z tobą spała!

- Wiem, że to wyznanie będzie dla ciebie prawdziwym wstrząsem, ale zupełnie nie podniecają mnie rzygające damy. Nie ratowałem cię po to, żeby iść z tobą do łóżka. Seks z tobą był dość przyjemny, ale nie nadzwyczajny. Bądź spokojna, nie zamierzam więcej próbować. Zapewniam cię, że mogę sobie zapewnić znacznie ciekawsze doświadczenia.

Zabolały ją te głupie, złośliwe słowa. Po co to powiedział?

- Dlaczego w takim razie mnie ratowałeś?

- Przyjacielska przysługa.

- To samo powiedział Takashi. Mam rozumieć, że ratowaliście mnie w ramach świadczenia sobie wzajemnych przysług? - zapytała z ironią w głosie. - Ty przysłużyłeś się jemu, on tobie i tak oto, szczęśliwie, znalazłam się poza zasięgiem łap Van Dorna?

- Zdradził ci swoje prawdziwe imię? A to niespodzianka. Zwykle jest czujniejszy i potrafi od pierwszego rzutu oka ocenić, komu może ufać, a komu niekoniecznie.

- Komu może ufać... - powtórzyła machinalnie. - W imię czego fatygowałeś się na drugi koniec świata, żeby wydostać mnie z potrzasku?

- Nie lubię zostawiać niedokończonych roboty.

- Kogo masz na myśli? Mnie? Harry'ego? A może nas oboje?

Nie odpowiedział, a jego twarz pozostawała enigmatyczna jak zawsze. Zimna, pozbawiona wyrazu mówiąca maska. Jechali przez ciągnące się w nie-

skończoność uspięte przedmieścia. Genevieve nie chciała myśleć o niczym. Najchętniej zanurzyłaby się w czarną czeluść całkowitego zapomnienia.

Otworzyła nagle oczy. Peter znalazł motel, który mu odpowiadał. Połowa lamp na podjeździe się nie paliła, nad dachem świeciło się wielkie, czerwone M, a odrapany pawilon recepcji wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść. Pawilon z pokojami dla gości wyglądał nie lepiej, zacieki na ścianach, obłaząca farba, ale przynajmniej będą mieli łóżka i prześpią się, nic więcej Genevieve nie obchodziło.

- Może być. Bardzo odpowiednie miejsce - ocenił Peter, wysiadając z samochodu.

- Weź dwa pokoje.

- Jasne - wycedził. - Siedź spokojnie, bo następnym razem użyję kajdanków.

Skąd wiedział, że zastanawiała się, czy nie uciec, kiedy on wejdzie do recepcji? Nie miała pieniędzy, żadnych dokumentów, ubrań, przyborów toaletowych, ale to nie przeszkadzało jej w najmniejszym stopniu rozważać możliwości ucieczki.

Zapomniała, że Jensen ma niezwykły talent odgadywania jej myśli.

- Nigdzie się nie ruszę. Nie mam siły zrobić choćby kroku. - Kłamała.

Odczekała, aż Jensen zniknie w recepcji, otworzyła ostrożnie drzwi, stoczyła się z fotela na asfalt podjazdu i szybko zatrzasnęła drzwi. Światło w samochodzie zapaliło się tylko na sekundę. Nie mógł tego widzieć, stał odwrócony plecami do okna. Dopiero gdy wyjdzie, zobaczy, że jej nie ma.

Nie uszła daleko. Złapał ją może sto metrów od motelu. Zaatakował z tyłu, bezszelestnie, niczym wyprawiający się na nocny łów nietoperz, obalił ją na ziemię, po czym szybko postawił na nogi. W ciemnościach niezbyt wyraźnie widziała jego twarz, ale i tak wiedziała, że jest wściekły.

- Jeśli się odezwiesz, przyduszę cię tak, że stracisz przytomność. Zaniosę cię na plecach do motelu w charakterze „pijanej żony” - oznajmij lodowatym

głosem. - Cały kłopot w tym, że to dość skomplikowana technika. Jeśli coś pójdzie nie tak i mózg pozostanie zbyt długo niedotleniony, zamienisz się w mało apetyczne warzywo. Z drugiej strony w takim stanie byłabyś o wiele znośniejsza.

Wierzyła, że gotów jest wprowadzić w życie swoją pogroźkę.

Otoczył ją ramieniem, niby troskliwy mąż, i trzymając w żelaznym uścisku, poprowadził z powrotem do obskurnego motelu o wdzięcznej nazwie „Śpioch”.

Wynajął narożny pokój na piętrze. Była pewna, że to nieprzypadkowy wybór, ale zmęczona nie miała już sił dochodzić intencji Jensena. Pokój był mały, odstręczający, dwa podwójne łóżka wypełniały niemal całą przestrzeń. Peter zamknął drzwi na klucz i wskazał głową łazienkę:

- Może chcesz skorzystać?

Owszem, chciała. Weszła do środka i zamknęła się. Teraz ona przekreśliła klucz w zamku. Przynajmniej tutaj przez chwilę będzie sama, wolna od jego nienawistnego towarzystwa.

Rozejrzała się, czy istnieje jakaś droga ucieczki. Dojrzała okno, maleńkie, wysoko pod sufitem. Nawet gdyby zdołała się przez nie przecisnąć, najpewniej spadłaby na złamanie karku. Obmyła twarz, przepłukała usta i dopiero teraz odważyła się spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. Wyglądała jak upiór, blada, wystraszona, zagubiona, z błędnym wzrokiem. Jak ktoś, kto uciekł ze szpitala psychiatrycznego, pomyślała, patrząc na czarną piżamę.

Poczuła, że musi zmyć z siebie cały brud ostatnich tygodni, wszystkie wspomnienia łączące się z Harrym Van Dornem.

- Biorę prysznic - krzyknęła w stronę zamkniętych drzwi.

W odpowiedzi usłyszała jakieś nieartykułowane chrząknięcie.

Kabina prysznicowa okazała się ciasna i brudna. U dołu plastikowej zasłony rozwijała się w najlepsze pleśń, mydło było wielkości pudełka zapalek,

a szampon wodnisty. Było jej wszystko jedno. Stała pod strumieniem ciepłej wody, namydliła całe ciało, raz, drugi... Zużyła prawie całe mydło, z niewielkiej kostki pozostał smętny płatek, i wylała na włosy całą buteleczkę wodnistego szamponu. Peter Jensen będzie musiał obejść się wodą, jeśli zechce wziąć prysznic, pomyślała z mściwą satysfakcją, zakręcając kurki.

Nie, nie nazywał się przecież Jensen. Nie pamiętała prawdziwego nazwiska, ale niewiele ją to obchodziło. Jensen czy nie Jensen, niedługo zniknie z jej życia i jego nazwisko nie będzie miało dla niej najmniejszego znaczenia.

Gorąca woda skończyła się, zanim Genevieve zdążyła zakręcić kurki. Nie wierzyła, że to możliwe, nawet w najtańszym, najbardziej obskurnym motelu. Wyszła z kabiny. Skórę miała zaczerwienioną od gwałtownego tarcia, włosy splątane, a cała łazienka wypełniona była parą. Motel najwidoczniej nie miał wentylacji. Otworzyła zaopatrzone w długi metalowy pręt okienko pod sufitem i przetarła lustro ręcznikiem. Piżama, którą rzuciła na podłogę, była teraz pognieciona i wilgotna. Podniosła ją z obrzydzeniem, niby zdechłego szczura, i upuściła na powrót.

Spała już kiedyś w prześcieradle, może spać i dzisiaj. A jeśli Jensenowi przypomni to ich wspólną noc, tym gorzej dla niego. Zresztą powiedział przecież, że seks z nią to nic nadzwyczajnego. Widok owiniętego w prześcieradło upiora ze splątanymi włosami nie powinien zbić go z nóg, wątpliwe, by obudziła się w nim nagle dzika żądza.

Uchyliła drzwi do pokoju.

- Mógłbyś podać mi prześcieradło?

Żadnej odpowiedzi. Sukinsyn. Pewnie czeka, żeby wyszła w ręczniku. Nie dlatego, żeby na nią popatrzeć, tylko żeby ją upokorzyć. Jego niedoczekanie.

Może wyjść w ręczniku. Nic już nie jest w stanie jej upokorzyć. Upokorzenie to stan psychiczny. Osiągnęła szczyt upokorzenia godzinę

wcześniej, kiedy zwymiotowała wszystko, co zjadła, na pobocze drogi, a on trzymał ją za głowę. W porównaniu z tym paradowanie w ręczniku to nic.

Kłopotem było to, że motelowe ręczniki były niewielkie, a ona wysoka. Leżała nieprzytomna Bóg wie ile czasu, dwa tygodnie, jeśli wierzyć słowom Harry'ego, w każdym razie wystarczająco długo, by stracić dodatkowe kilogramy. Spojrzała na swoje ciało, ale nie zauważyła żadnych widocznych zmian. Te same zaokrąglone biodra... Najwyraźniej nie pozbyła się przeklętych, zbędnych, niedających jej spokoju siedmiu kilogramów, nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Widać taka ma już pozostać.

To akurat najmniejsze zmartwienie, powiedziała sobie. Owinęła się ręcznikiem, najlepiej jak potrafiła, otworzyła szeroko drzwi i oznajmiła pewnym, mocnym głosem:

- Wychodzę.

Żadnej odpowiedzi. Rozejrzała się niepewnie. Jensena nie było w pokoju.

Ściągnęła prześcieradło z jednego z łóżek i owinęła je wokół ciała, starając się nie myśleć o nocy na wyspie Harry'ego. Podeszła do drzwi. Zamknięte na klucz, oczywiście. Szarpała przez chwilę klamkę, jakby nie mogła uwierzyć, że są naprawdę zamknięte. W pokoju było jedno niewielkie okno, tuż obok drzwi. Odsunęła zasłonę, gotowa chwycić krzesło i wybić szybę. Ale w pokoju nie było krzesła. Właściciel motelu najwyraźniej uznał, że krzesła są zbędne i jego gościom wystarczą w zupełności łóżka. Szafka nocna była przymocowana do ściany, telewizor do stolika, na którym stał. Genevieve nie znalazła nic, czym mogłaby wybić szybę.

Chyba że pięścią. Widziała takie sceny w filmach, w serialach telewizyjnych, rzecz wydawała się prosta. Wystarczy owinąć dłoń ręcznikiem i solidnie walnąć. Podniosła rzucony na podłogę ręcznik, owinęła nim pięść i grzmotnęła z całych sił w szybę.

Ręcznik, choć cienki, zamortyzował uderzenie, szyba nawet nie drgnęła. Genevieve zakłęła pod nosem, odrzuciła ręcznik, zdjęła powłoczkę z poduszki,

owinęła ją wokół pięści i uderzyła jeszcze raz w sam środek szyby, usiłując sobie przypomnieć, jak to robią w swoich filmach Jet Li czy Sonny Chiba.

Zgięła się w pół, ból przeszył całe ciało. Ręka zupełnie zdrętwiała od uderzenia, pewnie zwichnęła ją w nadgarstku, a szyba pozostała nienaruszona.

Musiała być z hartowanego szkła, co wydawało się całkowicie logiczne w tak podłej okolicy. Gene przyłożyła bolącą dłoń do brzucha i cicho jęknęła. Ale nie poddawała się.

Uwielbiała azjatyckie filmy akcji, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że wyczyny aktorów niewiele mają wspólnego z tym, czego nauczyła się na kursie. Nigdy nie była zbyt dobra w ciosach nogą, ale jeśli Jet potrafił wybić szybę samochodową jednym kopniakiem, to ona powinna poradzić sobie z oknem w motelu.

Owinęła stopę powłóczką z poduszki, ale nie wiedziała, jak ją umocować. Wolałaby nie poharatać stopy o szkło.

Skapitulowała i padła bez sił na łóżko. Co będzie, jeśli Jensen nie wróci? Może zostawił ją na pastwę losu, zamkniętą w obskurnym motelowym pokoju, żeby umarła z głodu. Rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu, by wezwać pomoc, o czym powinna była pomyśleć wcześniej, ale telefonu oczywiście nie było. Nie miała pojęcia, czy pokoje są dźwiękoszczelne, podejrzewała jednak, że właściciel na to akurat mógł przeznaczyć pieniądze, których poskapił na wszystko inne. Motel sprawiał wrażenie takiego, gdzie wynajmuje się pokoje na godziny, stąd brak telefonów i krzeseł. Ludzie przyjeżdżali tu w określonym celu i nie chcieli, żeby sąsiedzi za ścianą słyszeli ich głośne krzyki.

Może Jensen wyszedł tylko na chwilę, upewnić się, czy są bezpieczni, i zaraz wróci. Może poszedł zadzwonić po posiłki. Może zamierzał przekazać ją komuś, kto okaże się bardziej umiarkowany i nie będzie jej groził co pięć minut nagłą śmiercią.

To najbardziej optymistyczny scenariusz, myślała. Peter Jak Mu Tam zniknie, a w jego miejsce pojawi się jakiś biurokrata, który zabierze ją do

przytulnego, bezpiecznego domku na bezpiecznym przedmieściu. Tam przeczeka spokojnie, aż tajemniczy Komitet rozprawi się z Harrym. A ona będzie miała wygodne łóżko z czystą pościelą, dobre jedzenie i...

Chyba kompletnie zwariowała. Co się jej roi w skołatanej głowie?

Do domu. Wrócić wreszcie do domu. Do jej ślicznego, sterylnego mieszkania, włożyć znowu ciuchy od najlepszych projektantów, używać kosmetyków Chanel, założyć pantofle, które rujną kieszeń. Może nie będzie szczęśliwa, ale będzie na pewno bezpieczna. Będzie u siebie.

Przykryła się kołdrą i zwinęła w kłębek. Była potwornie zmęczona, wystraszona i głodna. Niech to diabli, była głodna.

I bardzo samotna.

Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie będzie płakać. Płacz pogarszał tylko sytuację i niczemu nie służył. Nie było powodów do płaczu. Dzięki Takashiemu i temu draniowi Jensenowi wydostała się z łap Harry'ego Van Dorna, który od niechcenia rzucił polecenie, żeby O'Brien ją sprzątnął. Peter... Madsen, tak nazywał się Madsen, teraz sobie przypominała... Zatem Madsen gdzieś szczęśliwie zniknął. Powinna się cieszyć, a nie płakać, bo kto wie, czy nie zrealizowałby w końcu swoich pogroźek i rzeczywiście jej nie zabił.

Prędzej czy później ktoś się pojawi i zabierze ją stąd. Ktoś spokojny, miły, godny zaufania. Musi poczekać. I nie użalać się nad sobą, nie poddawać się rozpacz.

Żeby tylko nie zasnąć. We śnie stawała się całkowicie bezbronna...

Usłyszała odgłos klucza przekręcanego w zamku. Kiedy Peter wszedł do pokoju, rzuciła się ku niemu przepelniona uczuciem ulgi.

Niestety, on zamiast ulgi poczuł wściekłość. Wykręcił Genevieve rękę, potem rzucił ją na dywan, przygniatając swoim ciężarem.

Statek Harry'ego wiozący zarażone gołębie został zatrzymany na redzie portu w Hongkongu. Na pokład weszła tak zwana czarna brygada, ludzie

wyszkoleni do przeszukiwania statków pod kątem przemytu oraz wszelkiego rodzaju niebezpiecznych materiałów. Kapitan zdążył jeszcze zawiadomić Harry'ego, co się dzieje i po chwili miał już na karku chińską ekipę. Na wypuszczenie gołębi zabrakło czasu.

Harry cisnął aparatem telefonicznym tak, że rozbił szybę w stojącej w drugim kącie pokoju przeszklonej szafie. Szyba rozprysła się na drobne kawałeczki. Potem ciskał już wszystkim, co wpadło mu w rękę. Poleciała lampa z biurka, książki, ciężka brązowa statuetka, nagroda za jego działalność humanitarną w Trzecim Świecie. Nawet biedny kot padł ofiarą ataku dzikiej furii.

Kot, jak to kot, wylądował na czterech łapach i zaszył się natychmiast w najciemniejszym kącie. Harry lubił koty. Lubiał ich niezależność, wyniosłość, umiejętność okazywania człowiekowi całkowitej obojętności, wręcz pogardy. Jedyłą ich wadą było, że zmykały zbyt szybko, gdy chciał wylądować na kimś swoją wściekłość. Dotąd nie udało mu się uśmiercić żadnego kota, chociaż próbował od lat.

Leciały kolejne przedmioty, pokój wyglądał jak po przejściu niewielkiego huraganu i Harry powinien poczuć ulgę, ale czuł nadal tylko wściekłość.

Rozdzwonił się telefon. Bezprzewodowa słuchawka leżała rozbita na marmurowej posadzce. Harry nacisnął guzik na ocalałej bazie aparatu. Znał doskonale numer, który pojawił się na wyświetlaczu.

- Van Dorn - warknął.

Dzwonił jego zaufany człowiek z Londynu. Słowa rozlegające się z bazy, zamiast płynące bezpośrednio ze słuchawki, brzmiały znacznie gorzej, bardziej złowieszczo. Zerwał bazę ze ściany i cisnął na podłogę. Głos jeszcze rozbrzmiewał, przepraszający, przymilny... Zaufany człowiek jeszcze próbował się tłumaczyć, dlaczego spieprzył sprawę.

Harry podszedł do gadającej kupy plastiku i kopnął ją z całych sił, uciszając definitywnie. Wszystko się sypało, wszystko, o czym tak długo

marzył. Cały starannie przygotowany plan legł w gruzach. Jego Zasada Siódemki... Ciągle jeszcze miał cień nadziei, że uda mu się spowodować awarię w elektrowni atomowej w Rosji, ale bał się, że jego wrogowie pokrzyżują mu plany. Może już to zrobili, bo Władimir, jego człowiek w Moskwie, nie odzywał się od wielu dni.

Najgorsze było to, że nie wiedział, przeciwko komu ma obrócić swoją wściekłość, na kim brać odwet. Żadnych nazwisk, żadnych twarzy. Tylko niewiele mówiące okruchy informacji na temat tajemniczego Komitetu. Peter Jensen nie żył. Na nim już nie mógł się mścić. Takashi zajął się Genevieve Spenser, usunął jej ciało, nie pozostawiając żadnych śladów. Nowojorska prawniczka zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Harry zaśmiał się cicho, ale wściekłość zaraz powróciła, ze zdwojoną siłą.

Musi być jakiś sposób, żeby dotrzeć do Komitetu i rozprawić się z działającymi tam ludźmi. Rozbili mu Zasadę Siódemki, ale na Zasadzie Siódemki świat się przecież nie kończył. Pokaże jeszcze swoim wrogom, jaki potrafi być niebezpieczny.

Dopóki Komitet istnieje, będzie usiłował przeszkadzać mu i psuć szyki. Trzeba unieszkodliwić tę przeklętą organizację.

Musi coś zrobić, cokolwiek, żeby pokazać im, że z Harrym Van Dornem nie można bezkarnie zadzierać. Potrzebna jest jakaś krwawa akcja, okrutna, brutalna, nie do wykrycia, tak żeby tym razem nie mogli mu przeszkodzić. Coś tak przerażającego, że już nigdy więcej nie będą mieli odwagi wejść mu w drogę.

Potrzebował znaku z góry. Święcie wierzył w boskie przewodnictwo. Czyż nie należał do nielicznych wybranych, obdarowanych szczerze przez Opatrzność? Tak, ale żeby odczytać znaki z góry, potrzebował kogoś, kto jest w tym biegły. To wymaga czasu, a akurat tego bardzo mu brakowało. Chciał, musiał działać. Nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą zwłokę.

Zamknął oczy, zacisnął dłonie, napiął wszystkie mięśnie. Był zdesperowany jak małe dziecko, które chce koniecznie dostać kolejkę pod choinkę i prosi o nią ze wszystkich sił Mikołaja.

- Daj mi znak - powiedział na głos. - Wskaż drogę. Powiedz, co mam robić.

Tym razem odezwał się telefon komórkowy, nowy nabytek, przed którym bardzo długo się wzdragał, uznając połączenia komórkowe za zbyt niebezpieczne, zbyt łatwe do namierzenia. Wyciągnął go z kieszeni i otworzył drżącą dłonią. Proś, a będzie ci dane.

Dzwonił Donahue. Zrobił rutynowy obchód garażu i meldował, że znalazł ciała dwóch strażników, jedno na tylnym siedzeniu porsche. Znalazł też ślady krwi na betonowej posadzce, zostawione zapewne przez zabójcę. I kilka długich blond włosów przyklejonych do wilgotnej skalnej ściany.

Takashi mówił, że wyniósł ciało Spenser podziemnym przejściem, w kawałkach. Harry'emu bardzo się to spodobało, żałował, że nie ma zdjęć dokumentujących smutny koniec nowojorskiej prawniczki. Teraz zrozumiał, że powinien był ich zażądać. Takashi O'Brien, jego prawa ręka od ponad trzech lat, zdradził.

Genevieve Spenser żyła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Pozwól mi wstać, to boli - sapnęła Genevieve z twarzą wciśniętą w wykładzinę.

Peter puścił ją, podniósł się i dopiero teraz zamknął drzwi, przekręcając klucz w zamku.

- Masz za swoje. Kiedy wreszcie nauczysz się mi ufać?

Usiadła na podłodze, poprawiła prześcieradło, którym była owinięta i oparła się plecami o łóżko.

- Nigdy - oznajmiła twardo. - Nie zamierzałam cię atakować. Bałam się, że nie wrócisz. Na twój widok poczułam ulgę. Ucieszyłam się.

Spojrzał na nią chmurnie.

- Nigdy nie rzucaj się na faceta, zwłaszcza na niebezpiecznego. A ja jestem niebezpieczny, dobrze o tym wiesz.

Owszem, dobrze o tym wiedziała. Kilka godzin wcześniej na jej oczach zabił człowieka. Miała świadomość, że nadal będzie zabijał, bez skrupułów, bez chwili wahania. Myśl o tym powinna napawać ją przerażeniem.

Ale Genevieve przekroczyła już granicę przerażenia. Była wdzięczna, że zabił, by ją ratować, zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Przepraszam - mruknęła.

Przyniósł kilka plastikowych toreb, które upuścił na podłogę, kiedy się na niego rzuciła. Podniósł je teraz, nie patrząc na Gene.

- Przepraszam? - powtórzył z niedowierzaniem. - Ty przepraszasz? Niebawem. Takashi nafaszerował cię jakimiś narkotykami?

Kpi ze mnie, jak zwykle, pomyślała ze złością.

- Co jest w tych torbach? - zapytała, zmieniając temat.

Odwrócił się. Siedziała u jego stóp, fatalna pozycja z punktu widzenia psychologii. Ponownie poprawiła prześcieradło, którym była owinięta.

- Różne rzeczy. Między innymi coś do ubrania dla ciebie. Niedaleko stąd jest czynny całą dobę Wal-Mart. Wiem, że to strasznie tandetny supermarket i że raczej tam nie kupujesz, pewnie nigdy nie byłeś w żadnym ich sklepie, ale lepsze chyba takie ciuchy niż prześcieradło. - Zamilkł na moment, po czym zapytał: - Co ty masz na nodze?

Spojrzała na owiniętą stopę. Zupełnie zapomniała o powłoczce.

- Powłoczkę z poduszki - odpowiedziała z ociąganiem i ściągnęła sprokurowane naprędce zabezpieczenie.

- Było ci zimno w stopy? Pokręciła głową.

- Próbowałam wybić szybę.

Peter milczał przez chwilę.

- Rozumiem, że dlatego teraz boli cię ręka. Spostrzegawczy sukinsyn, pomyślała.

- Trochę. Mam siniaki - powiedziała, poruszając palcami. Mówiąc ściśle, próbowała poruszać. Były sztywne i opuchnięte.

- Kładź się na łóżku - zakomenderował.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Oboje przypomnieli sobie noc na wyspie, kiedy wypowiedział dokładnie te same słowa.

- Nie licz na nic - mruknął jak skończony prostak. Chcę tylko obejrzeć twoją rękę.

Genevieve podniosła się z podłogi, ale nie położyła na łóżku.

- Nie musisz oglądać mojej ręki, wszystko w porządku. Gdzie są te ciuchy?

Rzucił jej największą torbę. Popełniła błąd, usiłując złapać ją nadwierzoną dłonią. Torba wylądowała na łóżku, a jej, szczęśliwie, udało się powstrzymać okrzyk bólu.

- Rozumiem, że zamkniesz się teraz w łazience na najbliższe półtorej godziny - powiedział, rzucając pozostałe torby na drugie łóżko. Jego łóżko, ma

się rozumieć. Powiedział przecież, że przespanie się z nią nie było żadnym nadzwyczajnym, zbijającym z nóg doświadczeniem.

- Nie będę dłużej niż trzeba, żeby się przebrać. Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy sam zaczniesz się stroić.

- Nie mogę się doczekać, żeby wreszcie zdjąć koszulę i oczyścić ranę. Jakimś cudem udało mi się ukraść marynarkę, która wisiała w recepcji. Nie mógłbym raczej chodzić po Wal-Marcie ze skrwawionym ramieniem. Chociaż, z drugiej strony Los Angeles ma to do siebie, że tu nikt się niczemu nie dziwi.

Zupełnie zapomniała o jego ranie i teraz zrobiło się jej głupio.

- Pomóc ci w czymś?

- Nie, dziękuję bardzo. - W głosie Petera zabrzmiało nieukrywane przerażenie. - Potrafię opatrzyć ranę bez twojej pomocy. To tylko lekkie draśnięcie. Gdyby postrzał był groźniejszy, bolałoby i pewnie nie mógłbym ruszyć ręką. Nie jest tak źle. Idź do łazienki, przebierz się szybko. Chwilę mogę poczekać.

Miała ochotę zrzucić prześcieradło i przebrać się w pokoju. Była ciekawa, jak Peter zareagowałby na takie zachowanie, ale przestraszyła się. Nie potrafiła tylko powiedzieć, czy bała się bardziej tego, co mógłby zrobić, czy też perspektywy, że Jensen nic nie zrobi, w ogóle nie zareaguje.

Wzięła torbę i poszła do łazienki, przytrzymując prześcieradło, którym była owinięta. Jensen tymczasem usiadł na swoim łóżku i zaczął ostrożnie zdejmować marynarkę.

Robiąc zakupy w supermarkecie, wykazał, na szczęście, całkowity brak wyobraźni. Kupił najzwyklejsze bawełniane figi i bawełniany stanik, dwa komplety. Były też dzinsy, dwa T-shirty i najzwyklejsza bluza zapinana na zamek błyskawiczny. Do tego skarpetki i pantofle na płaskim obcasie. Podobne rzeczy miała ostatnio na sobie ładnych kilka lat temu, kiedy jeszcze mieszkała na północy stanu Nowy Jork, w Auburn. Zapomniała już, jakie mogą być wygodne. Po raz pierwszy od bardzo dawna znowu czuła się sobą.

Pomyślał nawet o szczoteczce do zębów, paście, grzebieniu i szczotce do włosów. Byłaby mu wdzięczna, gdyby nie irytował jej fakt, że tak dobrze potrafił wszystko dobrać. Wiedział nawet, jaki numer butów kupić. Rozczesała włosy i ponownie zaplotła je w warkocz. Długie włosy są miłą ozdobą, kiedy człowiek ma stylistę na Park Avenue i czas, żeby o nie dbać. Kiedy starasz się ratować własną skórę, stają się pewnym utrudnieniem.

Po chwili wróciła do pokoju i zamarła, zdjeta przerażeniem.

Jensen siedział na łóżku i coś tam dłubał przy ranie, a robił to z absolutnym spokojem. Genevieve nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Widziała go przecież całkiem nagiego, spała z nim, potem kochali się nad basenem.

Ale wtedy zwracała raczej uwagę na szczegóły anatomiczne od pasa w dół.

Miał szerokie bary i szczupłe, dobrze umięśnione ciało, zdrowe, silne. Był opalony i prezentował się wspaniale. Widok, którego zdecydowanie nie powinna oglądać.

- Pomóc ci? - ponowiła pytanie, odzyskując głos. Zapytała wbrew sobie, bo za nic nie chciała dotykać tej opalonej, złocistej skóry.

- Poradzę sobie. Przyniosłem coś do jedzenia. Krakersy i piwo imbirowe. Słyszałem, że jedno i drugie świetnie działa na poranne mdłości.

- Nie jestem w ciąży - prychnęła.

- Bardzo mnie to cieszy. Nie sugeruję, że jesteś. Po prostu krakersy i piwo imbirowe są skuteczne przy wszelkich kłopotach żołądkowych. Tak mówią. Przyniosłem wiaderko lodu. Włóż w nie rękę, to opuchlizna zejdzie.

- Potem mogę cię dotknąć?

Peter zaśmiał się. Pytanie go zaskoczyło, a ją samą zaszokowało.

- Nie próbuj, chyba że masz coś wyjątkowo sprośnego na myśli.

To ją ostudziło. Nic nie odpowiedziała. Podeszła do swojego łóżka, poprawiła poduszki, usiadła i włożyła dłoń do wiaderka z lodem. Nienawidziła

przykładania lodu na stłuczenia i opuchlizny, ale wiedziała, że to jej na pewno pomoże i nie ma sensu oponować.

- Dobrze ci tak - powiedział, przemywając ranę środkiem odkażającym. Bandażowanie ramienia przychodziło mu z niejakim trudem, ale Genevieve miała lodowate palce, więc siedziała spokojnie i przyglądała się jego wysiłkom bez słowa. Kiedy skończył, wstał i przyjrzał się swojemu dziełu w lustrze. Zobaczyła, że ma ślady zadrapań na plecach.

- Co ci się stało? Ktoś cię torturował? - zagadnęła z przekąsem.

- To twoje dzieło.

Teraz sobie przypomniwała, jak wbijała paznokcie w jego ciało tamtej nocy na wyspie, wyginając się pod nim w spazmach rozkoszy. Poczula, że oblewa się rumieńcem na to wspomnienie.

- Jezu - mruknęła pod nosem.

- Nie przejmuj się - uspokoił ją. - To moja wina. W końcu to ja doprowadziłem cię do orgazmu - stwierdził z samczą chępliwością.

Nie poprawiło jej to humoru. Nie była przecież nadzwyczajna w łóżku, wyraźnie jej to powiedział. Solidnie go podrapała, skoro ślady ciągle są widoczne, po kilkunastu dniach... Nie podejrzewała się o takie prymitywne reakcje.

- Jak długo tu zostaniemy? - Była bardzo dumna, że jej głos brzmi spokojnie, że tyle w nim opanowania, mimo rumieńców na policzkach.

Dalej nie było ani trochę łatwiej, bo Peter zdjął dzinsy, zupełnie nie przejmując się obecnością Genevieve. Pod spodem, na szczęście, miał majtki, a właściwie coś pomiędzy majtkami a bokserkami. Spojrzał na swoją erekcję, potem na Gene.

- Podniecił cię postrzał? - zainteresowała się, próbując rozładować sytuację.

- Niespecjalnie - powiedział Peter, odrzucił kołdrę i wyciągnął się na łóżku.

- Możemy zgasić światło? - Jej głos zabrzmiał cierpko. - Skoro skończyłeś już prezentować swoje walory, chciałabym się trochę przespać.

Peter uśmiechnął się pod nosem.

- Jesteś najbardziej nieznośną i denerwującą kobietą, jaką zdarzyło mi się spotkać - mruknął i zgasił światło.

- Ja to samo mogłabym powiedzieć o tobie - odparowała.

- Chciałbym ci zwrócić uwagę, że nie jestem kobietą.

- Trudno tego nie zauważyć - powiedziała, wtulając twarz w poduszkę.

W pokoju panował mrok, tylko przez szparę w grubych zasłonach sączyło się słabe światło z zewnątrz. Genevieve nie czuła się zbyt dobrze w bliskości Petera. Ta sytuacja była zbyt intymna, niechciana i niepotrzebna.

- Chcę spać - oznajmiła.

- Już mówiłaś. - Peter przeciągnął się i założył ręce za głowę.

Odwróciła się plecami do niego, umościła wygodniej i zamknęła oczy. Pięć minut później obróciła się znowu. Peter ciągle nie spał. Leżał na wznak i wpatrywał się w sufit. Ciągle podniecony.

- Wiem, co to jest - powiedziała cicho. - Niebezpieczeństwo cię podnieca. Jedziesz na adrenalinie. Na myśl o tym, że możesz zginąć, dostajesz erekcji.

- Coś podobnego, Spenser... Kto by pomyślał - kpił sobie. - Powiedz mi, czemu tak bardzo interesujesz się moją erekcją?

W pierwszej chwili miała ochotę cisnąć w niego wiaderkiem z topniejącym lodem, ale rozsądek kazał jej się powstrzymać.

- Z czystej ciekawości. Ponieważ nie jestem nadzwyczajna w łóżku, jak to raczyłeś łaskawie określić, byłoby dziwne, gdyby... ehm...

- Gdyby mi stawał? To chciałaś powiedzieć? Śmiało. Przecież jesteś odważna.

- Nie uważam się za szczególnie odważną. Zbyt wielu ludzi dybie na moje życie. Niech się to wreszcie skończy. Chcę wrócić do domu.

- To też już słyszałem. Po to tu jestem, żeby odstawić cię do domu. Do twojego eleganckiego mieszkania na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie będziesz mogła zwinąć się w kłębek na swojej białej, skórzanej kanapie i zapomnieć o wszystkim. Cierpliwości.

Doskonale wiedziała, że nie zapomni, ale nic nie powiedziała. Peter zdążył jej uświadomić, że Komitet miał swoje sposoby wymazywania z pamięci niepożądanych wspomnień. Nie zamierzała doświadczać tych sposobów na własnej skórze.

- Skąd wiesz, jak wygląda moje mieszkanie?

- Byłem w nim. Ludzie Harry'ego przeszukali je dokładnie przynajmniej raz, jeśli nie kilka razy. Cały czas obserwują budynek, czekają, czy się pojawisz. Harry ufa Takashiemu tak samo, jak ufa wszystkim innym, czyli wcale. Chce mieć pewność, że Takashi cię zlikwidował. I dlatego dopóki Harry żyje, nie możesz wrócić do domu.

- Dlaczego właśnie ty? Dlaczego ciebie wysłali, żebyś mnie ratował?

- Bo zawałem zadanie, które miałem wykonać. Czuję się odpowiedzialny.

- Mam rozumieć, że sam wyznaczyłeś sobie karę za spieprzenie roboty...

- Można tak powiedzieć. - Obrócił się na bok, twarzą do Gene. - Wiesz co, Spenser, to nie jest nocleg u przyjaciółki, żebyśmy mieli przegadać całą noc, zwierając się sobie z dziewczynskich sekretów. Chciałbym się przespać.

- A więc to pokuta - ciągnęła Genevieve, jakby nie słyszała jego ostatnich słów. - No tak, gdybyś nie miał wyrzutów sumienia, byłbyś teraz pewnie na drugim końcu świata. Niech przyślą na twoje miejsce kogoś innego, kto się mną zajmie. Poinformuj ten swój Komitet, że cię nienawidzę, nie mogę znieść twojej obecności.

- Nikogo nie obchodzi, czy mnie nienawidzisz czy uwielbiasz - powiedział Peter zmęczonym głosem. - I nikt mnie nie zastąpi, nie licz na to.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, że nikt mnie tu nie przysłał. Dla Komitetu jesteś tak zwaną stratą uboczną, a straty uboczne to na wojnie zupełnie normalna rzecz. Komitet nie będzie zwracał sobie tobą głowy i angażował własnych sił, żeby cię ratować.

Genevieve przeszedł dreszcz.

- Nie jesteś „siłą” Komitetu?

- Jestem agentem na urlopie. Mogę robić z moim czasem, co mi się podoba. Nawet zabójcy muszą czasami odpoczywać. Mamy naprawdę doskonałe warunki pracy, o czym informuję uprzejmie, gdyby przyszło ci kiedyś do głowy zmienić zawód.

Poczula, że traci grunt pod nogami. Nie była przygotowana na tak nagłą zmianę perspektywy. Jeśli chciała być uczciwa, musiała teraz radykalnie zrewidować swoje dotychczasowe poglądy.

- Byłeś jedyną osobą, jaką kiedykolwiek miałam ochotę zabić - powiedziała cicho.

- Byłem? Już nie chcesz mnie zabić? To pewien postęp.

- A więc przyjechałeś tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli? Dlaczego? Tylko nie mów mi, że miłość cię przygnała. Już wiem, że nie jestem kobietą z twoich snów.

Genevieve widziała, jak Peter się uśmiecha.

- Nie możesz tego zapomnieć, prawda? Dokuczyły ci moje słowa? Miały dokuczyć. Gdzie spędziłaś ostatnie trzy lata? W klasztorze? Masz pomysłowość seksualną godną zakonniczy.

- Nie chciałam spać z tobą.

- Jasne, że nie. Chciałaś, żebym cię namówił, sprowokował.

- Nienawidzę cię - syknęła. - Wiem, dlaczego tu przyjechałeś. Dlaczego wyciągnąłeś mnie z pułapki. Uznałeś, że jeszcze za mało się nade mną znęcałeś i chciałeś dokończyć dzieła.

- Tak jest - przytaknął skwapliwie uprzejmym tonem. - A teraz zamknij się już i śpij albo cię zaknebluję. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby ratować ci życie, w każdym razie lepiej mi to ratowanie pójdzie, jeśli będę wyspany.

- Nie zapytałam cię jeszcze...

- Na litość boską, Genny, zamknij się wreszcie. Nie zmuszaj mnie, żebym sam cię uciszył.

Uciszyła się. Nie dlatego, że przestraszyła się pogroźki, którą gotów był wprowadzić w czyn. Nazwał ją Genny. Tak zwracał się do niej tamtej nocy na wyspie. I to był szok. „Genny”... Od dawna nikt jej tak nie nazywał. Tylko on. To zdrobnienie kojarzyło się z czułością i poczuciem bezpieczeństwa. Jakie poczucie bezpieczeństwa? Przy Jensenie? Który codziennie igrał ze śmiercią? Nie powinna się rozczulać tym jego „Genny” i nie powinna przyzwyczajać się do tego zdrobnienia. Ktoś taki jak on długo nie pożyje.

Ona też długo nie pożyje, jeśli nie pozwoli mu się wyspać. Jej nie chciało się spać. Nie mogłaby teraz usnąć. Zbyt zajmował ją facet leżący na sąsiednim łóżku. Nie rozumiała tego, nie próbowała zrozumieć. Nie rozumiała swoich reakcji i nie rozumiała Petera. Mogła tylko leżeć ze wzrokiem wbitym w sufit i czekać...

Usnęła. Peter był niemal pewien, że Genevieve nie zamknie się przez całą noc. Ta kobieta miała gadane... To pewnie skrzywienie zawodowe każdego prawnika, myślał. On nie chciał rozmawiać. W każdym razie nie z nią. I nie teraz.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego powiedział, że przyjechał do Stanów z własnego wyboru. Byłoby lepiej, gdyby trwał w przekonaniu, że znalazł się tutaj z konieczności. Co zresztą było prawdą. Coś kazało mu przyjechać, wydobyć Genevieve z lap Van Dorna, ratować przed najgorszym. Nie wiedział tylko, co to było, jaka siła pchała go do działania.

Sumienie mógł wykluczyć. Sumienie to luksus, na który on nie mógł sobie pozwolić. Mógł też wykluczyć seksualne talenty Genevieve. Obraził ją, mówiąc, że nie jest nadzwyczajna. Bała się go. Nie lękała się, że ją skrzywdzi, ale że znowu pójdą razem do łóżka. Że znowu będzie go pragnęła, że się odsłoni. Dlatego powiedział, że wcale go nie interesuje, że jest zupełnie przeciętna. Chciał ją w ten sposób uspokoić, a sprawił jej ogromną przykrość. Znowu zachował się jak skończony prostak. Wrażliwy prostak.

Ledwie się spotkali, musieli się rozstać. To był jeden z tych niemiłych faktów życia. Część jego pokuty. Powiedział jej prawdę. Seks nie był wcale nadzwyczajny. Ot, dwa połączone ciała wykonujące odpowiednie ruchy. Ale Genevieve to było coś więcej niż seks.

Spojrzał na nią w mroku. Zeszczuplała trochę w ciągu minionych tygodni. Szkoda, lubił te niemodne krągłości. Ale z drugiej strony może to i lepiej. I tak za bardzo zaprzętała jego myśli. Kiedy pojechał do supermarketu, z rozmysłem wybrał proste, mało efektowne ciuchy, żeby gorzej się prezentowała. Pomylił się okropnie, bo wyglądała w zwykłych džinsach i zbyt obszernym T-shircie ślicznie. Mógłby ubrać ją w burkę, jak to sama zasugerowała złośliwie, a i tak nadal by jej pragnął, nadal by mu się podobała.

Nie możesz jej mieć, powtarzał sobie. Ona nie jest dla ciebie. Raz już przez nią spieprzyłeś zadanie. A jej samej przyczyniłeś dość cierpień w rekordowo krótkim czasie. Zostaw ją w spokoju. Przynajmniej tyle powinienes dla niej zrobić.

Napomnienia kierowane pod własnym adresem niewiele dawały. Ba, nie odnosiły żadnego skutku. Nie mógł zasnąć, chociaż uciszał ją, twierdząc, że musi się przespać. Potrafił działać niezwykle sprawnie, prawie nie śpiąc. Wystarczały mu krótkie drzemki. Wytrzyma do końca tygodnia. Niech minie dwudziesty kwietnia, krytyczna data. Potem będzie mógł odpocząć. Uciszał ją, bo chciał, żeby to ona zasnęła i zostawiła go wreszcie sam na sam z jego myślami.

Znowu się pomylił, bo cały czas czuł jej obecność. Słyszał jej każdy oddech, rejestrował każdy ruch. W końcu musiał się odwrócić plecami, żeby na nią nie patrzeć.

Jutro zabierze ją do Kanady. Miał już upatrzone bezpieczne schronienie. Początkowo myślał o północnej Kalifornii. Mogliby zatrzymać się u jego starego przyjaciela. Mógł zawsze liczyć na pomoc Bastiena. Genevieve byłaby pod najlepszą opieką, jaką można sobie wymarzyć. Po namyśle zrezygnował z tego pomysłu. Żona Bastiena była w ciąży. W pobliżu mieszkali teściowie, którzy spędzali większość czasu z młodymi. Nie chciał narażać ich wszystkich na niebezpieczeństwo, a pojawienie się Genevieve Spenser oznaczało niebezpieczeństwo.

Nie, postanowił w końcu zwrócić się do kogoś innego, do ludzi, którzy też potrafią jej strzec, nie dopuszczają, by stało się coś złego. A on dotrzyma obietnicy danej madame Lambert i będzie trzymał się z daleka od Harry'ego Van Dorna.

Harry był przekonany, że on nie żyje. Bardzo dobrze. Gdyby wiedział, że Peter zszedł z pokładu, zanim jacht został unicestwiony, poruszyłby niebo i ziemię, żeby go znaleźć.

Harry Van Dorn był groźnym, bezwzględny wrogiem. Peter znał go aż nazbyt dobrze i wiedział, do czego jest zdolny, kiedy wpadnie we wściekłość. Peter go zdradził i Harry szukałby na nim za tę zdradę wyjątkowo okrutnego odwetu.

Genevieve udało się wyrwać z rezydencji Harry'ego tylko dzięki przytomności umysłu niezawodnego Takashiego. Peter słyszał, co Harry robił z kobietami, jakie tortury potrafił im zadawać. Nawet dla niego, a nerwy miał ze stali, te relacje były nie do wytrzymania, przyprawiały o mdłości i zimny dreszcz zgrozy.

Udało się im jednak umknąć i teraz Harry nie dosięgnie już Genevieve, chyba że po jego, Petera, trupie. I niech ktoś powie, że jest głupi i sentymental-

ny. Wszystko jedno. Niech się dzieje, co chce, nie pozwoli skrzywdzić Genevieve Spenser.

Nie próbował analizować, skąd u niego to niezłomne postanowienie. Nie musiał się opowiadać przed nikim, nawet przed samym sobą. Koniec, kropka. Nie ma się nad czym zastanawiać.

Wydawała jakieś ciche odgłosy przez sen, niczym mały, bezbronny kociak. Rzucała się niespokojnie, kopała, ale widział, że śpi. Nie powinien się dziwić i nie dziwił się. Zważywszy, jak naszpikowano ją narkotykami i czego była świadkiem, jeszcze przez wiele miesięcy nie zazna spokojnego snu.

Uniósł się, po chwili usiadł na skraju łóżka. Być może powinien obudzić ją z koszmaru. Znowu zaczęłyby go rugać, a on powiedziałby coś głupiego. Uwikłałby się jeszcze bardziej. Jeszcze głębiej. Bał się.

Spojrzał na nią. Genevieve płakała. Jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś płakał przez sen. Przyglądał się zafascynowany.

Raz tylko widział ją płaczącą, tamtej nocy, kiedy wyciągnął ją z basenu. Potem się kochali i łzy przestały płynąć. To była jedna z najniebezpieczniejszych historii, jakie zdarzyły mu się w życiu. Omal sam się wtedy nie popłakał.

Powinien się położyć i nie zwracać na nią uwagi. Zlekceważyć to, że rzuca się przez sen, że się męczy. Koszmary miną. Nikt jeszcze nie umarł od złych snów, na litość boską.

Wiedział, że na próżno się oszukuje. Jeśli mu przyłoży za to, że ją obudził, trudno. Wstał, wsunął się do jej łóżka i wziął ją w ramiona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Miał nadzieję, że Genevieve obudzi się i każe mu wynosić się do diabła. Wyniosłby się natychmiast, z największą ulgą. Ale ona przywarła do niego, wtuliła mokrą twarz w jego ramię i dalej płakała.

Trzymał ją w ramionach, objął mocno. Czego innego mógł się spodziewać? Miała na sobie wszystkie rzeczy, które kupił, ale nawet ubrana od stóp do głów przyprawiała go o piekielne męki, tak był podniecony. Co się z nim do diabła dzieje? Można by pomyśleć, że od trzech lat żył w celibacie. Była jedną z niezliczonych kobiet, z jakimi zdarzyło mu się pójść do łóżka. „Nic nadzwyczajnego”, tak jej powiedział. Przygodne figo-fago.

Była dla niego wszystkim.

Próbował się odsunąć, ale Genevieve przywarła do niego całym ciałem, szepcząc coś przez sen. Leżał spokojnie i ocierał jej łzy spływające po policzkach. Skończony idiota. To on przecież był przyczyną sennych koszmarów, które ją dręczyły.

Gdyby otworzyła teraz oczy i zobaczyła go, z pewnością zaczęłaby krzyczeć. Powinien ją obudzić, tak właśnie powinien zrobić, zanim będzie za późno, zanim zaangażuje się zbyt mocno.

Łatwiej jest obudzić człowieka niż wprowadzić go w stan uśpienia. Sztuka polega na tym samym, pokazywał ją Genevieve jeszcze na jachcie, trzeba tylko wiedzieć, jaki punkt na ciele nacisnąć.

On wiedział.

Chwilę później Gene otworzyła oczy.

Nie krzyczała, nie pomstowała na niego, nic nie mówiła, wpatrywała się tylko w Petera i to milczenie było o wiele bardziej niepokojące niż wszelkie protesty i awantury, których się spodziewał.

- Nic nadzwyczajnego? - przemówiła w końcu, przeciągając zgłoski.

- Absolutnie. Nic nadzwyczajnego - przytaknął i pocałował ją. Wiedział od początku, że będzie musiał ją pocałować. Genevieve obróciła się na plecy, pociągając go ze sobą i oddała pocałunek. Miała słodkie usta. Peter przegrał walkę z samym sobą, od tej chwili był stracony.

Nie miało to żadnego znaczenia. Nie odezwała się słowem, kiedy zdejmował z niej ubranie. Nie mogła, bo nie przestawał jej całować. Nawet kiedy oderwał wreszcie usta od *jej* ust, milczała. Byli oboje jak pogrążeni we śnie. Gdyby któreś się odezwało, czar by prysł, a oni wróciliby na ziemię. I musieliby zapłacić straszliwą cenę za to, że zanurzyli się w sennym marzeniu.

Bez oporu pozwoliła mu rozebrać się do końca.

Ściągnął z niej bawełnianą bieliznę, która, kiedy ją kupował, wydawała mu się wręcz odstręczająca. Okazał się strasznym głupcem...

Pamiętał wszystko, czego dowiedział się na jej temat. Pamiętał, z kim kiedy sypiała, co lubiła, a czego nie. Był pewien, że teraz polubi wszystko. Polubi to, że będzie na górze, on na dole... a potem powie mu, że go kocha. Wreszcie się przełamie.

Chłodna skóra pachniała mydłem. Pocałował ją w szyję, czuł pod językiem przyspieszony puls w tętnicy. Jemu samemu serce zaczęło bić szybciej, ale nic go to nie obchodziło. Miała pełne, sprężyste piersi. Sutki stwardniały pod jego palcami. Wygięła się, kiedy ich dotknął, jęcząc cicho z pożądania, a potem krzyknęła, gdy zaczął pieścić je językiem.

Mógłby w ten sposób doprowadzić ją do orgazmu. Drżała z pożądania, była gotowa, ale im dłużej zwlekał, tym doznanie miało być potem silniejsze. Uniósł lekko głowę i dmuchnął na jej pierś.

Genevieve chwyciła jego głowę w obie dłonie i przyciągnęła do drugiej piersi, a potem zaczęła przesuwać rękoma po jego plecach, wbijała mu palce w ciało, milcząca, pełna oczekiwania.

Mógłby tak trwać godzinami. Mógłby doprowadzić ją do orgazmu, nie wchodząc w nią... Wystarczyły usta, wystarczyło, że pieścił jej piersi językiem.

Dowiodłby, że potrafi, że jest w stanie, a ona naprawdę niewiele dla niego znaczy. Znowu byłby bezpieczny, przecież o to chodzi, to było najważniejsze, żeby się nie zatracił. Nie bał się pistoletu ani noża, nie bał się niepewności, jaką niosło ze sobą jego pełne ryzyka życie. Bał się związku, bliskości, od których nie będzie już ucieczki.

Tak, mógł to zrobić. Kiedy Genevieve zrozumie, co się stało, wycofa się w milczeniu. Zostawi ją w Kanadzie, wyjedzie, wróci do Anglii. Rozstanie. Proste, łatwe rozwiązanie. Nigdy więcej już się nie zobaczą, szybko o sobie zapomną. Każde z nich pójdzie swoją drogą, będzie żyło własnym życiem.

Ale nie po to leciał na drugi koniec świata, nie po to. Zjawił się w Kalifornii dla niej. I chciał ją wziąć. W przenośni i dosłownie.

Obydwoje drżeli z wyczerpania. Niewielka pociecha, pomyślał, wracając powoli do rzeczywistości. Peter był zgubiony, wiedział o tym. Miał nadzieję, że jakoś się uratuje, ale kiedy pierwszy raz ją pocałował, kiedy do niej po raz pierwszy podszedł... Nie, już wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją na pokładzie jachtu Harry'ego, sztywną, pewną siebie, w kostiumie od Armaniego, miał świadomość, że przepadł.

Śmierć byłaby lepsza niż takie uwikłanie.

Nie potrafił kochać i nie potrafiłby dzielić życia z kobietą, w każdym razie nie z taką, na której mu zależało. Był stworzony do życia w samotności, żadnych związków emocjonalnych, nikogo bliskiego. Tak było najbezpieczniej, chociaż samotność w końcu zabija człowieka.

Bastien był jedynym spośród znanych mu ludzi, który zdołał się wymknąć smutnemu przeznaczeniu, był wyjątkiem potwierdzającym regułę. Ludzie werbowani przez Komitet nie wiązali się z nikim, nie zakładali rodzin. Nie mieli domów, dzieci, ognia trzaskającego w kominku, nic z tych rzeczy.

Leżał tak i rozmyślał, Genevieve tymczasem usnęła, wyczerpana przeżyciami dnia i miłością. Po raz pierwszy od kiedy ją poznał, wydawała się odprężona. Na twarzy nie widział śladów trosk, nie zaciskała dłoni we śnie.

Spała spokojnie w jego ramionach, naga, piękna... I wreszcie ufna, jakby jej miejsce było właśnie u boku Petera.

Być może, chociaż mocno w to wątpił. Ta bliskość mogła ją zabić. Nie był w stanie o tym myśleć, nie w tej chwili. Przez najbliższą godzinę zamierzał nie myśleć absolutnie o niczym i rozkoszować się spokojem, który wypełniał po brzegi duszę i ciało. Tym spokojem, którego może nie będzie mu dane zaznać już nigdy w życiu.

Zamknął oczy, pocałował Genevieve w czoło i nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Isobel Lambert odchyliła się w fotelu i wpatrzyła w wyświetlacz swojego palmtopa. Miała jeszcze przed oczami twarz Harry'ego Van Dorna, na której malowała się pełna zadufania pewność siebie. Ten jego wzgardliwy uśmieszek... Gdyby mogła, unicestwiłaby tego człowieka w jednej chwili, ale Harry był poza jej zasięgiem.

Ultimatum było jasne. Za trzydzieści sześć godzin, dziewiętnastego kwietnia Van Dorn chce mieć Genevieve Spenser u siebie. Nie przewidział żadnych alternatyw, nie musiał.

Postawił bezwzględne żądanie i czekał na jego spełnienie. Był zbyt potężny, żeby blefować, udawać, stosować gierki. Komitet nie miał wyboru, musieli przygotować się do wymiany. Takashiego, niestety, nie dało się uratować. Dla niego było już za późno. Biedny O'Brien zapłacił najwyższą cenę za swoją determinację i chęć pomocy.

Van Dorn był pierwszym człowiekiem z zewnątrz, któremu udało się dotrzeć do Komitetu. Dotąd nikt tego nie dokonał, organizacja była doskonale zakonspirowana. Tak przynajmniej można było sądzić. Skoro potrafił połączyć się bezpośrednio z Isobel, mógł zrobić wszystko. Powinni się przygotować i rozprawić ostatecznie z psychopatą.

Madame Lambert schowała palmtopa do futerału. Dłonie jej drżały. Na szczęście była sama i nikt nie widział, w jakim jest stanie. Wiele lat pracowała

na wizerunek twardej, niezłomnej, silnej kobiety i wolała, żeby nikt nie wiedział, że pod kamienną maską kryje się jednak człowiek ze wszystkimi słabościami. Normalny człowiek, którym targają różne emocje, który posiada uczucia.

Odpowiedź od Petera Madsena jeszcze nie nadeszła. Być może nie odebrał dotąd wiadomości, ale Isobel przewidywała reakcję Petera. Odpowie zapewne krótko, jednym słowem. Nie spodziewała się niczego innego. Musiała przekazać mu to straszne ultimatum, żądanie Harry'ego musiało zostać spełnione. Obydwoje doskonale zdawali sobie sprawę, że nie ma żadnej alternatywy. W przeciwnym wypadku nie wysłałaby mu tej strasznej wiadomości.

Isobel trzymała zawsze w górnej szufladzie biurka paczkę papierosów. Dowód żelaznej woli. Rzuciła palenie przed siedmiu laty i co miesiąc wymieniała paczkę papierosów na nową, jakby chciała sobie udowodnić, że jest wolna od nałogu i nie skusi jej leżąca pod ręką trucizna.

Teraz otworzyła szufladę, wyjęła papierosa z paczki, zapaliła i wciągnęła głęboko, z lubością dym w płuca. Tęsknota za papierosem nigdy cię nie opuści, pomyślała. Przyczajona, uśpiona odezwie się w momencie słabości i wszystko zacznie się od początku.

Niedobrze, cholera.

Spojrzała na ekran monitora, wyszukała folder z informacjami na temat Genevieve Spenser i otworzyła go dwoma kliknięciami myszki. Nie po raz pierwszy była zmuszona wysłać kogoś na śmierć, ale zawsze byli to ludzie, którzy zasłużyli na smutny koniec, albo tacy, tutaj pomyślała o swoich współpracownikach, którzy mieli pełną świadomość podejmowanego ryzyka i godzili się na nie.

Nie miała wątpliwości, że Genevieve Spenser się zgodzi. Jeśli odmówi, straci wszelkie szanse na wolność i bezpieczeństwo. Poza tym nie odmówi prośbie Petera. Uczyni dla niego wszystko. Isobel polegała w tym względzie na

swojej niezawodnej intuicji, która wyniosła ją na sam szczyt władzy. Genevieve była ślepo, nieprzytomnie zakochana w Madsenie, gotowa spełnić każde jego polecenie. Gdyby poprosił, żeby poszła prosto pod kule, poszłaby z zamkniętymi oczami, nie wahając się ani przez chwilę. Nawet gdyby się zawahała, Peter zdołałby ją przekonać.

Jego samego Isobel nie była już tak pewna. Znała go od lat, nigdy nie był z nikim związany. Utrzymywał kontakty jedynie z ludźmi z Komitetu. Nie miał znajomych, przyjaciół, nikogo bliskiego. Lodowaty Agent... Samotny wilk. Zawsze wystrzegał się bliższych związków. Nawet jego krótkie małżeństwo było zimne, sterylne, jeśli wierzyć raportowi jednego z agentów, którego Komitet podstawił kiedyś Peterowi i Annabelli w charakterze terapeuty, specjalisty od problemów małżeńskich.

Peter nie domyślił się podstępu, a nawet gdyby odkrył prawdę, pewnie nie przejąłby się specjalnie. Wiedział, jak się rzeczy mają. I dlatego zgodzi się wystawić Genevieve Spenser na największe ryzyko, na jakie można wystawić drugiego człowieka. Zdawał sobie sprawę, że jest to konieczne. Od ultimatum Van Dorna nie było odwołania.

Isobel Lambert wolała nie myśleć, co może się stać, jeśli dziewczyna nie wyjdzie z tej niebezpiecznej operacji cało. Isobel straciła już jednego z najlepszych agentów, ale Bastien przynajmniej ułożył sobie życie, był szczęśliwy. Jeśli coś się nie powiedzie i Harry Van Dorn ich przechytrzy, Peter się załamie. Lodowaty Agent odejdzie z Komitetu.

Plan musi się powieść, powtarzała sobie z determinacją. Nie mieli innego wyjścia. Genevieve Spenser musi wrócić do Harry'ego Van Dorna.

Gdyby Isobel Lambert wierzyła w Boga, modliłaby się o szczęśliwy finał. Ponieważ nie potrafiła się modlić, zapaliła kolejnego papierosa i zapatrzyła się w okno, za którym zapadła już noc.

Po chwili ocknęła się z zamyślenia i podniosła słuchawkę telefonu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Genevieve budziła się powoli. Czuli się cudownie odprężona i zaspokojona, niczym rozpieszczona domowa kotka. Do niczego nie musiała się spieszyć, mogła rozkoszować się doznaniem minionej nocy, przywoływać je w pamięci i smakować wszystkie przeżyte rozkosze. Tysięczne rozkosze... Miliardy cudownych, pobudzających zmysły rozbłysków. Nigdy jeszcze nie czuła takiego przypływu energii, takiej mocy przepełniającej całe ciało. Ciało i duszę, w równym stopniu.

O sercu wolała nie myśleć. Serce to najbardziej niebezpieczny doradca, jakiego można sobie wyobrazić. Była zbyt mądra, zbyt rozważna i ostrożna, by go słuchać. Nie, nie pozwoli sobie na takie szaleństwo.

Kiedy już wróci do swojego mieszkania w Nowym Jorku i znowu będzie bezpieczna, bez trudu wytłumaczy sobie, że to było tylko przelotne uniesienie, chwilowe zaćmienie umysłu, nic więcej.

Nie mogła przecież zakochać się w Madsenie, w tym twardym, zimnym, niebezpiecznym człowieku. Powiedział jej jeszcze na wyspie, że seks to tylko jedna z broni, bardzo skuteczna, wręcz niezawodna, którą posługuje się w miarę konieczności.

Peter wiedział, jak używać własnego ciała. Gdyby miała trochę oleju w głowie, powinna być teraz wściekła, że tak umiejętnie zburzył, już po raz drugi, mur obronny, którym się otaczała.

Nie miała oleju w głowie. Była potwornie zmęczona, ale było to najlepsze zmęczenie, jakie można sobie wyobrazić. Była potwornie głodna. Była w drodze ku bezpiecznej przystani.

Nie, już była bezpieczna. Przy Madsenie nie musiała się niczego obawiać. Peter nie pozwoli jej skrzywdzić, nie dopuści, by stało się coś złego. Zakochała się w nim. To przejdzie, mówiła sobie. Przeżyje kilka szalonych dni, a potem

wszystko się skończy. Na razie zamierzała cieszyć się nowymi odczuciami. Pozwoliła sobie na zawrót głowy, ale wie przecież, że nie będzie trwał długo. Jest na to zbyt rozsądna. Przez chwilę może przecież żyć iluzjami, ale panuje nad sytuacją.

Leżała w łóżku sama, Peter gdzieś zniknął, ale tym razem nie wpadła z tego powodu w przerażenie. Miała pewność, że on wróci. Zaopiekuje się nią. Wyrwał ją z łap Harry'ego Van Dorna. Uroczego, poczciwego i przerażającego Harry'ego Van Dorna. Nie pozwoli, żeby stało się jej coś złego. Nie, Peter będzie strzegł jej bezpieczeństwa.

Nie chciała zastanawiać się nad tym, co do niej czuje. Powiedział jej, że jest pozbawiony uczuć, a ona nie miała powodów mu nie wierzyć. Przyleciał dla niej do Kalifornii, na drugi koniec świata, ale nie raczył jej powiedzieć dlaczego. Co nim powodowało? Mogła się tylko domyślać. Nie chciał pogodzić się z porażką. Gdyby wypełnił do końca zleczone mu zadanie, nie trafiłaby do nadmorskiej rezydencji Harry'ego, która stała się jej więzieniem.

Z drugiej strony, gdyby stosował się do rozkazów tajemniczego Komitetu, już by nie żyła. Musiał istnieć jakiś racjonalny powód, który kazał mu ją ratować. O ile jakoś jeszcze mogła rozeznąć się we własnych uczuciach, o tyle świat emocji Petera stanowił dla niej prawdziwą zagadkę. Nie miała innego wyjścia, jak tylko zaakceptować stan rzeczy, rezygnując z wszelkich analiz i prób dociekania sensu w każdym geście czy słowie.

Rzecz w jej przypadku zupełnie niebywała. Codziennym żywiołem Genevieve były rzeczowe argumenty, racjonalne wywody, logicznie skonstruowane koncepcje. Nigdy nie zdawała się na emocje, była raczej sceptyczna niż ufna wobec ludzi.

A jednak zaufała Peterowi. Całkowicie, bez reszty. Było to jeszcze bardziej szokujące niż myśl, że mogła się w nim zakochać.

W pokoju nie było zegara, telewizor nie działał, ale obliczała, że jest wczesne popołudnie. Usnęła w ramionach Petera głębokim snem. Nadal go

pragnęła i to odkrycie było kolejnym szokiem. Tymczasem on poszedł sobie, zostawił ją samą. Napływały kolejne wspomnienia minionej nocy, rosło pożądanie, budziła się tęsknota. Weźmie prysznic i kiedy tylko Peter pojawi się w drzwiach, rzuci się na niego spragniona, wygłodniała.

Nie, nie będzie żadnego rzucania się na szyję, bo znowu wylądaje na podłodze, z wykreconą do tyłu ręką, jak poprzedniego wieczoru. Podziwiała jego refleks i siłę, ale wołała, żeby nie wykorzystywał tych walorów przeciwko niej. Poczekaj, aż sam do niej podejdziesz. Pragnął jej przecież tak samo mocno, jak ona pragnęła jego. Cała ta romantyczna historia nie ma najmniejszego sensu, myślała, namydlając ciało resztką motelowego mydła.

Miała ochotę znowu owinąć się prześcieradłem, ale zrezygnowała po namyśle z tego pomysłu. Wołała, żeby Peter ją rozbierał, jak ostatniej nocy. Przeżyje to jeszcze raz, było tak przyjemnie... Odgarnęła do tyłu mokre włosy, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i wybuchnęła śmiechem. Wczoraj wieczorem wyglądała jak zdechły szczur, dzisiaj biła od niej radosna energia. Była szczęśliwa. Czowała, że wstąpiło w nią na powrót życie.

Jak ktoś taki jak Peter Madsen mógł dać jej tyle szczęścia? Nic z tego nie rozumiała, ale tak właśnie było.

Wyszła z zaparowanej łazienki i znieruchomiła. Peter wrócił. Na telewizorze stały dwa kartonowe kubki z kawą. Tak bardzo kochała tego człowieka...

Nie wiedziała tylko, co powiedzieć. Nawet na nią nie spojrzał. Wpatrywał się w wyświetlacz małego palmtopa czy też bardziej komunikatora, będącego skrzyżowaniem telefonu komórkowego z PDA. Był wyraźnie spięty, zauważyła to od razu.

- Która jest moja? - zapytała, widząc, że Peter nadal nie podnosi głowy.

- Ta po lewej. Z mlekiem sojowym zamiast śmietanki - powiedział, wpatrując się uparcie w wyświetlacz komunikatora.

- Mleko sojowe?

Dopiero teraz podniósł wzrok.

- Nie tolerujesz laktozy. Dlatego kupiłem ci kawę z mlekiem sojowym, zamiast śmietanki czy zwykłego mleka. To chyba oczywiste.

Że też pamiętał o takich drobiazgach... Ciągłe ją zaskakiwał.

- Dziękuję. - Sięgnęła po kubek. Prawdę mówiąc, nie znosiła mleka sojowego. Jeśli nie mogła dostać mleka bez laktozy, piła czarną kawę, ale upiła łyk tej, którą przyniósł Peter, myśląc, że spotyka ją mnóstwo nowych rzeczy, do których musi się przyzwyczaić. Życie ciągle nas zaskakuje i wymaga elastyczności, powiedziała sobie filozoficznie.

Miała ochotę usiąść obok niego na łóżku, wyjąć mu z rąk ten cholerny komunikator, cisnąć o ścianę i rzucić się na Petera. Myślała o tym od chwili, kiedy weszła pod prysznic, ale teraz wydawało się jej, że to jednak głupi pomysł.

Usiadła na swoim łóżku, na skotłowanej, pogniecionej pościeli. Starła się nie przywoływać obrazów ostatniej nocy, ale miała ciągle przed oczami ich splecione ciała, słyszała jeszcze odgłosy, które wydawali, kochając się, całując...

- Kiedy polecimy do Kanady? - zagadnęła rzeźkim głosem.

Peter nie odpowiedział od razu. Zamknął komunikator i spojrzał na nią. W chłodnych niebieskich oczach nic nie potrafiła wyczytać.

- Nie lecimy do Kanady. Nastąpiła zmiana planów - oznajmił lakonicznie.

- Co to znaczy, nie lecimy? - Genevieve z największym poświęceniem dokończyła kawę. Nie chciała sprawiać przykrości Peterowi, który wykazał tyle starania, ale zaprawiona mlekiem sojowym kawa miała wyjątkowo paskudny smak. - Nie zabierzesz mnie do Kanady?

Peter wstał.

- Harry wie, że żyjesz.

Raz już zwymiotowała w jego obecności i nie zamierzała powtarzać przedstawienia. Poza tym nie jadła tego dnia jeszcze nic poza kilkoma

krakersami, nie miała co zwracać. Zanim wróci do domu, po tych siedmiu kilogramach nadwagi nie będzie śladu. O ile kiedykolwiek wróci do domu.

Wreszcie dotarło do niej znaczenie słów Petera.

- Co z Takashim?

Zaskoczyło go wyraźnie to pytanie, bo spojrzał na nią uważnie. Na twarzy ta sama maska absolutnej obojętności co zawsze. Jakby miniona noc w ogóle się nie zdarzyła, jakby nic między nimi nie zaszło. Oto cały Madsen, pomyślała.

- Najprawdopodobniej nie żyje, tak zakładamy. Ciała dotąd nie znaleziono, ale Harry wie, jak zacierać ślady swoich zbrodni - powiedział sucho, bez najmniejszego śladu emocji w głosie.

Kolejny trup. Tym razem jeden z tych, którzy byli po dobrej stronie. Zginął przez nią, dlatego że odważył się ją ratować.

- Jesteś pewien? - zapytała przygnieciona wyrzutami sumienia.

- Niczego nie mogę być pewien, poza tym, że Harry trzyma nas w tej chwili w garści. Wysunął żądania i wie, że będziemy musieli je spełnić. Komitet nie próbuje nawet negocjować warunków. Wszyscy mają świadomość, że w obecnej sytuacji to byłoby bezcelowe.

- I?

- Dostanie to, czego żąda, ale nie ujdzie mu to na sucho. Przygotujemy się.

Wiedziała, o co chodzi. Poczwała, jak ogarnia ją lodowate zimno, krew przestaje krążyć w żyłach, serce się zatrzymuje...

Usłyszała jak przez mgłę własne słowa:

- Czego żąda?

Myślała, że nie spojrzy jej w oczy, że za bardzo będzie się wstydził, ale nie, spojrzał na nią i w zimnych niebieskich oczach nie było śladu emocji.

- Ciebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

PIERWSZY

Oczekiwał, że Genevieve nie przyjmie jego słów do wiadomości. Powie mu, żeby się pieprzył, żeby zapomniał o pomysle, bo ona pod żadnym pozorem, na żadnych warunkach nie zamierza wracać do więzienia, z którego właśnie ją wydobył. Niech Komitet szuka innych sposobów dotarcia do Harry'ego. Na tym przecież, jakoby, polegało ich zajęcie, tym się parali. Likwidowali złych ludzi, ratowali dobrych.

Nie próbowała nawet z nim dyskutować.

- Co im powiedziałaś? - zapytała ze śmiertelnym spokojem.

- Powiedziałem, że się zgodzisz. Mamy tam snajpera. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zastrzeli Harry'ego. Ty musisz tylko zachować spokój.

- Jestem spokojna. Powiedz, skąd w tobie taka pewność, że się zgodzę? Mam przystać na wszystko, bo zakochałam się w tobie? Tak uważasz?

Peter drgnął, jakby otrzymał cios. Wreszcie udało się jej naprawdę go dotknąć. Do żywego. Przynajmniej tyle miała satysfakcji.

- Nie zakochałaś się we mnie - stwierdził sucho. - Jesteś na to za mądra. Potrafisz odróżnić dobry seks od prawdziwej miłości. Chociaż mogę się mylić. Nie wiesz nawet, gdzie masz lechtaczkę. - Próbował wprawić Genevieve w zakłopotanie, obrazić ją, ale nic już na nią nie działało. Zobojętniała, nie potrafiła się złościć, obrażać, oburzać.

- W takim razie dlaczego twoim zdaniem mam się zgodzić?

- Bo jesteś szaloną, sentymentalną kobietą, której się wydaje, że może naprawić świat. Nawiasem mówiąc, dokładnie z tych samych powodów uznałaś, że jesteś we mnie zakochana. Kierujesz się emocjami, jesteś romantyczką i nie potrafisz wyobrazić sobie seksu bez miłości.

- Przynajmniej przestałam być „niczym nadzwyczajnym” - zauważyła chłodno.

Puścił mimo uszu tę cierpką uwagę.

- Postąpisz jak trzeba, nawet ryzykując życie. Dlatego nie skorzystałaś z szansy ucieczki, jaką ci stworzyłem na wyspie, nie poszłaś do bunkra, tylko koniecznie chciałaś ratować tyłek Van Dorna. Sama widzisz, jak to się skończyło. Ten drań chce cię zabić i zemścić się na nas za to, że pokrzyżowaliśmy mu szyki. Wszystkie jego plany diabli wzięli.

- Pozwolicie, żeby mnie zabił - było to stwierdzenie, nie pytanie.

Peter zjeżył się na te słowa.

- Nie. Wokół będą nasi ludzie, chociaż nawet ich nie zauważysz. Harry nie zbliży się do ciebie na metr, powstrzymamy go. Czeka go mamy koniec. Potem wrócisz do swojego pięknego mieszkania w Nowym Jorku i będziesz żyła długo i szczęśliwie.

- Nie wzięłaś pod uwagę, że Harry też się przygotowuje? On też może mieć snajperów, którzy będą go strzec.

Nie próbował zaprzeczać.

- Jesteśmy profesjonalistami. Wiemy, jak działać i z kim mamy do czynienia. Gdybym nie był przekonany, że możesz wyjść z tego cało, nie powiedziałbym moim szefom, że się zgodzisz.

- Mam szansę wyjść z tego cało, powiadasz? - rzuciła z przekąsem. - Jak miło. Kiedy muszę wrócić do Harry'ego?

Peter wzruszył ramionami. Przyjęła wiadomość dobrze, lepiej, niż się spodziewał. Nie płakała, nie błagała. Zaakceptowała nieuniknione. A do tego znienawidziła go, przekonana, że ją zawiódł, zdradził. Co było mu, oczywiście, na rękę.

- Jutro. Harry skontaktował się z Komitetem, przedstawił swoje warunki. Zawiadomi nas, gdzie i kiedy ma nastąpić przekazanie.

Wyglądała na drobniejszą niż w rzeczywistości, kiedy tak siedziała na skotłowanej pościeli, ubrana w to, co jej kupił. Tak, wydawała się drobniejsza, bardziej bezbronna. Miał ochotę krzyknąć na nią, wrzasnąć, że powinna odmówić, powiedzieć nie. Komitet nie miał prawa żądać od niej podjęcia takiego ryzyka. Nie miał prawa nic jej zlecać. Nieważne, co powiedziała Isobel, ostateczna decyzja należała do

Genevieve i ona o tym doskonale wiedziała. Mogła się nie zgodzić.

- Dobrze - powiedziała po chwili milczenia. - Pod jednym warunkiem.

- Nie możesz stawiać żadnych warunków. Albo się zgadzasz, albo nie.

Genevieve mówiła dalej, jakby nie słyszała słów Petera.

- Powiedziałeś, że będą tam wasi ludzie?

- Tak, grupa agentów, którzy mają strzec twojego bezpieczeństwa.

- Uroczo. Bardzo się cieszę. Byle nie było tam ciebie.

Nie powinien czuć się zaskoczony, a jednak nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę cię prosić, żebyś natychmiast wyniósł się z tego pokoju i na zawsze zniknął z mojego życia. - Powiedziała to twardym, stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszał.

- Zrobiłbym to z przyjemnością, ale nie mogę. Dopóki nie pojawią się posiłki, musisz znosić moje towarzystwo. Harry cię szuka, mimo że postawił ultimatum i zmusił nas, żebyśmy cię wydali. Nie zostawię cię samej, dopóki ktoś z naszych mnie nie zastąpi.

- Możesz usiąść na zewnątrz, pod drzwiami, i pilnować mojego bezpieczeństwa. Albo przenieść się do samochodu - powiedziała chłodno. - Zniknij mi z oczu. Nie chcę cię tutaj widzieć.

- Owszem, to mogę zrobić - zgodził się. - Musisz tylko zamknąć drzwi na klucz.

Genevieve skinęła głową, jakby bała się, że głos ją jednak zawiedzie. Peter wziął zimną już kawę i skierował się do drzwi.

- Jeszcze jedno pytanie - odezwała się, zatrzymując go w progu. - Wiedziałeś o tym ultimatum ostatniej nocy? Postanowiłeś przespać się ze mną, żebym się zgodziła?

Widział, że Genevieve zaczyna się załamywać, nerwy jej puszczają. Nie mógł na to pozwolić. Oboje nie mogli sobie na to pozwolić. Powinna być silna, pełna złości, jeśli miała przeżyć. Gniew utrzyma ją przy życiu, stanie się jej ratunkiem. Inaczej zginie. Zrobił, co mógł w tej sytuacji zrobić najlepszego. Skłamał, dla jej dobra.

- Tak - powiedział.

Kiwnęła głową i Peter zamknął cicho za sobą drzwi. Oczekał, aż usłyszy przekręcanie klucza w zamku. Nie mógł usiąść pod drzwiami, zbyt rzucałby się w oczy. Z samochodu widział doskonale wejście do pokoju. Nikt niezauważony nie miał prawa zbliżyć się do drzwi. Każda taka próba oznaczałaby dla intruza śmierć.

Spojrzał na dłoń, w której trzymał kubek z wystygłą kawą, myśląc, że powinien wyrzucić go do najbliższego kosza. Dłoń drżała mu mocno. Nakazał sobie spokój, w końcu sływał ze swojego lodowatego spokoju, i zaczął powoli schodzić po schodach, kierując się do samochodu.

Telewizor był wyłączony z gniazdka, ktoś wyciągnął też kabel kablówki. Genevieve podłączyła oba kable i znalazła jedyny kanał informacyjny, na którym coś było widać, chociaż odbiór był fatalny. Wyciągnęła się na brzuchu na łóżku Petera. Nie chciała kłaść się na swoim, na którym kochali się zaledwie kilka godzin wcześniej. Wpatrywała się w śnieżący ekran i słuchała wiadomości przerywanych reklamami. Doradzano jej, jak może bez wysiłku się wzbogacić, inwestując w nieruchomości, jaka pasta zapewnia olśniewającą biel zębów, jakiej zmywarki do naczyń powinna używać, jeśli chce być nowoczesną gospodynią, jakiego płynu używać, żeby cudownym sposobem pozbyć się w

ciągu kilku minut uciążliwego trądziku, jak nakładać make up i jak usunąć owłosienie z nóg.

Nikt nie chciał jej jednak powiedzieć, co zrobić, kiedy człowiek czuje się zupełnie rozbity, załamany i przestaje wierzyć w cokolwiek.

Jeśli wyjdzie z tego żywa, przygotuje własną reklamę: jak zabić kochanka. Pięćdziesiąt niezawodnych sposobów. Zaczęła je sobie nawet układać w głowie, ale wiszące nad nią zagrożenie zdecydowanie psuło przyjemność. Wepchnąć sukinsyna pod nadjeżdżający pociąg, rzucić na pożarcie rekinom... Niezłe pomysły... Kiedy doszła do broni palnej i materiałów wybuchowych, przerwała snucie zbrodniczych planów, zbyt zaczynały przypominać koszmarną rzeczywistość, od której chciała uciec.

Zasypiała i znowu się budziła. Nie była zmęczona, nie chciało się jej spać, sen też był formą ucieczki.

Może to depresja, pomyślała z ironią. Ludzie uciekają w sen, kiedy popadają w depresję. A ona miała wszelkie powody, żeby popaść w depresję. Człowiek, którego kochała, posyłał ją na śmierć.

Tyle przynajmniej zrozumiała. Mylił się, mówiąc, że jest zbyt roztropna, żeby się w nim zakochać. Była przeraźliwie głupia, bo nadal go kochała. Zdradził ją, a ona nadal go kochała. Miała ochotę go zabić, ale nie chciała, żeby zginął, żeby się narażał. Dlatego, po części, usiłowała się go pozbyć.

Ale też bała się, że pęknie, zacznie szlochać, będzie błagała, żeby zostawili ją w spokoju, on i ten cały jego Komitet. To był drugi powód, dla którego kazała mu wyjść, zniknąć jej z oczu. Godność nie pozwoliłaby jej targować się o życie.

Harry Van Dorn prezentował się wspaniale w białych nowiutkich spodniach, granatowym blezerze i niebieskiej, szytej na zamówienie oksfordzkiej koszuli z najdelikatniejszej bawełny. Wyjątkowo upodobał sobie ten rodzaj koszul i co jakiś czas zamawiał tuzin takich w Paryżu. Zawsze kiedy miał wystąpić przed kamerą, starał się wyglądać możliwie najlepiej. Doskonale

ostrzyżone włosy - długo szukał, zanim znalazł naprawdę dobrego fryzjera - promienny uśmiech, opalona twarz. Wzwał mokasyny z mięciutkiej skóry, żadnych skarpetek, ma się rozumieć, przejrzał się po raz ostatni w lustrze i wyszedł na oświetlony telewizyjnymi reflektorami przestronny korytarz.

Kamery czekały, dzieci przyjechały. Przedstawiały sobą żaloszny widok, ale właśnie dlatego je wybrał. Chore, skazane na śmierć, należały do tych wyklętych, odrzuconych, których świat nie chce i nie potrzebuje. Jego pieniądze przedłużały tylko cierpienia małych nieszczęśników.

Dzieciaki były odstręczająco brzydkie, a on brzydził się brzydotą. Kolorowe. W tym dziwnym kraju, jakim są Stany, wymieszały się chyba wszystkie możliwe rasy. Była jedna blondyneczka o jasnej skórze, przeraźliwie chuda, z zapadniętymi oczami sprawiała wrażenie ofiary AIDS. Za nic by jej nie dotknął. Tu, przy całej jego zewnętrznej oglądzie, odzywał się w Harrym teksański prymityw, święcie przekonany, że AIDS można się zarazić przez dotknięcie. Niby wiedział, że zarazić się można tylko przez ślinę i stosunek, ale głupie uprzedzenia pozostały. Zresztą, prawdę mówiąc, nie dotknąłby żadnego z tych dzieci, nawet dłonią w rękawiczce.

Zabije je, tak, te żaloszne, budzące wstręt dzieciaki będą musiały zginąć, jeśli nie dostanie tego, czego zażądał.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować, panie Van Dorn - powiedziała z emfazą opiekunka grupy. Młoda, pulchna... Była w nim chyba zadurzona, bo zawsze kręciła się koło niego, kiedy składał obowiązkowe wizyty w domu opieki, przywożąc prezenty małym nieszczęśnikom i rozdając wokół uśmiechy.; Harry Van Dorn, filantrop o wielkim sercu. Lubił, kiedy o nim tak mówiono.

Dziewczyna była nim na tyle zafascynowana, że zdobyła się kiedyś na zupełnie niebywałą odwagę i zaproponowała wspólną kawę. Żeby porozmawiać o swoich podopiecznych, ma się rozumieć. Nie pamiętał nawet jej imienia ani nazwiska, wiedział tylko, że pracuje w domu opieki, to wszystko.

- Dzieciaki mają tak mało przyjemności - ćwierkała. - To dla nich wielka radość, że mogą pojechać do pańskiej posiadłości nad jeziorem Arrowhead, bardzo się cieszą na tę wizytę. Prawie wcale nie opuszczają naszego domu opieki, a z miasta to już w ogóle nigdy nie wyjeżdżają. Jeden dzień w górach, nad jeziorem... Prawdziwe święto... Nie mogły się już doczekać.

- To ja się cieszę, że mogę coś dla nich zrobić, pani... - Tu zawiesił głos, dając dziewczynie wyraźnie do zrozumienia, że jest dla niego nikim, osobą bez imienia i nazwiska.

Przymilny uśmiech znikł z jej twarzy, ale zaraz powrócił na swoje miejsce.

- White. Jennifer White.

Nie spodobało mu się to imię. Jennifer... Zbyt podobne do Genevieve. Teraz z kolei on miał kłopot z utrzymaniem uśmiechu na twarzy. Myśl o Genevieve przyprawiała go o wściekłość.

- To dla mnie prawdziwy honor, że będę mógł zająć się tymi malcami. Mogą nawet przenocować w mojej posiadłości, jeśli będą dobrze się bawiły. Służba się nimi zaopiekuje i rano odeślemy je z powrotem.

Jennifer White zafrasowała się na te słowa.

- Myślałam, że mówimy o jednym popołudniu, panie Van Dorn.

- Stąd w góry San Bernardino jedzie się tylko godzinę. Niech się pani nie martwi o dzieci, panno White. Moja służba jest świetnie wyszkolona i potrafi zająć się malcami.

- Ja przyjadę z...

- Obawiam się, że to niemożliwe. Powinna pani zgłosić się jak najszybciej do waszego domu opieki. Wzywają panią, coś się stało. - Dom opieki Świętej Katarzyny dostał kolejny hojny datek od Harry'ego. Stale ich subsydiował i nie musiał się martwić, jeśli dzieci wracały z wizyt w jego rezydencji w nie najlepszym stanie, ujmując rzecz eufemistycznie. Dyrekcja udawała, że niczego nie

zauważa. Gusta mu się zmieniły, ale nie wiedział, czy znowu nie zasmakuje w dziecięcej niewinności.

- Wobec tego może zabiorę dzieci i umówimy się na jakiś inny dzień? - W głosie Jennifer White dało się słyszeć nerwowość.

- Panno White, czy uważa pani, że te biedne maluchy nie będą bezpieczne ze mną i moją służbą? - Harry uśmiechnął się swoim najbardziej czarującym uśmiechem i dziewczyna skapitulowała. Ależ idiotka, pomyślał ze wzgardą.

- Skądże. W żadnym wypadku. Ja tylko bałam się... Nie chciałym sprawić panu kłopotu...

- Zaręczam pani, że to żaden kłopot - oznajmił wielkodusznie. - Mój kierowca odwiezie panią do domu opieki, skoro tam na panią czekają, a dzieciaki spędzą u mnie nad jeziorem najwspanialszy dzień swojego życia. Niech mają trochę przyjemności.

Panna White próbowała jeszcze protestować, ale jeden z ludzi Harry'ego zabrał ją i poprowadził do samochodu. Harry odczekał chwilę, po czym dał znak ekipie i kamery ruszyły.

W Los Angeles za pieniądze można kupić wszystko, nawet ekipę filmową, która gotowa jest zarejestrować wszystko, nawet najobrzydliwsze rzeczy, i to zaskakująco tanio. Harry często korzystał z takich usług, lubił upamiętniać drobne epizody ze swojego życia, miał potem do czego wracać, oglądając w samotności filmy z sobą w roli głównej.

Narkotyki, dziewczynki, luksusowe otoczenie, wszystko to sprawiało, że ekipy chętnie podejmowały się zlecenia, a kiedy któryś z kamerzystów okazywał niechęć czy znudzenie, zawsze można było wynająć innego. Z tego też powodu raczej nie okazywali niechęci ani znudzenia i starali się spełniać kaprysy zlecniodawcy.

- Mamy piękny wiosenny dzień w Los Angeles - przemówił Harry do kamery. - Jest dziewiętnasty kwietnia. Doskonale wiecie, że miałem wiele planów na dzisiaj, ale z pewnych powodów nie byłem w stanie ich zrealizować.

Nie martwi mnie to specjalnie. Podejrzenia podejrzeniami, natomiast udowodnienie czegokolwiek będzie niemożliwe. Z pewnością nie przy możliwościach finansowych, jakimi dysponuję. Przyjmuję zatem porażkę ze spokojem. - Tu uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami. - Udało się wam włożyć kij w szprychy, że tak powiem. Nie jesteście w stanie zrozumieć moich zamiarów, nie wiecie, jakie cele sobie postawiłem. Moje plany wydały się wam zbyt radykalne, ale świat stałby się lepszym miejscem, gdyby udało mi się zaprowadzić nowy ład.

Spojrzał na budzące wstręt dzieci. Niezbyt lubił dzieci w ogóle, chyba że były bardzo ładne i nie płakały zbyt głośno, kiedy ich dotykał. Nie lubił dzieci, bo w przeciwieństwie do dorosłych okazywały się całkowicie odporne na jego urok. Miał wrażenie, że one jedne są w stanie go przejrzeć, nie dają się zwieść promiennym uśmiechom, pozostają niewrażliwe na jego sympatyczne żarty.

Psy też się do niego nie garnęły. Widać psy i dzieci lepiej znają się na ludziach niż cała reszta. A może za mało się starał, może wcale mu nie zależało, żeby je sobie zjednywać. Tak czy inaczej gromadka żalonych, wstrętnych wyrzutków spoglądała na niego z najwyższą nieufnością.

- Jestem człowiekiem, który udziela się w licznych organizacjach charytatywnych - kontynuował. - Oto jedno z zadań, które sobie postawiłem: opieka nad umierającymi dziećmi, którym staram się rozjaśnić ostatnie miesiące życia.

Kamerzysta zrobił najazd na twarze dzieci. Harry nie znał się zbyt dobrze na dzieciach i nie potrafił powiedzieć, w jakim wieku są te zebrane w jego domu. Prawdopodobnie żadne nie skończyło jeszcze dwunastu lat, co tylko czyniło je bardziej żalonymi.

- Nie chcielibyśmy, żeby coś złego przytrafiło się tym biednym malcom, ale górskie drogi potrafią być bardzo zdradliwe. W niektórych miejscach nie ma nawet barierek zabezpieczających. Mikrobus, którym będą jechały, może

stoczyć się w przepaść, jeśli kierowca okaże się nieuważny, ale ja nie zatrudniam nieuważnych ludzi.

Czekał, aż dzieciaki zrozumieją pogroźkę, zaczną lamentować, płakać, ale nie, żadne nie mrugnęło nawet okiem. Cholerni mali stoicy.

- Muszę przyznać, że moja duma została zraniona. Z największą przykrością myślę o tym, jak wiele pracy poszło na marne. Pogodziłem się już z tym. Nie będę się unosił, nie będę się użalał nad sobą. Zamierzam nadal dawać pieniądze potrzebującym, wspierać szlachetne inicjatywy, o to nie musicie się martwić, nie zmienię swojego stanowiska. Chcę tylko jednej rzeczy i jeśli jej nie dostanę, te dzieci może spotkać coś złego. Wypadki chodzą po ludziach. Śmierć w płomieniach jest podobno straszna, okrutna i bolesna, tak mówią. Jeśli mikrobus stoczy się w przepaść, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zajmie się ogniem, a wtedy nikt nie wyjdzie z katastrofy cało. Zawsze mam w moich mikrobusach zapasowe kanistry z benzyną. Na wszelki wypadek. - Uśmiechnął się dobrodusznie do kamery.

- Zabieram te dzieci do mojej posiadłości nad jeziorem Arrowhead. Nie liczcie na to, że dotrzecie tam pierwsi, popełnilibyście wielki błąd. Rezydencja to prawdziwa forteca. Kto próbowałby się tam dostać, skazuje się na pewną śmierć. Och, możecie nie wiedzieć, o której posiadłości mówię, mam ich wiele w okolicy Arrowhead i Big Bear, wszystkie zapisane na fikcyjnych właścicielach. Mała szansa, że mnie odnajdziecie.

A oto szczegóły, na które pani czeka, pani Lambert. Dokonamy wymiany. Pani dostarczy mi Genevieve Spenser, a ja odeślę dzieci tam, skąd przybyły. Prosta, czysta transakcja. Zadaje sobie pani pytania, dlaczego chcę dostać Genevieve Spenser? Ponieważ zabiłem już wszystkich, którzy próbowali wejść mi w drogę i pokrzyżować plany. Została tylko Genevieve Spenser, ona jedna. To mi się nie podoba. Drażni, jakby ktoś posypywał ranę solą. Rozumie pani chyba, co mam na myśli? Zabiję ją, proszę się nie łudzić, że będzie inaczej. Zasada Siódemki musi zamienić się w zasraną Zasadę Jedyńki. I powiem pani,

że to kolejna rzecz, która mi się nie podoba. Ma pani wybór. Sześcioro małych oberwańców, których i tak czeka szybka śmierć albo o jedną prawniczkę mniej na świecie. Zna pani ten stary dowcip? Jak nazwać stu prawników na dnie oceanu? Dobrym początkiem. Wiem, jaką podejmie pani decyzję, tak naprawdę nie ma pani żadnego wyboru. Powiadomię jeszcze o terminie i miejscu wymiany.

Kamerzysta, profesjonalista w swoim fachu, wyłączył kamerę, wiedział doskonale, że to już koniec wystąpienia. Zgasły reflektory.

- Wyślesz ten materiał tam, gdzie powinien trafić. Sprawdzisz, czy wilczyca, która nimi zarządza, dostała film, i dostarczysz mi jej odpowiedź. Zrozumiałeś? - Zbędne pytanie. Ludzie, którzy dla niego pracowali, świetnie wiedzieli, co się stanie, jeśli któryś zawiedzie. Śmierć Takashiego była dla wszystkich ponurym ostrzeżeniem.

Harry uśmiechnął się uroczo, słysząc gorliwe zapewnienia, że wszystko zostanie załatwione zgodnie z jego życzeniem, po czym zwrócił się do odrażających dzieci:

- Chodźcie, maluchy - powiedział. - Pojedziemy na wycieczkę.

Odezwała się czarna, chuda i wysoka dziewczynka, która najwyraźniej uznała się za przywódczynię żalosego stadka i która od początku budziła w Harrym największy wstręt.

- Nigdzie z panem nie pojedziemy - oznajmiła stanowczym tonem.

- Niestety, pojedziecie, moja mała. - Rozbawiła Harry'ego swoim uporem.

- Mam tu ze dwudziestu silnych, roślących facetów, którzy tylko czekają, żeby spełnić każde moje polecenie, a wy jesteście tylko małymi dziećmi, więc róbcie lepiej, co mówię i wsiadajcie do tego pieprzonego mikrobusu.

Teraz odezwał się jakiś nazbyt pewny siebie smarkacz:

- Pan nie powinien używać brzydkich słów - pouczył Harry'ego z powagą.

- Jasne, masz rację. Najmocniej was przepraszam. Idźcie za tym panem - wskazał jednego ze swoich licznych pomocników. - Pojedziecie ślicznym białym mikrobusikiem w góry. Czeka was bardzo miła przejażdżka. Ruszajcie się.

- A jeśli się nie ruszymy? - zapytała samozwańcza przywódczyni grupy.

Chętnie skrzyłby jej kark. Rozmarzył się na tę myśl. Kiedy już dojdzie do wymiany, a nie miał wątpliwości, że dojdzie, może odeśle pięcioro dzieci, zamiast sześciorga...

- Jak się nazywasz, mała?

- Tiffany Leticia Ambrose.

Tiffany. Niebawem, żeby taki mały śmieć miał na imię Tiffany.

- Posłuchaj, Tiffany, jeśli natychmiast nie zamkniesz buzi, twoi przyjaciele zapłacą za to. Zrozumiałaś?

Inne dziecko wybuchłoby płaczem, ale dziewczynka skinęła tylko głową i cofnęła się. Harry obdarzył gromadkę dobrodusznym uśmiechem.

- Zatem postanowione, tak? Decyzja podjęta? Jedziemy w góry.

Nie czekając na odpowiedź, Harry ruszył do drzwi. Dzieci podreptały za nim posłusznie, niczym owce idące na rzeź.

Genevieve obudziła się późnym rankiem. W telewizji, zamiast wiadomości przeplatanych gęsto reklamami, leciały bezsensowne kreskówki dla dzieci. Żeby chociaż jakieś japońskie, pomyślała kwaśno. Usłyszała energiczne kroki, zaraz potem rozległo się pukanie do drzwi, znak, że najwyższa pora wstawać. Czy to dobry dzień, żeby iść na śmierć?

Nie wiedziała, co zobaczy za drzwiami. Wizjer został zablokowany przez jakiegoś poprzedniego lokatora, ale zakładała, że Peter nie pozwoliłby się zbliżyć nikomu obcemu do jej pokoju. A nawet gdyby pozwolił... Było jej już wszystko jedno.

Otworzyła drzwi i spojrzała na kobietę stojącą w progu. Elegancka, piękna, o chłodnej urodzie, pozbawiona wieku, sprawiała trochę niesamowite wrażenie. Uśmiechnęła się do Gene, widząc jej zaszokowaną minę.

- Isobel Lambert - przedstawiła się, wymawiając nazwisko po francusku. - Jestem szefową Petera, szefową Komitetu, mówiąc dokładnie. Mogę wejść?

Genevieve otworzyła szerzej drzwi, powstrzymując się przed sprawdzeniem, czy samochód Petera stoi nadal na parkingu, a jeśli tak, to czy Peter w nim siedzi. Madame Lambert mogła mieć jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, wysokie szpilki czyniły ją znacznie wyższą, ale i tak Genevieve wydała się maleńka.

- Przepraszam, ale nie mogę zaproponować ani krzesła, ani kawy - powiedziała, nie ukrywając niechęci. - Jak pani widzi, nie mam tutaj warunków do przyjmowania gości.

Isobel Lambert spojrzała na łóżko, właśnie na to, na którym kochali się poprzedniej nocy, i Genevieve poczuła, że jeszcze chwila, a zacznie krzyżeć. Czy wszyscy ci ludzie mają szósty zmysł? Dlaczego Isobel Lambert nie spojrzała na drugie łóżko?

Genevieve usiadła na łóżku Petera. Niech sobie jej niespodziewany gość myśli, co chce. Cholera, nie, Peter zapewne zdał jej dokładną relację. Albo jeszcze gorzej, przespał się z Genevieve na wyraźne polecenie swojej szefowej.

Nie powinna się nad tym zastanawiać, jeśli nie chce zwariować. Spała w ubraniu i teraz czuła się wymięta, nieświeża. Głupi pomysł, jeśli nie ma się rzeczy na zmianę. Z drugiej strony patrząc, prawdopodobnie nie będą jej już potrzebne.

Madame Lambert usiadła na sąsiednim łóżku, założyła nogę na nogę i wyjęła papierosa.

- Pozwoli pani, że zapalę? Niestety, znowu wróciłam do nałogu.

Pokój już i tak śmierdział dymem papierosowym i Genevieve było absolutnie obojętne, czy madame Lambert będzie paliła czy nie.

- Proszę bardzo. Papierosy mi nie przeszkadzają. W mojej sytuacji nie muszę się raczej martwić, że grozi mi śmierć od biernego palenia.

- Proszę nie mówić o śmierci, pani Spenser. Pani nie umrze.

- Genevieve. Dajmy sobie spokój z kurtuazją, skoro wydajesz mnie w ręce mordercy.

Madame Lambert uśmiechnęła się.

- Peter uprzedzał mnie, że jesteś ostra. Bardzo dobrze. Gdybyś była mazgajem, nie wysunęłabym tej propozycji.

- Potrafię płakać - poinformowała swojego gościa skwapliwie Genevieve.

- Zaraz mogę się rozszlochać. - Mówiła prawdę. Od wielu, bardzo wielu dni była na skraju załamania. Miała wrażenie, że kiedy raz już zacznie płakać, nie będzie w stanie przestać, ale resztki zdrowego rozsądku, które jeszcze zachowała, nie pozwalały jej na to.

- Peter powiedział mi, że się zgadzasz. Coś źle zrozumiałam? - Na idealnie gładkiej twarzy Isobel odmalowało się zafrasowanie. Ile operacji plastycznych musiała przejść, ile zastrzyków z botoksu sobie zaaplikować, żeby mieć tak doskonałą, pozbawioną wieku twarz?

- Mam jakiś wybór?

- Oczywiście. Czego nie da się powiedzieć o sześcioru dzieci, które Harry zabije, jeśli cię nie dostanie.

Genevieve poczuła, że robi się jej niedobrze. Co za koszmar, pomyślała z rezygnacją.

- A więc jednak nie mam żadnego wyboru - stwierdziła sucho.

Madame Lambert skinęła głową.

- Wymiana ma nastąpić w posiadłości Van Dorna nad jeziorem Arrowhead. Nie wiem, dlaczego wybrał właśnie to miejsce. Stamtąd do podnóża gór prowadzą tylko dwie drogi.

- Widocznie czuje się zupełnie bezpieczny.

- Bardzo możliwe. Takie sytuacje już się zdarzały. W naszej profesji musimy podejmować trudne decyzje moralne, Genevieve. Nie zawsze można powstrzymać zło, ale Harry się nam nie wymknie. Nie pozwolimy, żeby zrobił krzywdę tobie czy dzieciom.

- Znaleźliście ciało Takashiego?

Przez twarz madame Lambert przemknął ledwie zauważalny cień.

- Nie - odpowiedziała po chwili. - To twardy człowiek, nie dałby się tak łatwo zlikwidować. Mam nadzieję, że jednak żyje.

- On mnie uratował.

- Peter też cię ratował - poprawiła Genevieve madame Lambert. - Więcej niż raz, jeśli chodzi o ścisłość.

- Miał mnie zabić. Z twojego polecenia? Madame Lambert nie okazała najmniejszego zakłopotania.

- Tak, z mojego polecenia. Bardzo trudno było mi je wydać i cieszę się, że nie posłuchał.

- Nic straconego - wycedziła Genevieve. - Nadarza się całkiem nowa sposobność. Jeszcze będę miała okazję zginać marnie.

Madame Lambert wstała i zgasiła niedopalonego papierosa w popielniczce.

- Nie zginiesz - powtórzyła. - Zrobię wszystko, żebyś wyszła z tego cało. Będziesz miała kamizelkę kuloodporną. Na wszelki wypadek. Nasi snajperzy obstawią rezydencję. Harry zginie, nie ty.

- Może powinniście pomyśleć też o lekarzu, gdyby potrzebny był ktoś do udzielenia pierwszej pomocy - zakpiła Genevieve.

Madame Lambert zmierzyła ją chłodnym wzrokiem.

- Zawsze mamy lekarza w pobliżu miejsca akcji - odparła.

- On powtórzył ci, jakie stawiam warunki?

- On, czyli Peter? Tak. Powiedział, że nie chcesz go widzieć w pobliżu. Zapomnij, przepraszam za określenie, o niedojrzałych emocjach. To zbyt poważna akcja, sprawa życia i śmierci. Peter jest naszym najlepszym agentem. Nikt nie zadba o twoje bezpieczeństwo tak jak on.

- Rewelacja - sarknęła Genevieve. - I nie wmawiaj mi, proszę, że kieruję się niedojrzałymi emocjami. Po prostu nie lubię, kiedy ktoś mnie cynicznie wykorzystuje.

- Kto powiedział, że to ty kierujesz się niedojrzałymi emocjami? - Madame Lambert uśmiechnęła się nieznacznie. - Wymiana ma nastąpić o trzeciej po południu. Zapowiadają mgłę. Może być niebezpiecznie. Musisz być potwornie głodna. - Madame Lambert zmieniła nieoczekiwanie temat. - Odśwież się trochę. Zapraszam cię na późne śniadanie.

- Nie jestem głodna - skłamała, urażona tym „odśwież się”. Owszem, wyglądała niezbyt świeżo, szczególnie przy nieskazitelnej madame Lambert, ale jeszcze kilka tygodni temu ona też była zadbana i niezwykle elegancka. Ciuchy od najlepszych projektantów, drogie buty, doskonały makijaż, włosy... Prawdziwe uosobienie korporacyjnej damy.

Teraz czuła się wymięta, była na bosaka, miała włosy w nieładzie i śladu makijażu na twarzy. Żadnej ochrony, maski, za którą mogłaby się ukryć.

- Ostatecznie mogłabym coś zjeść - dodała zmęczonym głosem, widząc, że Isobel czeka w milczeniu. - Pod warunkiem, że nie natknę się na nikogo, kto zepsuje mi apetyt.

- Peter jest już w drodze do Anglii - powiedziała Isobel. - Obawiam się, że nie zostawił ci żadnej wiadomości.

Genevieve nie zareagowała. Spodziewała się czegoś takiego. Prawda, powiedziała, żeby zniknął jej z oczu, ale dlaczego posłuchał? Rzucił ją na pożarcie wilkom i spokojnie wsiadł do samolotu. Drań.

Podniosła się.

- Ogarnę się trochę. Daj mi pół godziny - powiedziała spokojnym głosem.

- Oczywiście. Nigdzie się nam nie spieszy. - Madame Lambert nie ruszyła się ze swojego miejsca i nic nie wskazywało, że ma taki zamiar.

- Mogłabyś zostawić mnie samą?

- Nie bądź śmieszna, moje dziecko. Wy, Amerykanie, jesteście strasznie pruderyjni. Przyrzekam, że nie będę podglądać, ale przez najbliższe godziny musisz być pod stałą opieką.

- Na wypadek, gdybym się rozmyśliła?

- W każdej chwili możesz zmienić zdanie. Harry Van Dorn przeżył kilka przykrych rozczarowań i jest gotów na wszystko. Pokrzyżowaliśmy mu dość poważnie plany, nad którymi długo pracował. Jest wściekły, że musi żądać wymiany, ale nie dopuści, żebyś mu się wymknęła. Chce się na nas zemścić. Nie wystarczy mu świadomość, że usunął Takashiego i Petera.

- Co takiego? - Genevieve nawet nie próbowała ukryć przerażenia.

Madame Lambert uśmiechnęła się uspokajająco.

- Jest przekonany, że Peter zginął na jachcie. Gdyby wiedział, że żyje, z pewnością zażądałby wydania jego, nie ciebie.

- To dlaczego tego nie zrobisz? - Nie życzyła Peterowi spotkania z Harrym, ale z pewnością on miałby większe szanse niż ona.

- Lepiej, by Harry nadal uważał, że Peter nie żyje.

- A mnie można poświęcić, tak?

- Tego nie powiedziałam. W każdej chwili możesz się wycofać.

- Przestań powtarzać w kółko to samo. Wiesz, że się nie wycofam. Ty może potrafisz pogodzić się ze śmiercią sześciorga dzieci, ja nie.

- Wierz mi, moja droga, musiałam godzić się ze znacznie gorszymi rzeczami. - Isobel sięgnęła po następnego papierosa.

- Wolałabym jednak, żebyś nie paliła. Nie chcę umierać, cuchnąc dymem.

- Jak sobie życzysz - odparła i schowała paczkę dobrych papierosów do torebki Hermesa, tak zawrotnie drogiej, że nawet Genevieve powstrzymała się od jej kupna.

- Pewnie zadajesz sobie pytanie, co Peter we mnie zobaczył - zagadnęła Gene, kiedy wyszła spod prysznic. Madame Lambert tymczasem posłała łóżko

i leżała teraz na nim wygodnie wyciągnięta. - Odpowiedź brzmi: nic nie zobaczył. Potraktował mnie jako zadanie służbowe.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda, moja droga - powiedziała madame Lambert pogodnie, uśmiechając się. - Zachowujesz się jak nastolatka, która właśnie odkryła seks.

Genevieve, a właśnie zapinała dzinsy, znieruchomiała.

- Posłuchaj, ryzykuję życie dla tego waszego Komitetu i nie chcę słuchać twoich protekcjonalnych uwag.

- Masz rację. Po prostu zapomniałam już, jak to jest być młodą i zakochaną.

- Musisz zapytać kogoś innego. Ja nie czuję się ani młoda, ani, tym bardziej, zakochana.

Madame Lambert nic nie powiedziała, ale jej uśmiech mówił wszystko.

Harry nienawidził dzieci. Mógł jeszcze znieść ładne i zdrowe, ale te tutaj były chore, wstrętne i nieznośne. Bez przerwy gadały, wierciły się, nie potrafiły usiedzieć spokojnie.

Kilka razy zwrócił im ostro uwagę, ale jego gniewny głos i surowa mina nie robiły na tych łachmytach żadnego wrażenia. Nie boją się, pomyślał z rezygnacją. Nie boją się mnie, zupełnie tak samo jak dranie z Komitetu, którzy zniszczyli mój wspaniały plan.

Teraz on, w odwecie, zniszczy Komitet. Oto nowy cel, Wyłapie wszystkich członków tej przeklętej organizacji, nikt nie przeżyje. A potem stworzy nową Zasadę Siódemki, jeszcze bardziej spektakularną, jeszcze groźniejszą. Następnym razem już mu nie przeszkodzą.

Zemści się choćby za to, że agenci Komitetu wdarli się w jego prywatne życie. Nie rozumiał ciągle, jak mógł dopuścić do siebie Jensena i O'Briena. W działaniu tych ludzi było coś pokrętnego, mętnego, śliskiego, co budziło obrzydzenie Harry'ego. Cóż, widać musieli uciekać się do takich metod, nie posiadali jego talentów i jego wyobraźni.

Już zacierał dłonie na myśl o Genevieve Spenser. Peter Jensen będzie obracał się w swoim grobie. Skoro Harry nie może już osiągnąć tego zdrajcy, swojego byłego sekretarza, zajmie się prawniczką. Może będzie to nawet większa satysfakcja niż ta, którą miałby z zadawania powolnej śmierci Jensenowi.

Najpierw jednak powinien pozbyć się rozwrzeszczanych bachorów.

- Zatrzymaj się - nakazał kierowcy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kamizelka była za ciasna. Gdyby Peter był tutaj, z pewnością zadbałby o właściwy rozmiar, pomyślała Genevieve smętnie. Dopięła ją w końcu, włożyła T-shirt i bluzę i wsiadła do sedana, który miał zawieźć ją do górskiej posiadłości Harry'ego. Nie mogła swobodnie oddychać, a pomysł z kamizelką uważała za całkowicie pozbawiony sensu. Jeśli Harry będzie chciał ją zabić, strzeli jej raczej w głowę. Wzdrygnęła się na tę myśl.

- Zimno ci? - zapytała madame Lambert. - Zrobiło się chłodno.

Zapowiadali mgłę. Może okryjesz się kocem?

- Nie trzeba - powiedziała nieswoim głosem.

- A co z twoimi lekami? Peter mówił, że bierzesz środki uspokajające.

- Niech diabli wezmą Petera - sarknęła. Prawdę powiedziawszy, od bardzo dawna nie myślała o swoich żółtych tabletkach. Widocznie nie potrzebowała ich w naprawę krytycznych sytuacjach. Były dobre na drobne kłopoty.

- Mogę je dla ciebie zamówić. Wystarczy jeden telefon i twoje tabletki będą na nas czekały na miejscu. Mogę zamówić, cokolwiek zechcesz.

Gene miała ochotę poprosić o tab. Ostatnie życzenie skazańca...

- Nic mi nie trzeba. Dziękuję - mruknęła.

W ostatnich latach przez górskie lasy musiał przejść pożar, bo widziała po bokach szosy i na stokach osmalone kikuty drzew, smętne cmentarzysko, jakie pozostawił po sobie bezlitosny ogień.

Odwróciła wzrok. Naprawdę wieźli ją na śmierć? Miała umrzeć wśród tych spustoszonych przez żywioł lasów? Mogła się jeszcze wycofać?

Mgła gęstniała z każdym kilometrem, w miarę jak samochód piał się w górę. Madame Lambert otworzyła komunikator, identyczny jak ten, którego używał Peter, i coś na nim wystukiwała. Nowoczesna technologia, świat tajnych agentów, zakonspirowanych organizacji, pomyślała Genevieve z ironią. Tajni agenci? Prawdę mówiąc, dotąd nie wiedziała, z kim właściwie ma do czynienia. I było jej to najzupełniej obojętne.

- Powiedzmy, że uda się wam zabić Harry'ego - zagadnęła. - Co dalej?

- Harry zginie w wypadku samochodowym. Na tych górskich drogach nietrudno o nieszczęście. Tak będzie brzmiała oficjalna wersja. Waszemu rządowi na tym zależy. Mamy swoich ludzi w Waszyngtonie, pomogą nam zatuszować sprawę. Nawet pan prezydent, serdeczny przyjaciel Harry'ego, nigdy nie pozna prawdy.

- Ale ja będę znała prawdę. Co zrobicie ze mną? Też zaaranżujecie wypadek na górskiej drodze?

- Oglądasz za dużo thrillerów, Genevieve - stwierdziła madame Lambert.

- Nie powiesz nikomu ani słowa. Po pierwsze, nikt ci nie uwierzy. Po drugie, będziesz chciała jak najszybciej zapomnieć o przeżyciach ostatnich tygodni, zostawić wszystko za sobą. Jest jeszcze coś...

- Mianowicie?

- Nie będziesz chciała zaszkodzić Peterowi i nie ujawnisz jego tożsamości, choćbyś czuła się nie wiem jak bardzo zraniona.

- Mówisz o ewentualnych ranach fizycznych? Zaręczam ci, że na psychice żadnych nie odniosłam.

- Ma się rozumieć, że nie odniosłaś - przytaknęła madame Lambert chłodno. - Fizycznych też nie musisz się obawiać. Będziesz dobrze chroniona.

Żadna kamizelka nie była w stanie ochronić jej przed cierpieniem, jakie zadał jej Peter.

- Jestem gotowa - powiedziała bardzo zmęczonym głosem.

- To dobrze - odparła Isobel. - Właśnie dojeżdżamy na miejsce.

Peter klął najgorszymi słowy gęstniejącą mgłę. Ze swojego punktu obserwacyjnego powinien mieć doskonały widok na podjazd przed rezydencją Harry'ego, nie przewidział tylko tej cholernej mgły. Był z nim Mannion, który brał udział w zakończonej niepowodzeniem akcji uprowadzenia Harry'ego. Odebrał właśnie kolejną wiadomość i skrzywił się paskudnie.

- Myślisz, że Van Dorn jest w stanie kontrolować pogodę? - zagadnął cierpko. - Zaczynam podejrzewać, że ten facet może wszystko.

- Z jego kasą... - mruknął Peter, usiłując coś dojrzeć przez kłębiące się mleczne opary. Odstawił na moment karabinek szybkostrzelny, oparł się o drzewo i zamknął oczy.

- Tam na dole na razie nic się nie dzieje - powiedział Mannion. - Powinni chyba już być? Może czekają, aż mgła opadnie.

- Albo będzie jeszcze gorzej. Madame Lambert bierze to na pewno pod uwagę. Niedługo powinni się pojawić.

Mannion spojrzał znowu na wyświetlacz komunikatora, nacisnął kilka guzików i uśmiechnął się szeroko.

- Co tam? - zainteresował się Peter.

- Znaleźli Takashiego. Jest cały, chociaż mocno poturbowany. Stan ciężki, ale znasz Takashiego. Jest twardy. Przeżyje.

- To jest jakaś wiadomość - przytaknął Peter. Na podjeździe pojawił się nagle mikrobus, we mgle niósł się stłumiony warkot. Kierowca z jakichś powodów nie wyłączył silnika. Czy Harry przywiózł dzieci, czy też zabił je po drodze? Może zechce wycofać się z ultimatum, nie dotrzyma danego słowa? Po

Harrym można było spodziewać się wszystko. Był nieobliczalny. Peter nie zdziwiłby się, gdyby próbował wystawić ich teraz do wiatru. Wydawało mu się, że może zrobić wszystko i nie poniesie żadnych konsekwencji. Stracił poczucie rzeczywistości, co czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Kłęby mgły na chwilę się rozproszyły i Peter widział teraz bardzo dokładnie samochód, ale nie dojrzał dzieci. Usłyszał nadjeżdżający następny samochód. To musiały być Genny i madame Lambert.

Nie chciał, żeby się zgodziła na wymianę. Powinien był jej to powiedzieć, ale coś go powstrzymało. A teraz Genny może zginąć, bo on z niewiadomych powodów zachował się jak ostatni idiota. Samochód zatrzymał się przed ciężką żelazną bramą i czekał. Czekał. Peter poczuł niemiłą suchość w ustach.

Mannion wiedział, że lepiej się nie odzywać. Obserwował uważnie samochód, ściskając w dłoniach karabinek.

Wokół rezydencji rozstawieni byli jeszcze inni snajperzy, ale Peter i Mannion zajęli najlepsze miejsce. Teraz wszystko zależało od ich refleksu. Peterowi jeszcze nigdy nie zdarzyło się spudłować, nawet w najtrudniejszych warunkach nie chybiał celu, czy to we mgle, czy w bezksiężycową noc. Ochroni Genevieve. Nie zamierzał szukać teraz usprawiedliwień, okłamywać samego siebie. Liczyło się tylko jedno: Genny musi wyjść cało z akcji. Zdarzyło się coś niewiarygodnego, nieprawdopodobnego. Zakochał się. Po raz drugi w życiu zakochał się, on, który nie wierzył w miłość.

Nie chodziło o seks. I nie obudził się w nim też żaden kretyński instynkt opiekuńczy. W Komitecie byli doświadczeni agenci, którzy potrafiliby zapewnić jej równie dobrą ochronę, jak on.

Nie chodziło również o to, że zamierzał z nią żyć długo i szczęśliwie, do końca swoich dni. Pokochał ją, ale wierzył szczerze oraz głęboko, że nie zobaczy jej już nigdy więcej. Chciał wrócić do swojego zwykłego, wypełnionego chłodem życia. Żadnych ciepłych uczuć, żadnych uniesień i wzruszeń...

Brama otworzyła się w końcu powoli, samochód stanął na podjeździe przed domem, otworzyły się tylne drzwiczki. Zobaczył jej jasne włosy i wstrzymał oddech. O ile wiedział, Harry nie miał snajperów wokół rezydencji, ale lepiej dmuchać na zimne.

Stała przez chwilę bez ruchu, sztywno wyprostowana, prawdopodobnie z powodu kamizelki, w którą ją ubrali. Zrobiła krok, potem następny i z mikrobusu wysiadł Harry.

Miał go już na celowniku, ale kłębiąca się mgła przesłoniła znowu postacie na podjeździe, uniemożliwiając strzał.

- Peter! - usłyszał nagłący szept Manniona.

- Zamknij się - syknął. - Nic nie widzę.

- Strzelajże, człowieku. Nie przywiózł dzieci. Znaleźli je truchtające poboczem drogi. Nie będzie żadnej wymiany. Spenser powinna się wycofać.

Mgła spowiła wszystko. Nie mógł już dojrzeć rezydencji, podjazdu, samochodów, Harry'ego, Genny, kompletnie nic.

Nie wahał się ani chwili.

- Uciekaj, Genny! Uciekaj natychmiast! - krzyknął ile sił w płucach i zaczął schodzić po zboczu.

Poślizgnął się i stoczył prosto w reflektory samochodu, który przywiózł Genny. Przeturlał się błyskawicznie w pobliskie krzaki, podniósł szybko i w tej samej chwili z mgły wyłoniła się madame Lambert.

- Ma ją - powiedziała. Odniósł wrażenie, że słyszy niekłamaną troskę w jej zwykle chłodnym, opanowanym głosie. - Wsadził ją do limuzyny i odjechał. Przykro mi, Peter. Na szczęście nie uda mu się wywieźć jej daleko.

Zablokowaliśmy obydwie drogi. Gdyby nie ta cholerna mgła...

Nigdy dotąd nie słyszał, żeby madame Lambert klęła. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Biorę samochód.

- Powinieneś poczekać na posiłki.

- Biorę samochód - powtórzył twardo. Po chwili zniknął w gęstej mgle.

Harry Van Dora nie pamiętał, kiedy był w tak doskonałym humorze. W ostatnich tygodniach przyglądał się bezradnie, jak jego kolejne plany sypią się w gruzy, jak zdradzają go najbardziej zaufani ludzie. Wreszcie coś mu się udało. Oto Genevieve Spenser siedziała obok niego w limuzynie, blada i przerażona. Dostał prawdziwy prezent od losu. Znowu należał do wybranych. Zawsze należał do wybranych. Powinien o tym pamiętać, nawet kiedy prześladował go pech.

- A więc Jensen żyje - odezwał się, otworzył barek i nalał sobie drinka. - Masz na coś ochotę? Może ciastko? Niestety nie mam wody, którą lubisz, ale mogę służyć wszystkim innym.

- Dziękuję - odparła krótko. - Nic mi nie trzeba. Harry zaśmiał się.

- Wątpię. Można wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jensen żyje?

- Skąd ta pewność, że żyje?

- Nie próbuj robić ze mnie idioty. Słyszałem jego głos. Trochę za późno się obudził, ale od początku stałaś mu na drodze. Gdyby nie ty, już dawno bym nie żył.

- Powinieneś być mi wdzięczny - mruknęła. Uderzył ją w twarz wierzchem dłoni i głowa

Genny poleciała do tyłu.

- Nie lubię pyskatek kobiet, nie mówiłem ci o tym? Twój szefowie powinni przysłać mi kogoś innego, nie taką wyszczekaną papugę.

- Prawnicy zazwyczaj są wyszczekani. Takie skrzywienie zawodowe.

Uderzył ją ponownie, rozcinając wargę. Spodobało mu się to, ale nie chciał, żeby pobrudziła krwią tapicerkę. Wystarczy, że dzieciaki zapaprały mu mikrobus. Jedno się porzygało na krętych górskich drogach. Wysadził je na szosie i zostawił we mgle, na chłodzie, w spalonym lesie. Nie wierzył, by trafiły z powrotem do swojego domu opieki. A niech się błakają po nocy.

Nie wymyślił jeszcze żadnego wyjaśnienia, dlaczego tak postąpił, był zbyt zajęty siedzącą obok niego Spenser i perspektywą słodkiej zemsty. Jeśli ktoś znajdzie w końcu dzieciaki, i tak nie uwierzy w ani jedno ich słowo.

Opiekunowie dadzą raczej wiarę godnemu zaufania, przemiłemu panu Van Dornowi. Coś wymyśli, tłumaczenie przyjdzie samo, nie musiał się martwić.

Zawsze miał głowę pełną pomysłów. Wszyscy uwielbiali Harry'ego Van Dorna. Harry Van Dorn nie był w stanie zrobić nikomu krzywdy.

- Uważaj, panienko. Nie irytuj mnie. Fakt, że

Jensen żyje, wszystko zmienia. Będzie próbował cię ratować. Będzie nas ścigać.

- Nie bądź śmieszny, Van Dorn. Gdyby Peter żył i gdyby choć trochę mu na mnie zależało, nie pozwoliłby wydać mnie w twoje ręce.

- Dobrze powiedziane - przyznał Harry. - Nie tracę jednak nadziei. Ujmę to tak. Nie tknę cię, dopóki nie zyskam pewności, że Jensen, szlachetny rycerz w lśniącej zbroi, ruszył ci na ratunek.

- On nazywa się Madsen.

Przez chwilę rozważał, czy znowu jej nie uderzyć, w końcu uznał, że nie warto.

- Niech patrzy, jak się męczysz, niech się przygląda. Podwójne cierpienie, podwójna przyjemność.

- On widział wielu umierających - odpowiedziała Genevieve spokojnie, za spokojnie jak na gust Harry'ego. - Nie będzie go obchodziło, co ze mną zrobisz, nie jest szczególnie uczuciowy. Możesz też zabić najpierw jego i kazać mi patrzeć, ale obawiam się, że spotka cię rozczarowanie. Sama chętnie zabiłabym Madsena, jeśli tylko...

- Mogłabyś się wreszcie zamknąć?

- Raczej nie.

Och, śmierć tej jędzy sprawi mu prawdziwą rozkosz, większą niż śmierć kogokolwiek innego. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej irytująca. Przyprawiała go o większą wściekłość niż sam Jensen... Madsen.

- Raczej tak - powiedział i zalepił jej usta taśmą klejącą.

Prawie nie widział drogi, ale parł przed siebie, niemal po omacku, niczym nietoperz z piekła rodem, wypatrując tylnych świateł samochodu Van Dorna. Dokąd ją wiozł w tej strasznej mgle?

Jechali limuzyną, zapewne z szoferem, bo Harry lubił wysługiwać się innymi. Byłoby mu zresztą trudno prowadzić we mgle i pacyfikować Genevieve.

Zapewne siedział z nią z tyłu. Peter nacisnął pedał gazu, ale wypożyczony samochód był wyjątkowo wolny, włókł się niemiłosiernie, zresztą w tej mgle nawet najszybszy zdałby się na niewiele. Droga prowadziła do Big Bear, położonego nad jeziorem taniego, tandetnego ośrodka dla wczasowiczów bez pieniędzy. Jeśli Harry zdążył już tam dotrzeć, będzie trudno go znaleźć, ale Peter nie tracił nadziei. Spojrzał na karabinek leżący obok na siedzeniu. Zabije Harry'ego, zabije z rozkoszą, byle tylko go znalazł.

Tuż za Running Springs zobaczył wreszcie światła przed sobą, ledwie widoczne w gęstej mgle. Ponownie docisnął pedał gazu i samochodem zarzuciło na mokrym asfalcie. Kiedy odzyskał panowanie nad kierownicą, jadący przed nim samochód zdążył zniknąć. Uderzył dłonią w kierownicę i zaklął paskudnie.

Na prostym odcinku szosy znowu przyspieszył. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Zmienił światła na krótkie w nadziei, że będzie widział lepiej, kiedy z mroku wyłonił się jakiś samochód. Peter gwałtownie skręcił kierownicę wprawo... i znalazł się w rowie.

Wygramolił się z samochodu, gotów zabić idiotę, który o mało nie zderzył się z nim czołowo, i wtedy usłyszał głos, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć.

- Zostawił limuzynę na poboczu i poprowadził Spenser do lasu - poinformował go Bastien Toussaint. - Jedziesz w złym kierunku.

Peter zamarł. Oszczędził sobie zadawania idiotycznych pytań, skąd Bastien wie o wszystkim. W zamian zapytał o to, co w tej chwili było najważniejsze:

- Dokąd ją zabrał?

- Tu niedaleko jest opuszczony budynek szkolny. Rezydencja jakiejś gwiazdy filmowej przerobiona potem na szkołę. Dom od lat stoi pusty. Harry kupił go jakiś czas temu. Tam ją zabrał. Będzie czekał na ciebie, spodziewa się, że spróbujesz ją ratować. Wie już, że żyjesz.

- Owszem, zamierzam ją uratować. A ty skąd się tutaj wzięłeś, do diabła?

- Nie mógł się jednak powstrzymać od głupiego pytania. - Nie powinienes niańczyć dziecka?

- Dziecko jeszcze się nie urodziło. Madame Lambert prosiła mnie o pomoc, a ona, jak wiesz, nie lubi prosić. Wiele ci zawdzięczam, pora spłacić dług. Chodź, pokażę ci drogę. Pospieszmy się. Nie powinniśmy zostawiać Harry'ego sam na sam z twoją dziewczyną...

- Ona nie jest moją...

- Daj spokój, Peter. Nie wysilaj się, oszczędzaj energię. Wydostaniemy ją stamtąd, zrobimy porządek z Harrym, wtedy będziesz mógł zaprzeczać do upojenia. Mnie to naprawdę obojętne, kim jest dla ciebie ta Spenser. Tymczasem rzeczywiście musimy się spieszyć i odbić dziewczynę, zanim Harry'emu znudzi się zabawa. Wie, że go w końcu znajdziesz, nawet bez mojej pomocy. Liczy na to, czeka na ciebie, ale nigdy nie należał do szczególnie cierpliwych.

Bastien nie musiał mu towarzyszyć. Nie powinien się narażać, wycofał się przecież z zawodu, zerwał z niebezpiecznym życiem. Peter nie próbował nawet z nim dyskutować, wiedział, że tak czy inaczej przyjaciel z nim pójdzie i żadne

argumenty nie odwiodą go od tego zamiaru. Będzie ubezpieczał Petera, tak jak Peter wiele razy ubezpieczał jego. Wspólnymi siłami uratują Genevieve.

Żeby tylko zdążyli na czas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Dom był bardzo ładny, mimo że zaniedbany. Genevieve miała okazję podziwiać go do woli. Zakneblowaną, ze skrępowanymi dłońmi, Harry poprowadził ją długim podjazdem.

- Tutaj jest basen - poinformował ją jowialnie, kiedy wchodzili po kamiennych stopniach. - Wody w nim niewiele, ale wystarczy, żeby cię utopić, o ile smród wcześniej cię nie zabije. - Pchnął ciężkie drzwi i wprowadził ją do wnętrza, zapalił światła. Stali pośrodku przestronnego holu z wielkim kominem, nad którym widniało szlachetnie brzmiące motto „Prawda cię wyzwoli”. Pod ścianami znajdowały się ławy, a na wysokości pierwszego piętra - galeryjka.

„Prawda cię wyzwoli”... Gdyby nie knebel na ustach, parsknęłaby śmiechem.

- Wspaniały dom, prawda? - zagadnął Harry radośnie, niczym mały chłopiec, który cieszy się nową zabawką. - Należał do Johna Hustona czy kogoś takiego, w każdym razie do kogoś z branży filmowej. Później otwarto tu szkołę dla bogatych smarkaczy na odwyku. Kiedy szkołę zamknięto, kupiłem go. Mam do niego sentyment, chociaż jest zaniedbany. Oprowadzę cię, spodoba ci się.

Genevieve nie miała wyjścia, obeszła wszystkie pokoje. Kiedy pokazał jej już całość, zwracając uwagę na różne detale, posadził ją koło kominka w holu i przywiązał do krzesła.

- Szkoda, że wpuścili tutaj ćpunów. Ze złymi gówniarzami trudno sobie poradzić. Z dobrymi zresztą podobnie - mówił, wiążąc Genevieve skrupulatnie grubą nylonową linką. - Piękne węzły - pochwalił się. - Szkoda, że ich nie widzisz, Spenser. Na pewno doceniłabyś moje umiejętności. Wiesz, byłem kiedyś skautem. W Orłach, to najbardziej elitarny hufiec. Prawdziwa szkoła życia. Trzeba mieć charakter, silną wolę i dużo samozaparcia. Wiem, co myślisz. Że tatuś załatwił wszystko dzięki swoim pieniądzom. Nie w amerykańskim skautingu, moja droga. Tam pieniądze się nie liczą. Wiem, bo ojciec próbował. Żeby dostać się do Orłów, trzeba było sobie na to zasłużyć, zdobywając kolejne sprawności. I zdobywałem. Mój drużynowy byłby ze mnie dumny, gdyby widział, że nadal potrafię wiązać węzły.

Harry zaśmiał się wesoło i przerzucił linkę przez belkę pod sufitem. Próbował trzy razy, w końcu jednak mu się udało. Przywiązał wolny koniec do oparcia i przechylił krzesło, tak że stało teraz tylko na dwóch nogach. Linka wpiła się boleśnie w szyję

Genevieve. Próbowała krzyknąć, zaprotestować, ale knebel stłumił głos.

Kłęcząc teraz za nią, nie widziała, co robi i prawdę mówiąc, było jej to zupełnie obojętne. W końcu podniósł się, obszedł krzesło, cofnął się o krok i objął dumnym spojrzeniem swoje dzieło.

- Bardzo dobrze - stwierdził zadowolony. - Nie ruszaj się, nie kręć. Jeśli krzesło się przewróci, linka zaciśnie ci się wokół szyi i udusi cię. Chciałbym cię zapewnić, że będzie to trwać tylko moment i umrzesz natychmiast, ale chyba wyszedłem już trochę z wprawy. Dawno nikogo nie uśmiercałem w ten sposób i mogłem stracić wyczucie, a wtedy czekają cię prawdziwe męki. Co mnie, muszę przyznać, tylko ucieszy. Wiem, o czym teraz myślisz. Że zaraz pojawi się tu Madsen i cię uwolni, ale to chyba płonne nadzieje. Bardzo pięknie cię związałem. Będzie próbował rozwiązywać węzły, a one będą się tylko mocniej zaciskać, tak są pomyślane. Nie ma dla ciebie ratunku, Spenser. Zginiesz, a ja będę mógł zająć się twoim rycerzem. - Harry westchnął z prawdziwą

satysfakcją. - To znacznie lepszy pomysł niż wysadzanie zapory w Indiach i kilka innych eksplozji. Nie ma to jak wykonać coś własnoręcznie, nie sądzisz? Smutny koniec pyskatej jędzy. Zabawne, prawda? Wszłaś mi w drogę, a ja tylko czynię zadość sprawiedliwości. W każdym razie tak to widzę, nawet jeśli jesteś innego zdania.

Wpatrywała się w niego z pogardą i nienawiścią, ale na Harry'ego to nie działało.

- Zrobię sobie drinka. Niestety tobie nie mogę nic zaproponować, ze względu na, tak to ujmijmy, chwilowo niesprawne usta. Posiedzimy tu sobie i poczekamy na Madsena. Powinien pojawić się niebawem. To bystry chłopak, muszę przyznać. Nie próbuj się uwalniać, kiedy na moment zostawię cię samą. Zginiesz, zanim Madsen przybędzie ci na ratunek. I jak się wtedy będziesz czuła? - Zarechotał ubawiony własnym dowcipem. - Zaczekaj tu na mnie spokojnie, zaraz wracam.

Zostawił ją samą w ogromnym holu i Genevieve ponownie spojrzała na motto nad kominkiem: „Prawda cię wyzwoli”.

Usłyszała jakiś cichy odgłos, może to była mysz, może nietoperz przeleciał za oknem, a może wiatr zaszeleścił w drzewach. Nie, nie było wiatru. Wszystko spowijała gęsta mgła.

Genevieve bała się odwrócić głowę, spojrzeć. Linka wpijała się w szyję, krzesło w każdej chwili mogło się przewrócić i udusiłaby się w strasznych męczarniach. Znowu usłyszała ten sam, ledwie słyszalny odgłos dobiegający gdzieś z galerii.

Nie był to Peter. Wyczułaby jego obecność. Nie chciała umierać, czekała na niego. Może to duch jednego z tych biednych dzieciaków, a może duch gwiazdy filmowej nawiedzał dom. Człowiek zrobiłby więcej hałasu.

Wrócił Harry ze szklaneczką w jednej dłoni i nowym zapasem linki w drugiej

- Zajęta? - zapytał pogodnie. - Pewnie myślisz o strasznych torturach, które byś mi zadawała, gdybyś tylko miała szansę. Obawiam się, że to nierealne, ale fantazjuj sobie do woli. Zadawanie i znoszenie bólu to jedna z najbardziej tajemniczych rzeczy w życiu. Nie sądzę, żebyś kiedyś się nad tym głębiej zastanawiała. Chciałem cię wprowadzić w arkania cierpienia, ale biedny Jack... och, przepraszam, ty znałaś go jako Takashiego, miał świętą rację. Nie chcę resztek po Jensenie-Madsenie, czy jak tam on się nazywa.

Przywiązał jeden koniec linki do nogi krzesła, drugi do ławy wbudowanej w ścianę.

- Szkoda, że nie mogę rozpaścić ognia na kominku. Ogrzałabyś się. Z drugiej strony, nie jest ci chyba zimno. Masz przecież pod bluzą dodatkową kamizelkę, prawda? Myślisz, że nie zauważyłem? Bardzo nie lubię, kiedy ludzie mnie nie doceniają.

Spojrzał na wielki, pusty kominek.

- Nie mamy drewna. Mógłbym co prawda użyć połamanych krzesel z pokoju jadalnego, ale brakuje podpalki. Cóż, musisz jakoś znieść chłód, droga Spenser. Obiecuję, że nie będziesz marzła zbyt długo.

Poruszyła ostrożnie głową i nic się nie stało, zachowała równowagę, krzesło się nie przewróciło. Miała wrażenie, że na sosnowej podłodze dojrzała przemykający cień. Nie podniosła wzroku. Harry niczego nie zauważył. Jeszcze nie wiedział, że nie wszystko układa się po jego myśli.

Jeśli był to duch, to miała nadzieję, że wyjątkowo antypatyczny i przerazi śmiertelnie Harry'ego. Jej już nic nie było w stanie przestraszyć. Harry wydawał jej się straszniejszy od najstraszniejszych upiorów.

No tak, ale duchy nie rzucają cienia, zreflektowała się. A może tak mówi się o wampirach? Nie mogła sobie przypomnieć.

Ktoś wszedł do holu, usłyszała za plecami niespieszne, niemal leniwe kroki. To musiał być Peter. Chciała krzyknąć, ostrzec go.

- W samą porę - przywitał go Harry radośnie i pociągnął za linkę, tak że Genevieve nie mogła teraz złapać tchu. Widziała jeszcze, jak Harry wychodzi, Peter za nim. Zostawili ją obaj w pustym holu na pewną śmierć...

Ucisk zelżał, krzesło wróciło do normalnej pozycji. Genevieve spojrzała w górę i zobaczyła twarz mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Może był duchem dawnego właściciela domu. Przesadził balustradę galerii i wyładował na podłodze w holu zwinnie niczym kot.

- Proszę się nie ruszać - powiedział z ledwie wyczuwalnym francuskim akcentem. - Jestem przyjacielem Petera. Przeciąłem jedną linkę, tę najważniejszą, ale pozostałe nadal stanowią pewne zagrożenie. - Podniósł coś z podłogi i zaczął przecinać krępujące Genevieve więzy. Musiał zatem wycelować i rzucić nóż z galerii... A gdyby mnie ugodził? - pomyślała Genevieve.

Nie warto tego roztrząsać. Teraz chciała być blisko Petera. Harry miał gdzieś tu w domu karabin, widziała go podczas przymusowego zwiedzania. Przyjaciel Petera rozcinał zręcznie więzy, ale nie zdjął jej dotąd knebla. Czy i jemu Peter powiedział, że jest pyskata?

Kopnęła go, chcąc zwrócić jego uwagę na taśmę zalepiającą jej usta i poczuła, jak linka znowu zaciska się wokół szyi.

- Proszę tego nie robić - przestrzegł ją. - Pogarsza pani tylko sprawę. Jeśli martwi się pani o Petera, to zaręczam, że da sobie radę.

Wreszcie ją uwolnił, przeciął ostatnią linkę i zerwał przeklętą taśmę z ust.

- On ma karabin - próbowała powiedzieć, ale z zaciśniętego gardła wydobył się zdławiony, ochryply szept. Chciała wstać, szukać Petera, ale mężczyzna chwycił ją za rękę, nie pozwalając się ruszyć.

- Zostaw ich - nakazał surowo, przechodząc nieoczekiwanie na ty. - Nie mieszaj się.

Nie miała ołówka ani kluczy, żeby wrazić mu w oczy, nie zamierzała też zastosować ciosu w krtani, który by go zabił. W końcu uratował jej życie. Znała jeszcze jeden sposób, o którym Peter mówił, że jest zupełnie nieskuteczny.

Zamierzyła się, jakby chciała rozorać mu paznokciami twarz, on natychmiast przyjął pozycję obronną, wtedy mocnym wyrzutem stopy zbiła go z nóg. W ułamku sekundy leżał na podłodze jak długi.

Widziała, jak Harry i Peter znikają w drzwiach jadalni, pobiegła w tamtą stronę. Na zewnątrz można było wyjść albo przez kuchnię, albo przez taras. Wiedziała, że Harry, ze swoją skłonnością do teatralnych widowisk wybierze wyjście na taras. Wpadła tam w najgorszym momencie. Peter spojrzał na nią, a Harry wykorzystał moment jego nieuwagi. Strzelił kilkakrotnie, raz za razem z pistoletu. Peter upadł, krwawiąc obficie.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie i osunęła się na kolana obok niego.

- Cóż za wzruszająca scena. - Harry oparł się o balustradę. W lewej dłoni cały czas trzymał szklaneczkę z burbonem. - I bardzo dobre wejście. Pomogłaś mi wbrew swojej woli.

Peter jeszcze oddychał, ale tracił mnóstwo krwi. Ukryła twarz na jego piersi i rozszlochała się.

- Pistolet - szepnął słabo, ledwie słyszalnie.

- Weź go.

Wyczuła broń zatknietą za pasek. Nie wahała się ani chwili, sięgnęła po pistolet.

- Przeszukujesz umierającego człowieka? Zdziwiasz mnie, Spenser - zarechotał Harry. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy nawet wtedy, kiedy zobaczył w dłoni Genevieve pistolet.

- Obawiam się, że wpakowałem cały magazynek w twojego przyjaciela. Dla ciebie nie mam już kulki, ale to nie szkodzi. Nie zastrzelisz mnie. Jesteś zbyt przyzwoitym człowiekiem, żeby strzelać do nieuzbrojonego, nawet jeśli na to zasłużył.

- Może nie - szepnęła chrapliwie. - Ale Peter nie przyjechał sam.

- Coś nie tak z gardłem? - zmartwił się Harry.

- Bardzo współczuję. Niestety, nie dosłyszałem, co powiedziałaś. Twierdzisz, że ktoś jeszcze jest tutaj? I że mnie wykończy? Nie wierzę ci. Udało ci się uwolnić? Ciekawe. Musiałem jednak zrobić coś nie tak, a ty jesteś niezwykle zaradna oraz przedsiębiorcza. Za plecami mam strome zbocze góry, od tyłu nikt nie może mnie zaskoczyć. Zobaczę każdego, kto spróbuje się zbliżyć.

W domu panowała absolutna cisza i Genevieve pomyślała, że musiała popełnić najgłupszy błąd w swoim życiu. Zabiła człowieka, który pospieszył jej na ratunek. Peter leżał bez ruchu. Nie potrafiła stwierdzić, czy jeszcze oddycha.

- Zabiłeś Petera - odezwała się. - Teraz ja zabiję ciebie.

Potrafiła wycelować, nacisnąć spust. Podniosła pistolet, ale dłoń drżała jej tak strasznie, że na pewno by chybiła.

- Nie trafiłabyś nawet w stodołę, Spenser - powiedział Harry z kpina w głosie.

Nacisnęła spust, usiłując mierzyć w twarz Harry'ego. Miała przed oczami Renauda, Hansa, strażnika w garażu... Potrafi to zrobić, potrafi wpakować Harry'emu kulkę w łeb. Zabije go...

Wypuściła pistolet z ręki. Upadł jej na kolana. Miała skrwawione dłonie, krew na dzinsach... krew uchodzącą z Petera.

- Widzisz, nie jesteś w stanie tego zrobić - stwierdził Harry triumfalnie i stanął na balustradzie, gotując się do skoku.

Genevieve podniosła pistolet i cisnęła w niego. Uderzył Harry'ego prosto w twarz, z wielką siłą. Harry poleciał w dół. Jego krzyk poniósł się echem po zboczu. Usłyszała jeszcze trzask łamanych konarów, a potem zaległa błogosławiona cisza.

Nie była w stanie się ruszyć. Klęczała w kałuży krwi obok Petera i nie wierzyła, że Harry'ego już nie ma. To było zbyt proste, zbyt łatwe.

Przyjaciel Petera odsunął ją, nachylił się nad rannym.

- Wytrzymaj, mój stary. Karetka jest już w drodze... Wytrzymaj. -
Spojrzał na Genevieve, która stała obok, w stanie szoku.

- Ostrzeż mnie, gdybym jeszcze kiedyś chciał się do ciebie zbliżyć -
poprosił. - Jesteś tak okropna, jak mówił Peter.

- Harry... - szepnęła, ledwie dobywając głos z gardła, ale Francuz usłyszał ją. W sekundę potem doszedł ich sygnał karetki.

- Jeśli przeżył, złapiemy go. Przynajmniej jedno zrobiłaś jak należy.

Podeszła do balustrady. Mgła właśnie zaczęła się podnosić, jak na zamówienie i Genevieve miała dobry widok na strome zbocze z kikutami spalonych drzew.

Dojrzała Harry'ego. Spadając, nadział się jak na włócznię na to, co zostało ze śmigłej sosny.

Cofnęła się o krok. Karetka już podjechała, kierowca wyłączył sygnał, widać było tylko migające błękitne światło. Genevieve pomyślała, że powinna wyjść pielęgniarzom naprzeciwko, przyprowadzić ich na taras, ale nie miała siły. Usiadła na ziemi i znieruchomiała, wpatrzona w ciało Petera i kałużę krwi.

Usłyszała dwa słowa...

- Nie żyje.

- To nieprawda. Musi żyć - wykrztusiła przez łzy.

- Peter się trzyma. Mówię o Harrym - wyjaśnił Francuz. - Pytałem, czy żyje.

- Nie żyje - szepnęła. - Z całą pewnością nie żyje.

- To jest jakaś wiadomość - powiedział. - Twój pierwszy trup.

Robił wrażenie absolutnie spokojnego, jakby wcale nie przejmował się tym, że jego przyjaciel umiera. Genevieve nie wiedziała, czy krzyczeć, śmiać się czy płakać.

Podciągnęła kolana, oparła głowę na skrwawionych dzinsach i zaczęła się modlić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

CZWARTY

Genevieve nie potrafiła powiedzieć, czy lubi Bastiena Toussainta. Przypominał jej Petera w najgorszym wydaniu, do tego miał, typową chyba dla Francuzów, lekceważącą postawę wobec całego świata, co czyniło go wyjątkowo irytującym. Ale uratował Peterowi życie i z tego tylko powodu była gotowa wybaczyć mu niemal wszystko.

Gdyby nie wpadła w najbardziej nieodpowiednim momencie na taras, nie zdekoncentrowałaby Petera i Harry by nie strzelił. Wiedziała to, Bastien też to wiedział. Wiedziała też, że będzie musiała żyć do końca swoich dni ze świadomością niewybaczalnego błędu. Podobnie Peter.

Po raz ostatni widziała go na noszach, nieprzytomnego. Pielęgniarki go wynieśli i zniknęli z jej życia. Wiedziała od Bastiena, że przeżył i wraca do zdrowia. Madame Lambert też zniknęła. Bardzo dobrze. Genevieve nie chciała mieć nic wspólnego z nikim z Komitetu. Przeklęta organizacja.

Bastien miał przynajmniej dość rozumu, żeby z nimi zerwać. Traktowała go z dużą rezerwą, za to ogromnie polubiła jego żonę Chloe.

Nie była pewna, jak i dlaczego znalazła się w ich domu. Prawdopodobnie była to kolejna autorytarna decyzja madame Lambert. Gene nadal znajdowała się w stanie szoku, dlatego biernie akceptowała decyzje, jakie podejmowali za nią inni.

W odosobnionym, otoczonym lasem domu Toussaintów znalazła spokój, którego tak potrzebowała. Chloe, zła, że mąż znowu powrócił do dawnych zajęć, nie odzywała się do niego przez trzy dni po jego powrocie. A potem zaczęła rodzić i wtedy odezwała się od razu krzykiem w kilkunastu językach, z których większości Genevieve nie potrafiła nawet rozpoznać. Kiedy wreszcie

pojawiła się małeńka Sylwia, śliczna i doskonała, młoda mama mogła zamilknąć, a rolę krzykaczki przejęła córka.

Genevieve uznała, że najwyższa pora pożegnać gospodarzy, ale Chloe nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Zaczekaj, aż przyjdzie wiadomość, że Peter wydobrze - przekonywała. - Zaczekaj, aż Sylwia przestanie się wydierać całą dobę. Zaczekaj, aż zrozumie, że noc jest do spania. Zaczekaj, aż Bastien zdecyduje, co dalej...

Kiedy wreszcie oświadczyła, że bezapelacyjnie wraca do Nowego Jorku, Bastien z kolei oświadczył, że jej mieszkanie zostało sprzedane, a wszystkie rzeczy ulokowane w magazynie, na polecenie madame Lambert, ma się rozumieć. Przesłano jej tylko paszport, nic poza tym. Proste.

Zanosilo się na to, że zawsze będzie lekko utykał. Nie musiał chodzić już o lasce. Od dnia, w którym Harry Van Dorn wpakował w niego cały magazynek, minęły zaledwie trzy miesiące. Przebył bardzo długą drogę w krótkim czasie. Kula uszkodziła nerw w udzie i żadna terapia nie mogła tego zmienić. Nigdy.

To oznaczało, że nie weźmie już udziału w żadnej akcji. Będzie pracował za biurkiem, zbierał informacje, gromadził dokumentację. Smętny koniec Lodowatego Agenta. Odchodził po tym, jak spieprzył swoje ostatnie zadanie. Nie przejmował się tym zbytnio. Zapłacił za popełnione błędy. Genevieve żyła. Miał nadzieję, że wróciła do pracy i jest szczęśliwa. Że zapomni o kilku tygodniach spędzonych w mrocznej krainie śmierci. Podobnie jak zapomni o swoim zadurzeniu, wdzwając na powrót kostiumy od Armaniego i pantofle od Blahnika.

Ostatnie trzy miesiące spędził w Londynie. Miesiąc w szpitalu, kolejny na rehabilitacji i następny w swoim pustym, sterylnym mieszkaniu. W końcu zdecydował się wyjechać z miasta. Zbyt długo zwlekał z decyzją, teraz postanowił wystawić dom w Wiltshire na sprzedaż. Nigdy tam naprawdę nie zamieszkał. To nie był jego świat.

Płomień na kominku oświetlający zaciszne wnętrze złotym blaskiem, dzieciątko pełzające po dywanie, ogród pachnący różami, to nie dla niego. Stał się kopia Thomasona: chłodny, precyzyjny, efektywny. Madame Lambert nie będzie wiecznie stała na czele Komitetu, chociaż wyglądała tak młodo. Kiedyś on zostanie szefem.

Ze względu na kłopoty z nogą wynajął samochód z automatyczną skrzynią biegów i pewnego słonecznego letniego dnia pojechał do Wiltshire.

Po drodze zatrzymał się na lunch. Jakoś nie spieszył się do domu. Po przyjeździe będzie musiał zadzwonić do pośrednika, potem sprawdzić, co wymaga naprawy, zamówić kogoś do uporządkowania ogrodu. Miał to wszystko zrobić wiosną, ale sprawy wzięły inny obrót. Teraz życie wróciło w dawne koleiny i mógł spokojnie zrealizować wszystkie zamiary.

Wjechał na podjazd i zachmurzył się. Chwasty zniknęły, żywopłot był porządnie przycięty. Czyżby wynajął firmę ogrodniczą i zapomniał o tym? Bardzo możliwe. Minęło w końcu kilka miesięcy.

Drzwi od strony ogrodu zastał otwarte. Irytująca sprawa. Nie lękał się niemiłych niespodzianek, nikt nie czyhał na jego życie, przedstawiało obecnie niewielką wartość.

Zatrzymał się jak wryty w holu. W domu lśniło czystością, na stole stał wazon z kwiatami, obok leżały kluczyki, ale nie widział na podjeździe żadnego samochodu. Prawda, nie zajrzał do garażu.

Dobry Boże, czyżby madame Lambert sprzedała dom za jego plecami? Nie dziwiłby się zbytnio. Wiele razy mu powtarzała, że to miejsce nie dla niego.

Przeszedł do gabinetu. Biurko dziadka stało na swoim miejscu, a na nim... maszyna do szycia.

Odwrócił się i zszedł po dwóch schodkach do kuchni. W oszklonych szafkach dojrzał nowe naczynia, ktoś zainstalował zmywarkę. Wpatrywał się w nią przez chwilę, nic nie rozumiejąc, a potem spojrział przez drzwi do ogrodu.

Mnóstwo kwiatów, we wszystkich możliwych kolorach, zapach róż... Nie miał przecież żadnych róż w ogrodzie...

Otworzył drzwi, wyszedł i wtedy ją zobaczył.

Kłęcząca przy krzaku dzikiej róży, odwrócona do niego plecami, w słomkowym kapeluszu z dużym rondem ocieniającym twarz od słońca.

Nie ruszył się, nie odezwał słowem, ale Genevieve musiała wyczuć jego obecność, bo odwróciła się.

- Och - powiedziała, ściągając pospiesznie rękawiczki i otrzepując suknię z ziemi. - Nie wiedziałam, że przyjechałeś. Pewnie wyglądam cudacznie, ale ciągle nie wiem, jak Angielki ubierają się do pracy w ogrodzie. Laura Ashley wydała mi się odpowiednia, ale zdążyłam już zmarnować trzy jej suknie... - trąkotała nerwowo.

Peter zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Zauważyła, że utyka.

Po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów. Nie wiedziała, co powiedzieć. Peter uśmiechnął się mimo woli.

Stał i czekał.

- Cieszę się, że wreszcie postanowiłeś wrócić do domu - odezwała się po długiej chwili wesołym głosem. - Nie wiem, czy starczy jedzenia dla nas dwojga na kolację. W razie czego podjadę do sklepu. Na co miałbyś ochotę?

Nie odpowiedział, bo odpowiedź przyprawiłaby ją o szok.

Podeszła do niego.

- Nic nie powiesz? - zapytała. - Nie zapytasz, co tu robię? Nie każesz mi się wynosić?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo tu jest twoje miejsce - powiedział i otworzył ramiona.